JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCTA
W WARSZAWIE

J-I-KRASZEWSKI

MISTRZ TWARDOWSKI

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

MISTRZ TWARDOWSKI

I. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

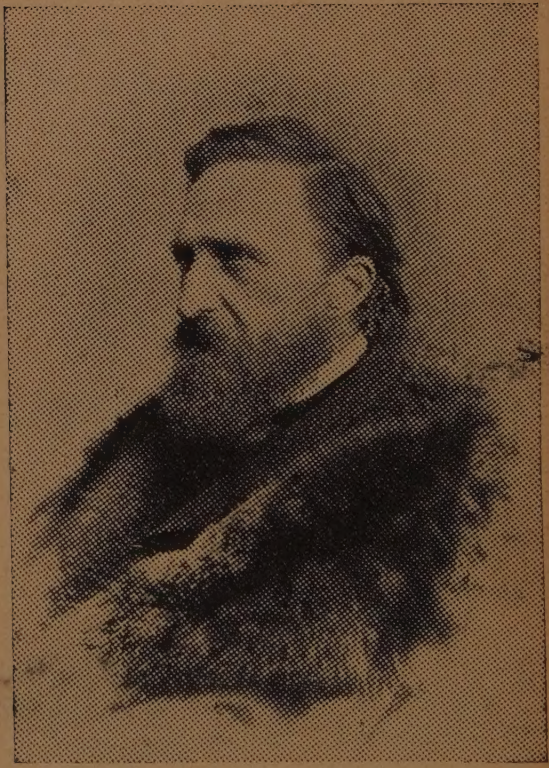

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XLV

J. I. KRASZEWSKI

MISTRZ TWARDOWSKI

POWIEŚĆ Z PODAŃ GMINNYCH

CZĘŚĆ I

1929

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Jako ojciec Twardowskiego napadnięty był w drodze, gdy do domu wracał, i co stąd wyniknęło.

Ciemną już nocą jechał szlachcic Twardowski okolicą Podgórza, a było to w miesiącu sierpniu, i na burzę się zbierało. Koń jego, spędzony długą drogą, nie był już posłuszny naglącym jeźdźca ostrogom, lecz naprzemian to po niebie spoglądał, to pod nogami gładszą ścieżkę wybierał. Nareszcie wjechali w zarośla gęste, któremi sunął się gościniec, poprzerzynany wybitemi przez deszcze wodomyjami; tu jeszcze straszniej zrobiło się szlachcicowi, jeszcze trudniej było iść koniowi, oddalone tylko błyskawice, przemykające się po niebie czarnem, wskazywały niekiedy drogę, słabo ją i chwilowo tylko oświecając. Szlachcic wzdychał ciężko, bo dawno był już z domu, a w domu miał żonę młodą, żonę ukochaną, i lękał się zbójców, gdyż w trzosie wiózł dobry ładunek, spieniężony po stryju spadek. Koń, wtórując panu, zżymał się, chrapał, nastawiał uszy i niekiedy się zatrzymywał, jakby się czego lękał, zwracając głowę ku zaroślom. Gdy jeździec nagli konia, a koń się opiera, nagle przy świetle błyskawicy, ukazały się w krzakach twarze kilku zbójców i dał się słyszeć głos przeraźliwy:

— Stój!

Zabłysły w krzakach rusznice, i jeden poskoczył przeciw szlachcicowi, za nim drugi i trzeci się wy-

sunął. Koń przestraszony wbok się rzucił, potem chciał naprzód, ale nie mógł, bo go jeden ze zbójców chwycił silnie za uzdę.

Przelękniony szlachcic rączo chwycił się do szabli, ale ratunek był nieprędki przeciw nastawionym rusznicom opryszków, zawołał więc w sercu z rozpaczą:

— Ratuj kto żyw, choćby djabeł sam!

Gdy się tak oskoczony przez zbójców szablą im zasłania, a koń na tył przypada, rwąc się temu, który go zatrzymywał, nim opryszki strzelić czas mieli, ponad nimi w górze dał się słyszeć głos jakiś, który ich tak pomieszał, że stanęli wryci, zapomniawszy o podróżnym i nie ciągnąc go już w las z sobą. On krzyczeć zaczął, koń się wyrwał, a wtem nadbiegł z wielkim tętentem drogą ogromny mężczyzna na czarnym koniu, prowadząc za sobą kilku jeszcze ludzi. Jak tylko go zoczyli, zbójcy odstąpili Twardowskiego, rzucili się nazad w zarośla, a on, korzystając z niespodzianego ratunku, śpiesznie zaczął uciekać.

Tymczasem coraz się jeszcze ściemniało, chmurzyło, wiatr dął silniejszy, błyskawice przelatywały nad głowami szlachcica, który, zimnym potem okryty, przerażony świeżym wypadkiem i myślą, jaką miał w niebezpieczeństwie, mijał szybko zarośla i, wybiegłszy na pola dopiero, żegnając się u Bożej Męki na gładkim gościńcu, koniowi zasapanemu sfolgował.

Zaledwie zwolnił kroku, zdało mu się, że za sobą tętent słyszy, obejrzał się niespokojnie — czarny jego wybawca jechał za nim sam jeden.

W chwili, kiedy szlachcic poza się spoglądał, błyskawica oświecała twarz jeźdźca bladą dziwnego wyrazu, zdało się Twardowskiemu, że podobną widział u Panny Marji w Krakowie, odmalowaną na obrazie św. Michała Archanioła u nóg zwycięzcy. Wpadłszy na tę myśl, chciał się przeżegnać, ale ręką ruszyć nie

mógł, a drugi raz nie śmiał się nawet obejrzeć, i znowu konia popędził.

Tymczasem zbliżała się burza z ulewą, grzmot toczył się w chmurach, to poważny jak głos kaznodziei, to przeraźliwie trzaskający się, jakgdyby niebo pękało, to nagle urywany i znów odbijający się w górach, odskakujący od ich boków, powtarzający się długo, umierający powolnie; błyskawice świeciły na niebie, mijając jedna drugą, zlewając się, przerzynane sznurkami piorunów i ukazujące świat w dziwnym blasku, dziwnych kształtach. Deszcz ulewny trzepał w twarz podróżnego z wiatrem ciepłym i duszącym. Mimo huku grzmotów, szumu deszczu i wiatru, usłyszał wkrótce za sobą Twardowski te słowa czarnego towarzysza, wymówione z uśmiechem:

— Dobrywieczór wam, także to uciekacie ode mnie, nie podziękowawszy nawet?

— Dobrywieczów — rzekł cicho szlachcic. — Zaiste nie było czasu dziękować w lesie, a teraz trzeba szukać schronienia od burzy.

— O! do gospody daleko, — odpowiedział czarny jeździec, równając się z Twardowskim — a od zbójców jesteś teraz wasze bezpieczny. Zwolnij więc kroku, mamy coś z sobą do pomówienia.

Musiał Twardowski uczynić jak chciał wybawca, lecz gdy konia wstrzymywał, przejmował go mimowolnie strach, kto wie czy nie gorszy jeszcze od tego, którym był przejęty, gdy go zbójcy napadli.

— Wezwałeś mnie wasze i przybyłem — rzekł czarny po chwili.

— Ja? — spytał szlachcic — ja?

— Przypomnij tylko sobie, — zawsze uśmiechając się, mówił dalej towarzysz — albożeś nie rzekł w sobie: Ratuj, choćby djabeł sam!?

— A któż ty jesteś?

— Ten, kogoś wyzwał, — odpowiedział spokojnie czarny — jestem djabeł.

Twardowski począł drżeć mocno, i ciągle chciał się żegnać, a ciągle ręki podnieść nie mógł; choć ją miał wolną, czuł w niej jakiś ciężar niezwyczajny.

— No! cóż tak milczysz, — rzekł djabeł — czyliś mi nierad? Wszakże w czas przybyłem, a gdyby nie ja, przepadłbyś i ty i twój trzos dobrze nabity, a żonaby płakała!

— Mówże, co chcesz za to, a puść mnie wolno! — wybąknął szlachcic ze strachem.

— Ja niewiele wymagam, niewiele! pieniędzy nie potrzebuję, duszy twojej broni pacierz żony i twoje jałmużny.

— A czegóż chcesz? czego? — spytał ośmielony już Twardowski — mówże prędko.

— Naco się śpieszyć! — odpowiedział djabeł — noc długa jeszcze, a ja nie mam nic do roboty.

Westchnął podróżny, ale cóż było z djabłem robić, musiał go słuchać. Jechali ciągle, a siwy koń szlachcica drżał pod nim i zżymał się nieustannie.

— Wiesz co, djable, — rzekł wkońcu Twardowski — weź sobie, co chcesz, ale puszczaj mnie prędzej.

— Naco się śpieszyć, — odpowiedział djabeł — twój koń zmęczony, gospoda daleko, będzie czasu, będzie jeszcze dosyć czasu.

— Ale cóż przecie chcesz ode mnie?

— Właśnie o tem myślę — odpowiedział czarny, jadąc ciągle obok Twardowskiego.

Szlachcicowi coraz ciężej robiło się na sercu, coraz większy brał go strach, i nic już nie zważał na wzrastającą burzę ponad głowami, na bijące pioruny — nie słyszał huku grzmotów, nie czuł ulewnego deszczu.

— Nie chcę cię bardzo odzierać, — rzekł nareszcie

szatan ze śmiechem — oto dasz mi to, co zastaniesz w domu, a o czem nie wiesz, czego się nie spodziewasz, naco nie rachujesz; tym sposobem nie poniesiesz żadnej straty, a mnie wynagrodzisz.

— Ale, cóż to być może?

— Czyż ja wiem! — rzekł djabeł — to się później okaże, mnie lada co wystarczy, teraz tak mało zyskujem.

— A więc dobrze, — odpowiedział Twardowski po chwili namysłu — osiem dopiero miesięcy jak wyjechałem z domu, nie wiem coby tam przybyć mogło! Zgoda!

— Zgoda! — powtórzył radośnie szatan — doprawdy zgoda? słowo?

— *Verbum.*

— *Verbum nobile debet esse stabile* — dodał djabeł. — Czekajże!

To mówiąc, zatrzymał konia i szlachcicowi także stanąć kazał. Ponad ich głowy warczała burza, lał wzmagający się jeszcze deszcz, szatan wskazał szlachcicowi rozłożysty dąb, stojący ponad drogą, i tam go zaprosił.

Tu nie wiedzieć jak zniknął koń, a szatan, zostawszy pieszo, począł dobywać z kieszeni różnych manatków, naprzód kawałek świeczki z trupiej tłustości, potem długi list pargaminu, potem kałamarzyk z inkaustem i pióro.

Wszystko to działo się niezmiernie prędko, a szlachcic siedział na koniu i drżał, patrząc na przygotowania. Djabeł potarł świecę o nogę i zapalił ją, siadł potem pod drzewem i zaczął pisać szybko, położywszy pargamin na kolanie, cyrograf. Trwało to tylko chwilę; wnet zerwał się i podał do przeczytania Twardowskiemu, który przy świetle bladem świeczki przebiegł oczyma formalnie sporządzony akt i sięgnął po pióro do podpisu.

Ale wtem szatan ujął go za lewą rękę, i nim się miał czas opamiętać, ukłuł w mały palec, umoczył we krwi piórko, i dopiero je podał. W milczeniu podpisał się szlachcic *manu propria,* wzdychając i ledwie ostatnie głoski kończył, ogarnęła go niespokojność jakaś jeszcze gorsza niż wprzódy, nie spojrzał już nawet na djabła, zawrócił, poparł konia i leciał bez pamięci. Lecz gdy tak bieży, zdało mu się jakby śród burzy i grzmotów słyszał kilka razy za sobą śmiech przeraźliwy, przerażający śmiech, jakiego usta ludzkie nigdy nie wydały.

Pytał się siebie, co to być może? co to być może?

— Może sowa huczała, może puszczyk tak śpiewał, może wiatr tak świstał.

Lecz w duszy wiedział, że nie tak huczy sowa, nie tak puszczyk śpiewa i nie tak wiater świszcze; tęskny pędził dalej do domu.

II.

Co zastał w domu ojciec Twardowskiego.

Już zdala widać było domek szlachcica, już bielał komin nad nim i czerniało gniazdo bocianie, i szarzały stodoły i gumna, i połyskiwała sadzawka, po której pływały gęsi i kaczki. Twardowskiemu okropnie smutno biło w piersiach serce, naglił konia, chciał skoczyć odrazu w dziedziniec, modlił się i płakał, i niespokojny był jak tam w domu zastanie żonę... Osiem miesięcy kończyło się od jego wyjazdu.

Upatrywał i przyglądał się czyli czego nie zobaczy, coby go uprzedziło o żonie, o domu, jakiego znaku, jakiego człowieka, ale w oparkanionym dziedzińcu tak było spokojnie! ani żywej duszy dokoła; musiał czekać przybycia, a zdawało mu się, że koń wlecze się jakby ochromiał. Coraz bardziej chwytała go nieopisana niespokojność, pot lał się z czoła, czuł gorąco nieznośne i duszność w piersiach, choć skwar dniowy już był ustał, a słońce chyliło się do zachodu.

Zbliżył się do wrót, wrota na pole były otwarte, nikogo w dziedzińcu; puste były ławki na ganeczku, i pusta ławka pod lipą, gdzie zawsze siadała Hanna jego wieczorem. Coraz marszczyły mu się brwi i serce ściskało, i oczy miały się do łez, a koń, czując stajenkę domową, pod ganek pośpieszał.

Stanął wreszcie, nikt nie wyszedł. Czemuż nikt nie wyszedł na spotkanie? Szlachcic porzucił siwego, a sam

wbiegł do sieni; wtem drzwi bokówki skrzypnęły i z palcem na ustach wybiegła stara babka Magda.

— Cicho, panie, cicho! żona wasza połóg leży! powiła wam szczęśliwie syna! Nie wbiegajcie tak nagle, mogłaby jej wielka radość zaszkodzić!

Gdy to mówiła Magda, szlachcic wspomniał odrazu na djabła, zdało mu się, że w uszach śmiech szyderski zatętnił, i porwał się za głowę.

— Syna urodziła! — zawołał.

— Syna, — odpowiedziała stara — niema jak kilka godzin, com go przyjęła! Wyście tak sobie życzyli syna! Bardzo szczęśliwie urodziła! nic prawie nie cierpiała dobra pani! Poślijcie na wotywę do Matki Boskiej.

Szlachcic stał osłupiały, nareszcie z ciężkiem westchnieniem uderzył się w głowę, i smutny wyszedł na ganek.

— Oznajmcie jej tam o mnie! — rzekł do starej.

Magda poszła, kiwając głową i nie pojmując, co się stało szlachcicowi, że go dobra nowina tak mało cieszyła.

— Osobliwsza rzecz, — myślała — cóż to w tem jest za tajemnica! Czegóż to on tak smutny? A co się miał weselić i Bogu dziękować, to się jeszcze krzywił, gdym mu o synu oznajmiła. Coś to jest w tem! — Tak mrucząc, weszła do bokówki, której drzwi i okna zabite były matami.

Szlachcic tymczasem zdjął sakwy podróżne z siwego i oddał go parobkowi, który, do nóg mu się kłaniając, syna i szczęśliwego powrotu winszował. Smutny Twardowski nic nie odpowiedział.

Tymczasem stara Magda weszła i przysiadła u łóżka pani Hanny.

— Z dobrą przyszłam nowiną, — rzekła — mówił mi parobek z Olszowa, że naszego pana widział!

— Gdzie? — zawołała, porywając się, Hanna.

— O! o! tylko się tak nie radujcie, żeby to wam nie szkodziło, bądźcie spokojni! Parobek widział go wczoraj na drodze wracającego.

— Więc dziś będzie! może już jest! — zawołała Hanna znowu — biegajcie, Magdo, zobaczcie.

— Podobno, — odpowiedziała stara — podobno powrócił! słyszałam tętent w podwórku!

— A idźcież go prowadźcie! powrócił mój drogi!

I zarumieniona siadła na łóżku. Magda wyszła i kiwnęła.

— Chodź, panie, jużem was oznajmiła.

Wszedł pan Twardowski i drgnął na progu, usłyszawszy krzyk nowonarodzonego dziecięcia, potem rzucił się do łóżka, na którem zarumieniona radością Hanna leżała, osłabiona, biała, oddychając ciężko i płacząc z ukontentowania. Odjazd męża, niespokojność o niego, długie oczekiwanie, myśli o niebezpieczeństwach podróży i cierpienia własne uczyniły ją bladą, lecz żywy rumieniec wypłynął na twarz, kiedy się dowiedziała o mężu, gdy bez słów w niemym uścisku znowu się spotkali oboje. W tej chwili zapomniał Twardowski o synu i o djable, i o całym świecie, ale kiedy Hanna podała mu dziecię i słabym głosem prosiła, aby je pobłogosławił, on smutny na nie spojrzał i przypomniał sobie, że to dziecię nie jego już było! Dziwny był żonie ten smutek, który się przed jej okiem nie ukrył, ale nie śmiała pytać i mówić, położyła się tylko i westchnęła cicho.

W kilka dni Hanna nie żyła, ale żyło dziecię. Pan Twardowski smutny pozostał z synem jedynakiem, a jego domek opustoszał, chwastem zarósł dziedziniec, zrujnowały się gumna, poszła w nic gospodarka, bo pan o nią nie dbał, i chodził ciągle opętany myślą, że syna djabłu zaprzedał.

III.

Jako Twardowski wyrósł i jako szedł do piekła cyrograf odbierać.

Dziecię trzeba było ochrzcić. Posłał ojciec po księdza do Proszowic i sprosił w kumy sąsiadów, ale djabeł nie spał. Kumy przyjechali, a księdza posłaniec zastał na marach.

Posłano po drugiego, drugi był śmiertelnie chory. Trzeci wybrał się w drogę, ale w drodze go konie ponosiły i potłukły.

Zniecierpliwiony ojciec, widząc w tem djabelskie sztuki, sam pojechał po czwartego; ten, wiedząc już o przypadkach trzech pierwszych, a lękając się dla siebie czego złego, zwłaszcza, że chodziły o tem jakieś wieści dziwaczne, nie wiedzieć przez kogo rozsiane, za nic pojechać nie chciał.

Niezrażony tem szlachcic pojechał do Krakowa, i proboszczowi u Św. Florjana całą rzecz wyjawił. Ten pobożny staruszek, namyśliwszy się, dał mu relikwje i kazał przywieźć dziecię do Krakowa, zresztą żadnej rady ani pociechy.

Twardowski, zawiesiwszy świętości na szyi dziecięcia, wybrał się z niem, w tęgiej kolasie, czterema końmi zaprzężonej. Rano wyjechawszy, spodziewał się stanąć wieczorem w Krakowie, lecz wszczęła się ulewa, burza i wicher taki, że musiał stanąć w najbliższej go-

spodzie i czekać lepszej pory do dalszej podróży z dziecięciem.

Zaledwie koniom obrok zasypano, wyjaśniło się niebo, szlachcic znowu wyjechał i znowu zachmurzyło się, wiatr zadął, znowu się burza zaczęła, ale on, utuliwszy dobrze syna, na nic już nie zważając, jechał dalej. Dwa razy kolasa przewróciła się w drodze, dwa razy konie unosiły i tylko krzyż pański ratował, nareszcie, nabłądziwszy się i przebywszy tysiąc przeszkód, dostali się do Krakowa.

Nazajutrz rano mamka z dzieckiem idąc do kościoła, ledwie cudem siebie i niemowlę od kilku przypadków uratowała. Napadł ją był naprzód pies ogromny, zastępując jej drogę i warcząc, póki go nie przeżegnała, potem jeździec jakiś ciągle ją koniem ścigał i mało nie roztratował, pędziła kolasa, od której ledwie umknęli, a we drzwiach kościelnych pośliznęła się i padła. Szczęściem ojciec dziecię pochwycił i jakoś je ochrzczono.

Powrót do domu był już zupełnie spokojny, ale od tej pory wszystko Twardowskiemu nieszczęścić się zaczęło; djabeł płatał mu figle nieustanne, nawodził wiatry, chmury, grady, burze, pioruny, ulewy, ogień i złodziei, pomorek na bydło, wilków na stado. Szlachcic wszystko wytrzymał bez skarg i użaleń.

Dziecię tymczasem rosło i czem będzie, rokowało za wcześnie; rozwijał się w niem dowcip nad wiek jego, a wszyscy mu się dziwowali w okolicy i zazdrościli ojcu. On jeden smutno poglądał na syna, brał go na kolana, całował i płakał. Dziecię miało już lat dziesiątek, nie raz widziało łzy ojcowskie i jakby coś o sobie przeczuwało, poczęło się dopytywać. Ojciec biedny taką czuł potrzebę wylania się komukolwiek, że wkońcu przygodę swoją i łez przyczynę małemu opo-

wiedział. Chłopiec naówczas porwał się wesoło z kolan ojcowskich i zawołał:

— O! tatusiu, to ja na to dam radę! pójdę do piekła i odbiorę ten zapis!

Z tą myślą wzrósł chłopiec, i zdawał się tylko czekać starszych lat do jej dopełnienia, nieustannie o tem ojcu mówił, dodając mu ducha, modląc się do N. Panny, aby mu dopomogła. Oddał go ojciec do szkoły Wszystkich Świętych w Krakowie. Dziecię uczyło się pilnie i obiecywało wiele, a że myślało zawsze jakby djabłu odebrać to pismo ojcowskie, jęło się nabożeństwa, prosząc nieustannie Boga, aby je wsparł. Dnie i nocy upływały na modlitwie, na rozmyślaniu i czytaniu świętych rzeczy. Tak doszedł chłopiec lat piętnastu i naówczas pomyślał sobie, że czas już było pójść do piekła.

A był wówczas dzwonnikiem u Wszystkich Świętych pobożny staruszek; zwano go Dominaszkiem, bo był małego wzrostu i schylony latami, których liczby już nie pamiętał. Świątobliwy to był człowiek, a wszystkie baby i dziady i wielu słusznych ludzi bardzo go poważało, a nieraz i o radę prosiło. Mówiono, że miał widzenia z obrazków, że robił cuda. To pewna, że od innych był pobożniejszy.

Do niego postanowił chłopiec pójść po radę. Jednego tedy popołudnia zastał go na cmentarzu klęczącego na kamieniu u drzwi kościelnych i śpiewającego Wianek różany. Siwa broda spływała mu na wyschłe, odkryte piersi, a łysa głowa schylona zdawała się zdaleka świecić promieniami. Nie śmiał mu chłopiec przerywać modlitwy, lecz gdy starzec wstał o kiju, skłonił mu się, pocałował go w rękę i poprosiwszy, żeby usiadł, tak mówił:

— Mój ojcze, zewsząd słyszę o waszej świątobli-

wości i o zbawiennych waszych radach. Jestem w ciężkim razie, chciejcie mi dopomóc.

— Czemże ja wam dopomóc mogę? jakiejże rady chcecie? — spytał staruszek.

— Oto tak rzecz się ma — rzekł chłopiec. — Mego ojca djabeł ratował raz w drodze i wymógł na nim za to zapis, że mu odda to, co w domu znajdzie, a o czem nie wie i czego się nie spodziewa. Właśniem się ja wówczas urodził i o mnie się to szatan targował. Długo on przeszkadzał, żeby mnie nie ochrzczono, lecz Bóg jakoś ojcu dopomógł, że wkońcu proboszcz od Św. Florjana mnie ochrzcił. Teraz chce mi się, ojcze, pójść do piekła i odebrać zapis ojcowski.

Świątobliwy staruszek myślał długo i wzdychał głęboko, potem dał chłopcu taką naukę.

— Możesz tego dokazać, — rzekł — ale trzeba się wprzód spowiadać i komunikować na tę drogę, a idąc do piekła, ni w czem nie zgrzeszyć. Weź z sobą kropidło i wodę święconą i relikwje święte, z tem bezpiecznie wejdziesz do piekła; chociaż nie bez trudności, bo cię szatan kusić będzie po drodze.

Gdy się wyspowiadasz i przyjmiesz Przenajświętszy Sakrament, wyjdź za Kraków w pole, a tam ujrzysz przed sobą mysz polną, która cię prowadzić będzie i do bram piekła zaprowadzi. Gdy będziesz ich blisko, a to łatwo rozpoznasz, zaczniesz śpiewać Wianek różany, albo psalm który i święconą wodą kropić: tak machając wokoło, wejdziesz do środka i póty kropić będziesz a śpiewać, póki ci djabeł zapisu nie odda. Zresztą Duch Święty natchnie cię, co będziesz miał czynić, pamiętaj tylko, żebyś w drodze nie zgrzeszył, boby zły duch miał moc nad tobą.

Wysłuchawszy tej rady, chłopiec podziękował za nią staruszkowi, nazajutrz zaraz poszedł do spowiedzi,

przystąpił do komunji, wziął z sobą święconej wody wyszedł za Kraków.

Tu ujrzał mysz polną przed sobą, właśnie jak mu staruszek zwiastował, i poszedł za nią. Z oczyma wlepionemi w ziemię szedł tak, modląc się i unikając nawet spojrzeniem dać sobie do grzechu okazji. Przez cały czas nic nie jadł i oczu nawet nie podniósł, a gorąco się tylko modlił.

Ku wieczorowi pierwszego dnia posłyszał za sobą głos, który nań wołał:

— Chłopczyku! Chłopczyku! a dokąd to idziecie?

Mimowolnie odwrócił się i ujrzał cudne dziewczę same jedne w polu szerokiem, które biegło ku niemu. Była to prosta wieśniaczka, ale bardzo młoda, bardzo piękna. Nigdy żadna z tych pań, co w złoconych kolasach jeździły po Krakowie, nie wydała mu się tak hożą, tak wdzięczną i miłą. I wołała na niego takim głosem, że zdało się chłopcu, jakby mu się coś koło serca odrywało. Prędko jednak domyślił się, że go to szatan tak kusi, oczy zamknął, modlić się zaczął i nic na pytanie nie odpowiedział.

— Chłopczyku! chłopczyku! — wołała — czyś ty głuchy, czyś ty ślepy? poczekaj! poczekaj, ja zbłądziłam, pójdziem razem.

A chłopiec nic nie odpowiedział, tylko goręcej się jeszcze modlił.

Nareszcie uczuł, że się ku niemu zbliżała i śmiejąc się, targała go za fałdy i mówiła:

— Chłopczyku, czemuż ty mi nie odpowiadasz? aj! piękny chłopczyku, już się zmierzcha, ja się boję iść sama, pójdziem razem! nieprawdaż?

— Ja się modlę i idę do piekła, — odpowiedział chłopiec — jeśli chcesz, to idź za mną.

Dziewczyna odskoczyła i rozśmiała się.

— Szalony! żartujesz! Zobaczęż i ja, gdzie to te piekło.

I szła zâ nim ciągle, szydząc z niego, to znów prosząc go, aby się zatrzymał; on na wszystko był głuchy. Słońce już było zaszło, a jeszcze nie widać było żadnej gospody na drodze, dziewczyna śpiewała, idąc za nim, piosneczki wieśniacze, on patrzył na mysz i szedł i modlił się. Ciemniało, ona szła za nim jeszcze, ale coraz dalej, nareszcie, próbując rozmowy wszystkiemi sposoby i nie mogąc jej zawiązać, łajać go zaczęła.

— A hultaju, ty hultaju! — wołała — pięknież to tak, dobrze nie chcieć poratować, słówka nie powiedzieć do biednej dziewczyny. Piękny jesteś a dziki i nieludzki. Zmiłuj się, poczekaj, widzisz, że się ściemnia, siądźmy i odpocznijmy.

— Ślubowałem Bogu nie odpoczywać — rzekł chłopiec.

Dziewczyna mu się śmiała.

— Do licha, nie dalekoż ty zajdziesz!

— Bóg mi sił doda — rzekł chłopiec znowu.

Zbliżali się do wielkiego lasu, a na kraju jego stała gospoda wygodna, dymiło się jej z komina, czuć było smażeninę z kuchni i widać dużo ludzi, a przed chłopcem była puszcza i noc. Dziewczyna zatrzymała się u drzwi gospody i kusiła go jeszcze:

— Chodź, przenocujem razem, a jutro pójdziem dalej w drogę.

Chłopiec milcząc szedł dalej i okiem na gospodę nie rzucił i chwili się nie zatrzymał. Dziewczyna jęła go łajać i śmiać się znowu.

— A cóż to za żak głupi, — wołała — nawet się do mnie nie obrócił, nawet nie zagadał do mnie! o! brzydniku, brzydniku, niedaleko ty zajdziesz, zabi-

ją cię zbójcy, zabiją cię w lesie. — A potem szeptała mu jeszcze:

— Ej, chodź, przenocujemy razem, a potem pójdziem w drogę!

Chłopiec minął gospodę, szedł dalej. Gdy się zupełnie ściemniło, czarna mysz świeciła oczyma i pokazywała drogę, weszli w las głuchy i szli długo, bardzo długo. Ciemno było i straszno, a chłopiec się modlił i modlił do N. Panny. Wśród lasu napadł na jakichś ludzi, którzy odzierali podróżnego przybitego, a ci zaczęli na niego wołać, ujrzawszy go:

— Hej! chłopaku, chodźno do nas, a pomóż nam nieść pieniądze do jaskini, to ci ich damy za to pełną czapkę i pójdziesz sobie jutro zdrów w dalszą drogę. Stój, nie idź dalej, bo do ciebie strzelim.

Chłopiec jakby nic nie słyszał, szedł spokojnie i minął ich. Uczynił był ślub nic nie jeść, a głód i pragnienie mocno mu dokuczały; po drodze zaś to tam, to tam nawijały mu się z jedzeniem pogubione sakwy, spotykał podróżnych, którzy go prosili na obiad, na przekąskę. Wisiały owoce na drzewach i spuszczały się z gałęźmi ku niemu. Nic go przecie nie skorciło.

Nie wiem którego tam dnia zaczęła się dawać czuć siarka i smoła i ziemia gorąca była pod nogami, wszedł chłopiec w las znowu, gęsty i czarny. Szeroki wiódł środkiem gościniec i bity trakt a ludny. Jechały nim kolasy wielkie i wozy kmiece, szli piesi różnego stanu i wieku, mnóstwo ludu jak mrowia. Chłopiec to tylko uważał po nich, że wszyscy prawie mieli oczy zamknięte, jakby śpiący lub umarli; on jeden między nimi na żywego wyglądał. Tu już mysz z przed niego znikła, a on się domyślił, że był na drodze do wrót piekielnych.

IV.

Jako Twardowski zaszedł do piekła i co tam widział.

Tem goręcej modlił się chłopiec, im bardziej czuł, że się zbliżał do piekła. Nie oglądał się nawet na otaczające go postacie, których coraz liczba się zwiększała. Był to jednak ciekawy widok, gdyż do piekielnego gościńca, szerokiego i przestronnego, mnóstwem ubocznych ścieżek ciżba ludu dążyła.

Jedni tam jechali poszóstno w kolasach złoconych, które zamiast koni ciągnęły grzechy ich, pod postacią ohydnych poczwar, ubranych w bogate rzędy, na których zamiast pereł i kamieni drogich świeciły łzy ludzi kroplami, pot ludzki i krew ludzka.

Drugich ciągnął do piekła brzuch nienapchany, w którym widać było przejedzone wioski i zamki i sioła i strawione kupy złota, spożytą spokojność rodziny, pochłonięte wszystkie cnoty.

Inni szli pijani i zdawało im się, że przed nimi wiozą kufę wybornego kanaru, na którą zmrużone, czerwone oczki zwracali miłośnie.

Szedł tam i chudy jakiś dialektyk z Teologji Scholastycznej woluminem pod pachą, podpierający się Arystotelesem, zaprzężony za kark do ogromnego pióra, które go ciągnęło.

Przed innymi toczyły się dukaty po gościńcu, a oni, usiłując je złapać, już-już je doganiając co chwila, szli

z zaiskrzonym wzrokiem, roztwartą dłonią, dyszącą piersią do piekła.

Innych, wabiąc, wiodła czarnooka dziewczyna i coraz dalej za sobą prowadziła. Gdy się odwracali, nie widać już było za nimi ich domu spokojnego, ich życia swobodnego, ich przeszłości złotej, wahali się, lecz za skinieniem, uśmiechem dziewczyny, biegli do otchłani znowu. Jeśli poczęli ustawać spotniali, znużeni, naówczas ona ukazywała im, jakby odniechcenia, z pod białej szaty, kryjącej utoczone ciało białe, to kolano, to pierś lubieżną, to nogę, to ramiona łabędzie — oni znowu nabierali sił, zawrzała w nich krew, zakipiał mózg, zatrzęsło się serce, i szli dalej a dalej.

Byli tacy, co patrząc w niebo, szli do piekła.

Byli tacy, których wiedli za rękę własne dzieci, wychowańce i słudzy.

Byli inni, co tylko ogony swych pań i poduszki swych panów dźwigając, z nimi do piekła dążyli.

Szli i złodzieje, kradnąc po drodze, co się nawinęło, kradnąc nawet grzechy cudze z kieszeni podróżnych, radzi, że im się nigdzie piłat i szubienica nie nawijała na oczy.

Szły, śpiewając i podskakując, kobiety jakieś z rozczochranym włosem, z swawolną pieśnią w ustach, swawolniejszym uśmiechem jeszcze, a najswawolniejszem wejrzeniem, którem rzucały jak wędą na przechodniów.

Był tam opasły opat z przymrużonem okiem, drzemiący spokojnie w krześle, które z nim nieśli do piekła niewidzialni słudzy. Za nim dźwigała misę potężną jakiegoś przysmaku tłusta gosposia; a dzbanek kantor z klechą oburącz.

Szli tam i wielcy panowie, dumnie przeciskając się przez motłoch, gniotąc nogami jakichś biednych, którzy z drogi wracali, a przed nimi nieśli szatani bu-

ławy i infuły i laski i senatorskie krzesła i tytuły cudzoziemskie.

Były tam dziwnie dobrane pary, wiodące się to za ręce pobrawszy, to za kark, to za poły.

Jednego burmistrza wiodła jejmość za nos porwawszy prosto w otchłanie piekielne.

Jednego młodzika podżyła już niewiasta niosła przydeptanego w trzewiku.

Jednego staruszka prowadziła dziewczyna za ostatek siwych włosów, ująwszy wpośrodku głowy.

Innych szatani chwytali za oczy, za nos, za nogi, za uszy, za ręce i tak ciągnęli niemiłosiernie.

O! zaiste, ciekawy, jedyny był widok piekielnego gościńca, lecz chłopiec tak był swoją modlitwą zajęty, że nic a nic nie widział. Nareszcie stanął razem z otaczającym go tłumem u wrót piekielnych, których zewnątrz nikt nie strzegł, owszem, wystrojony odźwierny przyjmował niskim ukłonem i drzwi naoścież otwierał. Ten, gdy ujrzał młodego chłopca z kropidłem w ręku, śpiewającego pieśń nabożną, czystym głosem dziecinnym, zaparł drzwi prędko i nasrożył się. Nie widział tego nawet Twardowski, pokropił wodą święconą, drzwi się otworzyły, on wszedł.

Uderzyły go natychmiast jęki, wydobywające się z otchłani piekielnej, które zagłuszyły na chwilę jego śpiew lękliwy, lecz taka była moc tych słów, które wymawiał chłopiec, że przed niemi ucichła wrzawa piekielna, wszystko zamilkło i poczet czarnych djabłów przestraszonych wybiegł naprzeciw.

Chłopiec tymczasem śpiewał i kropił na wszystkie strony.

— Czego tu chcesz, duszo czysta? — zapytał jeden. — Czego tu chcesz? czego tu chcesz? — powtórzyli chórem inni; a wszyscy odskakiwali i kurczyli się na każde ruszenie kropidła.

— Chcę i szukam cyrografu, danego na moją duszę przez ojca — odpowiedział Twardowski i śpiewał dalej i kropił znowu. Djabli znikli, on szedł w głąb, aż do najciemniejszej jaskini, w której siedział sam Lucyper, wódz i głowa zepchniętych z nieba aniołów.

Gdy i tu kropidłem począł wywijać jak szablą chłopiec, a szatani opatrzyli, iż go z żadnej strony pochwycić nie mogli, gdyż był czysty i niczem od spowiedzi niepokalany, poczęli z nim wchodzić w układy. Powiedzieli mu z początku, iż cyrograf zginął i traktowano go wzamian pieniędzmi.

Potem dawano mu kobietę, jakąby sobie na świecie wybrał.

Potem godność, jakiejby zażądał.

Potem władzę, jakiejby sobie życzył.

Potem powiedziano mu, że djabeł, który od jego ojca wziął cyrograf na jego duszę, nie znajdował się w piekle, lecz podróżował po świecie i przy sobie nosił papiery. Na to wszystko odpowiedział chłopiec kropidłem, którego djabli niezmiernie się lękając, musieli wreszcie posłać po tego, który cyrograf miał.

Przyprowadzono go po chwili, ale się zaparł, że jako żywo nie miał i nie brał żadnego zapisu.

Znowu chłopiec użyć musiał kropidła, znowu djabli przyrzekli mu oddać cyrograf, przynieśli kufer ogromny i kazali mu szukać. Co tam się w nim znajdowało, trudno wyliczyć; były tam papiery rzucone bez porządku, z różnych lat, języków, krajów — istne archiwum szatańskie, w którem dopiero, pomodliwszy się do św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych, wynalazł chłopiec zapis na swoją duszę.

Widząc djabli, że nic nie nada, musieli mu go oddać, lecz w oczach chłopca przysiągł djabeł, który ojca jego skusił na cyrograf, że duszę jego i bez tego zapisu weźmie. Tej przysięgi nie słuchając, chłopiec,

kropiąc znowu i śpiewając *Te Deum*, zawrócił się, aby wyjść z piekła.

Lecz trudniejsze to było, niż wejść do niego. Zamykały się przed nim wrota, znikały mu drogi z pod nóg, waliła się ziemia, trzęsło się sklepienie, napadały go straszydła, wabiły go łakocie, jadła, napoje, dziewczęta i chłopcy, znajomi ludzie, wyciągając ręce ku niemu, wzywali go do rozmowy, weszli jacyś panowie szlachta i otaczali go kołem, aby przytrzymać; — lecz Twardowski uwieść się nie dał, bo modląc się żarliwie, widział pod skórą tych wszystkich mar utajoną zdradę i przez ścianę słyszał męki potępieńców. Trafił nareszcie na swoją drogę i wyszedłszy za wrota, które mu jedną nogę przyskrzypnęły nieco, tak, że potem trochę na nią nakulewał, na świat znowu powrócił. Tu, padłszy na kolana, Bogu dziękował, a potem pędem puścił się przed siebie.

Ale na tej drodze, tak wprzód tłumnej, nic już teraz nie widział, a ściskając w ręku cyrograf, naoślep biegł. O kilkoro stai zaczęła go znowu prowadzić mysz i wywiodła go aż do domku ojcowskiego pod Proszowice.

Wszedł i padł ze znużenia na progu chłopiec, a gdy go otrzeźwili, opowiedział ojcu podróż swoją, ukazał cyrograf wydarty djabłu, który spalono zaraz na poświęconym ogniu, aby z węgli jeszcze nie mógł go dobyć szatan. Tak ojciec Twardowskiego na stare swoje lata spokój odzyskał; lecz wkrótce potem, gdy do szkoły wrócił chłopiec, przyszedł parobek, oznajmując mu o śmierci ojca, który niedługo przeżył odzyskanie syna.

Opłakawszy go Twardowski, a zasmakowawszy w nauce, pozostał jeszcze nadal w szkole, której senjor, zamiłowanie jego i pilność do serca wziąwszy, przyjął go pod swoją opiekę.

V.

Jako się stał uczonym i sławnym Twardowski.

Lecz niedarmo zaklął się był szatan na Twardowskiego, odtąd bowiem, usiłując go podejść i duszę jego pochwycić, nie odstępował go krokiem, niewidzialny czuwał nad nim i szukał w duszy jego szpary, którąby w nią mógł dech swój zaraźliwy wpuścić. Czysta jednak była jeszcze dusza młodzieńca, i czyściejsza od rówieniczych; zajęty nauką, którą obrał za gwiazdę i nadzieję życia, on na resztę świata jakby nie patrzał, nie czuł wszystkich zgubnych ponęt rozkoszy i nie widział dróg do grzechu. Jeszcze nie była wybiła jego godzina. Bo każdy człowiek, choćby najrozumniejszy, choćby najzimniejszy, ma w życiu jedną godzinę szału, w której jak roślina wybujała puszcza niepotrzebne odrośle.

Młodzieniec zatapiał się w naukach. Szatan uczuł, że nie potrafi niczem innem go zgubić, chyba jedną nauką, postanowił więc dopomagać mu tak do niej, aby Twardowski, prędko wyczerpawszy wszystko, więcej zażądał, aniżeli mu dać mogli ziemscy nauczyciele.

Skutkiem tej niewidzialnej pomocy szatańskiej Twardowski jednym rzutem oka, jednem sięgnieniem umysłu zbadywał i odgadał najzawilsze naukowe trudności; coraz nowych ksiąg, nowej nauki żądał, i począł wprędce nauczycieli swych i mistrzów owego czasu przechodzić. Dziwiły te postępy młodzieńca wszyst-

kich, krzywili się na nie jedni, wynosili je pod niebiosa drudzy, najmniej uczeni sławili go, za przykład półmędrkom zaufanym w sobie stawiąc, uczeńsi z przekąsem o nim gadali, potrząsając głową.

Nie było bowiem wprędce gałęzi nauk, w którejby mistrzom nie sprostał; wziąć mu się tylko było do czego chciał, a ta władza powszechnego pojęcia i zrozumienia wszystkiego posługiwała mu tak wiernie, iż ucząc się, już księgi poprawiał o nauce traktujące i w połowie drogi będąc, drugiej się już połowy domyślał, całą zaś przebiegłszy, przepowiadał jej dalsze postępy, jakiemi ją miały przyszłe ubogacić wieki. Tak biegły lata oddane naukom, Twardowski zkolei teolog, matematyk, filozof, fizyk, medyk, poeta — łączył w sobie znajomość nauk rzadko razem chodzących w tak wysokim stopniu, iż w każdej zdawał się być najdoskonalszym, póki o innej ust nie otworzył. A tak jeszcze był młody!

Lecz tej jego nauce towarzyszyło szczególniejsze uczucie. Nie tak jak inni, którzy liznąwszy nieco, już mniemając, że stoją u kresu i arcymistrzami się sądzą; Twardowski sprawą szatana, zawsze pożywając łaknął, ucząc się pragnął więcej nauki, czuł, że mu wiele jeszcze zostawało do zbadania, a nie mogąc już więcej nauczyć się i wyścignąć wieki umysłem, gdy się oparł o ówczesne słupy Herkulesowe, zwiastujące mu koniec świata, czuł przynajmniej jeszcze niedoskonałość swoją, czuł, jak wiele jest jeszcze rzeczy zakrytych przed ludźmi, które powoli odsłaniać się będą, aż do skończenia rodzaju ludzkiego; czuł, że ludzie, niezmordowani pracownicy, nieustannie waląc i odbudowując gmach prawdy, długo jeszcze nad nim wysilać się będą.

A wieluż to jemu współczesnych sądzili się u szczytu i nie domyślali się postępu w wiekach przyszłych.

Ten proroczy duch w Twardowskim cale był różny od ducha jego czasów i zadziwiający w młodzieńcu, który ledwie napozór skosztowawszy nauki, już niewiedzieć dlaczego wywijał nią z pogardą, z jaką dziecię, napierając się żelaznej, drewnianą szablą wywija. Uważano, że najmilszem jego zatrudnieniem było szydeiskie zbijanie przyjętych wówczas zasad, że z rozkoszą wyśmiewał zarozumiałych, upokarzał dumnych trochą nauki. Jego wszystkie twierdzenia miały minę komentarzy nieustannych nad słowy Salomona: *Vanitas vanitatum*. Kiedy mówił o nauce i dochodząc jej krańców, opierał się na granicy ówczesnych wiadomości, czynił to nie z radością ucznia, sięgającego pożądanego celu, lecz z westchnieniem starca, któremu nieprzełamana zapora w dalszą drogę puścić się broni.

Mając upodobanie w zbijaniu fałszów, które prawdami mniemano, i upokarzaniu półmędrków, Twardowski szukał też najczęściej prawdy i światła tam, gdzie po nie nikt jeszcze nie chodził, na naukowych śmieciskach; śmiał się z systematów i systematycznych nauki przekreśleń, wskazywał jakby odniechcenia inną drogę dla niej, inny tryb jej wykładowi. Tak wielkie różnienie się w opinji od wszystkich otaczających go mistrzów, tak wielkie zuchwalstwo ucznia i żaka w obliczu poważnych mędrków i ksiąg poważniejszych jeszcze wiekiem i uświęceniem opinij — nie były zrozumiane od wszystkich, ani należycie ocenione. Na to rachował nieco szatan, żeby posiawszy w duszy zrażonej jedno ziarno niechęci, wlawszy w nią jedną kroplę rozpaczy, zatruć ją i zamącić całe życie.

Często do zbrodni nie trzeba innej pobudki nad zniechęcenie jakieś do wszystkiego, a miejsce namiętności czynnej zastąpić może rozpacz.

Twardowski z ucznia po stopniach uczonych wyszedł na mistrza, lecz nauki jego zamiast zaspakajać

drażniły tylko uczniów, tak jak igraszka jakaś, obiecując zawsze coś więcej, im więcej odkrywały. I tak był to mistrz niebezpieczny, co zamiast głodnych karmić, czynił ich tylko zajadlej jeszcze łaknącymi pokarmu. Szatan wszystko to widział, wszystkiem kierował i cieszył się nadzieją posiądzenia duszy młodego mędrca prędzej czy później. Dotąd jednak choć nauka i wiarę w duszy jego zachwiała, nie był jeszcze szatan pewnym jej pozyskania i sidła tylko za sidłami stawiał.

W duszy mistrza nie było już tej ufności, tej wiary, z jaką szedł do piekieł, ta wycieczka jego zdawała mu się jakby snem niepojętym, w którego rzeczywistość wierzył codzień mniej, coraz słabiej. Co chwila zuchwalsze wiły mu się myśli, i skołataną niemi głowę podnosząc z posłania, Twardowski dziwił się im, skąd przychodziły, pojmując jednak, że się wyrodzić musiały i jakby przeczuwając trwożliwe ich przyjście. Wiązał je bowiem szatan jak wenecki łańcuszek niedostrzeżonemi ogniwami, jedne z drugiemi rodziły się kolejno, naturalnie, chociaż z ich słabego początku niktby się wzrostu i końca nie potrafił domyśleć.

Szerzył się tymczasem odgłos sławy Twardowskiego; najsławniejsi ówcześni teologowie, filozofowie, astrologowie, medycy naprzemiany biegli go badać i jak dziwowisko oglądać; nieraz wyzywali go na dysputy, które się zawsze zwycięstwem młodego mistrza kończyły i późniejszym wrogom odejmowały śmiałość do walki.

A tak pozyskawszy, sławę powszechną u ludzi, obudziwszy zazdrość, Twardowski stał się za wysokim dla tłumu, niebezpiecznym dla mędrków i od wszystkich opuszczony, bez przyjaciół, sam jeden pozostał. Nauka zastępowała mu miejsce przyjaciół, krewnych, wszystkiego, a tem silniej się jej chwytał i szpony

w nią zapuszczał, im mniej miał się do czego przywiązać na świecie, im więcej świat się od niego usuwał.

Opustoszał ojcowski domek, opuszczony na ręce płatne; lecz Twardowski nie dbał o to, życie jego niewiele potrzebowało, nauki są może najmniej kosztowną namiętnością, najłatwiejszą do nasycenia ubogim, którzy się im ciałem i duszą zaprzedają.

Tak biegły Twardowskiemu owe lata młodości, bez uczuć, bez wspomnień rozkoszy, które po nich, jak woń balsamiczna po zwiędłym kwiecie, na długo zostają. Sam jeden wśród wszystkich obcował tylko z światem umarłych, z księgami, które wkrótce wyczerpywać się zaczęły; znalazł w nich nieznośne powtarzania rzeczy wiadomych, natłok wyrazów bez myśli i przymuszony był nasycać się własnemi, to jest palić się sam, żeby w sobie ogień życia umysłowego utrzymać.

Niepojęta dała mu się czuć czczość wkrótce, dręcząc go nieustannie. Była ona dziełem szatana, który sprowadziwszy ją, czyhał teraz, wiedząc, że mu ta chwila stanowcza odda duszę mistrza. Jakoż dręczony żądzą niewypowiedzianą czegoś niepojętego, czego nigdzie na świecie znaleźć nie mógł, Twardowski obracał oczy na wszystkie strony i jak umierający woła ratunku, tak on wołał dla duszy wycieńczonej pokarmu. Napróżno chwytał, co spotkał, wszystko było próżne. wyschłe. Szatan czekał, a doczekawszy się pory, przybrał na się postać uczonego doktora i poszedł kusić Twardowskiego.

VI.

Jako Twardowski dysputuje z szatanem.

Była noc, a Twardowski siedział w zimnej izbie na poddaszu, przez którą okna księżyc wpadał, siedział schylony nad stosem ksiąg, których nie czytał, po których tylko oko jego błądziło z niejakąś rozpaczą. Wkoło niego rozsypane były zwykłe mędrca owych czasów przybory: mumja, krokodyl wypchany, poczwary w spirytusach, zwierciadła, osobliwości różne przyrody dalekich krajów, narzędzia i machiny, malujące swoją rozmaitością, nieładem i opuszczeniem zatrudnienia mieszkańca tej izdebki, jego myśli i tę nawet czczość, która go dręczyła nieustannie. Widać było, że wszystko był porzucił, wszystko zbadał do ostatka i nie wiedział, co dalej począć.

Chwila, w której się to działo, była jedną z przesileń naukowej rozpaczy, jedną z tych, w których Twardowski najmocniej czuł żądzę pokarmu umysłowego, nie umiejąc jej nasycić, i palenie się mózgu w samym sobie bez podsytu. Tę to chwilę wybrał szatan, aby go kusić, i zaiste wybrał ją dobrze.

Szatan miał tyle rozumu, że się nie w swojej urzędowej postaci, nie tak okropnie, jak go pospolicie malują, objawił Twardowskiemu; wszedł do niego jako średniego wieku mąż poważny, w długiej ciemnej sukni, podobnej księży świeckich odzieniu, z łańcuchem na szyi, w wysokiej futrzanej czapce, z kijem wysokim w ręku, ze zwitkiem pargaminu pod pachą,

krótka broda zakręcała mu się do góry, oczy czarne iskrzyły, nos miał orli z rozdartem nozdrzem, które tchnieniem gorącem zionęło, usta zaciśnięte jakby z nałogu szyderstwa. Czoło jego było pofałdowane, głowa nieco łysa, ręce kościste, lecz silne, uszy tylko nieco hiperbolicznej wielkości. Wszedł krokiem cichym i niepewnym, lecz jakkolwiek stąpał cicho po kamiennej posadzce pracowni, usłyszał szelest Twardowski, porwał się, obrócił i już oczy przychodnia w siebie wlepione spotkał.

Wiecie, że tak wąż patrzy na ptaka, aby go oczarować i połknąć potem.

Nie omylił się Twardowski, gdy, wnosząc zaraz ze stroju, poznał w nim jakiegoś uczonego i skrzywił się, sądząc, że, jak pospolicie, przychodził mu zarzucić jaką trudność, podchwycić go w czem, wypróbować lub o radę prosić.

W tem mniemaniu odrazu chciał go z niczem odprawić, gdy szatan, wiedząc, że niema człowieka, któregoby ze strony miłości własnej pochlebstwem złagodzić nie można zręcznie, zaczął długą orację, wynosząc jego sławę, poddmuchując ogień jego próżności, podniecając w nim i tak już bujającą dumę człowieka, któremu dotąd nikt nie sprostał.

Nad podziw dobry był skutek szatańskiego przemówienia, które się zamknęło utyskiwaniem nad smutną i posępną twarzą mędrca-mędrca, mówił szatan, który godzien był nigdy smutku nie znać.

Twardowski na te słowa wsunął ręce w szerokie rękawy sukni i siadając wygodniej w krześle, jął swoje żale rozwodzić, poznawszy odrazu, że przychodzień go zrozumie. Bo jest w toku mowy, w głosie, spojrzeniu coś objawiającego rozum i pojęcie wyższe, a baczny człowiek rzadko się na tych znakach omyli, szukając, komuby wylał swoją duszę.

— Pytasz mnie, szlachetny panie, czemum smutny, ja się ciebie spytam, jak można być wesołym? Ciżba tylko, motłoch, gawiedź wesołą być umie, bo ciżba składa się ze zwierząt nieco doskonalszych od pospolitego zwierzęcia, a ich dusza służy tylko za pierwszego niewolnika ciału. Lecz nam, cośmy wyżej zajrzeli, chce się więcej i drzemy się jak owe Giganty pod niebiosa, walim góry na góry, Ossę na Peljon, żeby wlazłszy na nie, upaść z nich potem na ziemię, w błoto. Pytasz mnie, czegom smutny? Ja mimo tej sławy mojej, o której mi mówisz, nie czuję się godnym imienia mędrca, wiele rzeczy nie pojmuję, mało mogę, wiele pragnę. A w rzeczach nauki trudno się określić w życzeniach, jak cynicy, aby nie pragnąć tylko możnych rzeczy, i zaspokoić się wodą i chlebem. Owszem, choć dręczy niespokojna chęć, miło jest i potrzeba żądać więcej niż świat ten dać może. Kto na jego mądrości poprzestał, bardzo jeszcze głupi.

Szatan uśmiechał się nieznacznie, bo bardzo był rad początkowi rozmowy i już stał na drodze, którą pragnął powieść Twardowskiego.

— Pali was — odpowiedział — szlachetna żądza nauki, która dręczyła niejednego starożytnego mędrca, której Arystoteles, to wielkie światło dawnych wieków, padł ofiarą, rzucając się w Euryp, z owemi słowy do morza: — Obejmij ty mnie, kiedy ja ciebie objąć nie mogę. Była to rozpacz spalonego żądzą wiadomości człowieka, lecz rozpacz nierozsądna. Azaliż nie lepiej próbować wszystkiego i szukać jeszcze światła i pokarmu aż do ostatka życia? Wszak życie tak krótkie!

— Światła! pokarmu! — wykrzyknął mistrz. — A gdzie ich szukać? w księgach? Ja czytałem, co tylko czytać było można, doświadczałem, co było można doświadczyć, myślałem nad wszystkiem, co myśl objąć może. I wszystkiego się przebrało, a wiele rzeczy zo-

stało dla mnie zagadką. Więc jakże sobą gardzić muszę, jak sobą się brzydzić, gdy tego nawet, co mnie otacza, pojąć nie umiem!

— Lecz kto pojąć nie może, wszakże może jeszcze w pewien sposób doświadczyć świata, używając go.

— Rzecz zwierzęcia! — odpowiedział Twardowski.

— Jak kiedy, jak komu! zwierzęcia albo mędrca! Świat może nie jest człeku do pojęcia, lecz do użycia dany. Gdy jedni usiłują go zrozumieć, drudzy tymczasem używają i wkońcu lepiej wychodzą z nasyceniem, niż tamci z rozpaczą.

— Byłżebym ja na złej drodze? — odpowiedział dumnie Twardowski, uderzając się dłonią w głowę. — Kiedy czuję w sobie żądzę niepohamowaną wiedzy i szukam, jak Archimedes, punktu oporu, na którymby myśl moja spocząwszy, świat podniosła; — byłożby to próżnem, złem, śmiesznem? byłożby to nie moją sprawą, na co się kuszę z wewnętrznego popędu?

Szatan odpowiedział — nic — nie chcąc mistrza gniewać, a widząc, że czas jeszcze na naukę użycia świata nie przyszedł, bo Twardowski mogąc, nie chciał, a zażądać miał dopiero świata, gdy go już mieć nie mógł, zażądać z całą rozpaczą niemocy, z całą gwałtownością więźnia, wyrywającego się z krępujących go więzów.

— Nie, tego nie mówię, lecz w rzeczy nauki czyliżeście już tak dalece wszystko przeszli?!

W tak obróconej odpowiedzi Twardowski ujrzał jakby wyzwanie i zaprzeczenie, uśmiechnął się i milczał. Nie zmieszany tą pogardą szatan, uśmiechając się także, powtórzył wyzwanie.

— Spróbujmy się więc! — rzekł mistrz.

— Spróbujmy! — odpowiedział szatan.

Noc była widna, księżyc świecił, wstali i poszli obydwa za miasto, gotując się do dysputy.

VII.

Jako Twardowski rozmyślał i o prawdziwym przyjacielu jego Maćku.

Nikt nie wie, jak tam się odbyła owa dysputa Twardowskiego z szatanem, bo nikt jej nie podsłuchał, a domyślać się trudno. Trwała ona późno w noc, aż nad ranem szatan zwyciężył. Mistrz tak był zdziwiony nauką djabła, że gdy już nazad wracali, spytał swego współzawodnika:

— Skądże ci to przyszło? gdzieżeś się tego wszystkiego wyuczył?

— Tę mądrość dał mi djabeł — odpowiedział uczony nieznajomy — wzamian za duszę, tę władzę, której ci dałem dowody, od niego ją mam.

To powiedziawszy i nie dając się dłużej wypytywać, skinął ręką i zniknął w ciemnej uliczce, zostawując Twardowskiego samemu sobie. Dobrze to wszystko było wyrachowane; mistrza upokorzenie i wiadomość rzucona mu zaraz w oczy, gdzie zbywającej a tak pożądanej mądrości dostać i kupić można, miały go podniecić i doprowadzić do zaprzedania się djabłu. Inaczej pewnie piekielny posłaniec nicby nie był wskórał u mędrca. Znikł tajemnie, aby rzucone nasienie miało czas wzrosnąć i wybujać w samotności.

Myśl ta, iż szatan może dać nadludzką mądrość, zastrzęgła w mózgu Twardowskiego, chciwego nauki i sławy; męczył się z nią długo i dumał jak począć so-

bie, a codzień rano wstawał z pomiętego łoża, bardziej dręczony niespokojną żądzą połączenia się z djabłem, uczynienia z nim przymierza. Żal mu jednak było duszy nieśmiertelnej, a choć pobożność jego dawno strawił ogień palący duszę, kiedy jednak jak przez mgłę przypomniał, iż tak drogo niegdyś wyswobodzenie swoje okupił, wędrując wśród tysiąca niebezpieczeństw do piekieł po cyrograf, wahał się z oddaniem djabłu znowu i przyznaniem mu niejako zwycięstwa i wyższości nad sobą.

Od czasu jednak owej nocnej dysputy z szatanem wszyscy w nim wielką odmianę postrzegli. Nie cenił już tak wysoko, jak przedtem, swojej mądrości, brzydził się sam sobą, a z powierzchowności jego bardziej niż kiedykolwiek widać było walkę wewnętrzną i smutek gryzący go pocichu. On, co wprzódy z pogardą odrzucał precz od siebie magiczne księgi, teraz począł ich szukać i powoli oswajając się z szatanem, oglądał się ażali nie spotka człowieka, coby mu drogę do niego pokazał, chociaż niepewien był jeszcze, czy warto ofiarą duszy i wieczności okupić mądrość, która możeby go nie nasyciła znowu i tylko jak niezdrowy napój gorętszem nabawiła pragnieniem.

W tych chwilach walki z samym sobą przychodziła mu nieraz z żalem pamięć młodości spokojnej, kiedy jeszcze mniej uczony i mniej sławny miał wiarę i nadzieję w duszy.

Z uczuciem wspominał sobie ławy szkolne, na których przepędził tyle słodkich godzin, ucząc się tajemnic wiary umysłem i sercem, i marmurowe posadzki kościoła P. Marji, na których klęcząc z takiem uniesieniem śpiewał pieśni nabożne. Przypominał sobie także te chwile zapału religijnego, w których sam pieśni układał, ulubione później od ludu, pieśni, które prędko w całym już Krakowie brzmiały, ale nie

brzmiały w sercu jego i nie obudzały w niem tego uczucia, które je zrodziło. Dziś poglądał okiem mędrca zimnego na to dzieło młodości, okiem mędrca, którego pożegnała wiara, którego zapał wygasnął, nadzieje powiędły. A jednak porównywając dzisiejszego siebie z dawnym sobą, żałował przeszłego szczęścia. Za późno już i niepodobna wracać do niego było — tamto szczęście było jak mleko matczynej piersi, niesmaczne i niedostateczne dla wieku, do którego przyszedł, chociaż owych czasów żałował. W życiu i w podróży rzadko kto powraca inaczej jak myślą nazad, aby znów innemi tylko kroki tęż samą przebiec drogę. I żal domu i żal młodości, a jednak śpieszym naprzód!

W tym czasie ulubionym celem przechadzek Twardowskiego stało się dzikie wśród skał ustronie za Wisłą, w Podgórzu na Krzemionkach. Tam on dni całe, a czasem i noce przepędzał sam jeden, tam za nim wlekli się często chciwi nauki uczniowie, których zdziczały nauczyciel pod gołem niebem chłostał biczem swego niedowiarstwa i zrażał bardziej od nauki niż do niej zachęcał, pokazując ją jak przepaść czarną, mającą pochłonąć nieostrożnych, co się w nią puszczają. To miejsce dzikie i smutne zgadzało się z jego smutną duszą i dzikiemi myślami, wokoło otoczony zaroślami i skałami, obrał sobie miejsce w jednem wydrążeniu i zagłębieniu wzgórza, które pospólstwo, widząc go tam najczęściej przesiadującego, nazwało potem szkołą lub katedrą Twardowskiego.

Wkrótce zbrzydziwszy sobie nauczycielstwo, rzucił je mistrz, gdyż miał tyle sumienia, że nauki zarażonej niedowiarstwem, które go dręczyło, udzielać drugim nie chciał. Niewielu tylko uczniów z ciekawości lub osobistego przywiązania chodziło za nim, lecz wkrótce i ci, nic z niego wybadać nie mogąc, opuścili go.

Jeden był tylko co przy nim pozostał, jeden chło-

piec, który Twardowskiemu służył, którego on gdzieś z ulicy z rąk umarłej pod kościołem żebraczki wziął przez litość na wychowanie. Ten, że nie miał na świecie nikogo prócz swego mistrza, został z nim, i albo za nim zdala w przechadzkach jego samotnych się błąkał, albo drzwi jego pracowni opuszczonej pilnował.

Zwał się on Maciek Sierotka; mały, chudy, blady, tę odrobinę życia, którą był winien mistrzowi, jego usłudze oddawał, jedyną jego myślą było jemu służyć, nim żył tylko, bez niego nie pojmował życia. Nie mając się do kogo przywiązać, o kim i o czem myśleć, myślał tylko o mistrzu i jego tylko kochał. Powoli to uczucie stało się w Maćku takim nałogiem, takiem zaparciem się siebie, jakiem się staje w zwierzęciu, w wiernym psie, lub kozie starej wdowy. Maciek wcielił się w mistrza i przyrósł do niego, na jawie myślał o nim, we śnie o nim marzył, a jeśli co robił, to dla niego. Jego życie było tylko dodatkiem do cudzego żywota, a biedny chłopiec nie umiał sobie i dla siebie nic począć, wszystko tylko mistrzowi, dla mistrza, w którym żył. Dziwne to przywiązanie było pośmiewiskiem u ludu, a że wcześniej jeszcze nim Twardowski czarnoksięstwu się oddał, już go o nie posądzano, ludzie gadali, że go czarami do siebie przykuł.

Maciek był kilkunastoletni, nauki nie znał jeszcze żadnej, nie domyślał się jej nawet. Dla niego całą naukę i mądrość świata składały pieśni nabożne, najmędrsi wydawali mu się księża, co tak pięknie po kościołach chwałę Bożą nucili. Mistrz zaś zdawał mu się czemś tak wyższem nad wszystkich, że o jego mądrości myśląc, Maćkowi w głowie się aż kręciło. Nigdy też Maciek nie wdawał się w dochodzenie czynności jego i pojęcie myśli, gdyż czuł, że to było nad siły; starał się tylko jak pies służyć mu wiernie, cicho, posłusznie, spokojnie, nigdy w niczem nie być zawadą. Kiedy był

chory, chorobę starannie ukrywał w sobie, kiedy był głodny, wolał ukraść kawałek chleba, niż mistrza o niego poprosić, a kiedy podarte suknie łachmanami z niego spadały, łatał póki mógł, potem oblekał na się pierwszy kubrak odarty, który gdzie w kącie nadybał, i tak żył znowu spokojny.

Twardowski zdawał się na niego i jego przywiązanie i usługi prawie nie zważać, a jeżeli zwrócił na niego uwagę, to chyba wówczas, gdy niezręczny sługa mimowolnie mu się czem naprzykrzył. Wówczas wypędzał go za drzwi, a chłopiec kładł się pod progiem, żeby być na pierwsze zawołanie mistrza, opuścić go bowiem nigdy mu nawet na myśl nie przyszło.

W czasie coraz częstszych wycieczek Twardowskiego na Krzemionki niespokojny uczeń nie wiedział z początku, co począć z sobą. Chciał on zrazu towarzyszyć mistrzowi, lecz bał się izby opuścić, której nikt nie strzegł, a zamknąć nie było czem. Wahał się więc, wybiegał i powracał, aż nareszcie rozważywszy wszystko, pozostał przy drzwiach, jak wierny pies strzegąc skarbów swego pana. Kiedy mu bardzo głód dokuczał, schodził na rynek, kradł bułkę i co najprędzej wracał znowu leżeć u progu, odprawując przychodzących jednostajnemi słowy:

— Niema mistrza, za Wisłą.

Lecz coraz a coraz liczba ciekawych przychodniów się zmniejszała, zdawało się, że wszyscy zapomnieli o Twardowskim. On zaś coraz częściej i dłużej przesiadywał na Krzemionkach, dokąd przeciw zwyczajowi swemu ani księgi nawet z sobą nie brał. Chodził tylko sam z myślami swemi. To trwało kilka miesięcy, a Maciek zawsze wierny leżał u progu komory na chłodzie, mrąc głodem, odarty, i gdy się kto nad nim litował, on, uśmiechając się głupowato, mówił:

— Cóż mi to szkodzi? mnie tu dobrze!

VIII.

Jako Twardowski postanowił zaprzedać się djabłu i co się działo w jego duszy, i jaką z djabłem ugodę uczynił.

Twardowski siedział w swojej szkole na Krzemionkach, zadumany, myślący. Nadchodziła noc już to trzecia czy czwarta jak wyszedł z Krakowa i samotny po Podgórzu błądził. Słońce było zaszło, gwiazdy słabo jeszcze przez jasny błękit nieba świeciły i księżyc czerwony z za drzew się pokazywał. Była jesień, pogodny wieczór, ale wicher opętany porywał kupy liścia, szamotał się z niemi i kręcił wkółko po drogach, po dolinach. Tam i sam widać było tumany piasku kręcące się także jak pijacy powracający z gospody i słychać było szum i szelest, a jednak niebo było pogodne, błyszczące, powietrze czyste i chłodne. W duszy mistrza było właśnie jak na dworze, pogodniej i jaśniej niż wprzódy, ale wiatry miotały w niej myślami i kręciły. Świeciły tam słabo gwiazdy nadziei i księżyc żądzy czerwony wznosić się poczynał na niebo osierocone ze słońca wiary. Wybaczcie mi to porównanie przesadzone, taki był wówczas język poezji.

Twardowski był już postanowił nieodmiennie wezwać djabła, widzieć tej jeszcze nocy i po próbie jego sił oddać mu duszę wzamian za naukę i mądrość wielką i sławę. Dziwna myśl ostatecznie go do tego kroku popchnęła. Przypomniał, że już raz był w ręku

szatana, że tylko przypadkiem i dziwnem szczęściem cyrograf na swoją duszę wydarł piekłu. Jak gracz przegrane w kości pieniądze odzyskawszy, po chwili je znowu rzuca, mówiąc, że już były raz przegrane, tak i on duszę swoją święcił, powiedziawszy sobie, że gdyby nie traf, i tak byłaby w rękach szatańskich. Takim argumentem pokonawszy odzywający się w sobie żal po nieśmiertelnej duszy, czekał już tylko nocy Twardowski. Wszystko było przygotowane i wola i czarnoksięskie narzędzia; czekał tylko północy, aby się udać na rozstajne drogi.

Lecz chwila pożądana, stanowcza nie przychodziła; wlókł się czas powoli, jakby mu namyślenia i rozwagi zostawiał godzinę, a Twardowski odpychał umyślnie przeciwne myśli. Mimowolnie jednak cisnęły się one tłumnie, przychodził żal czystej młodości, zaglądał przestrach, a choć ich mistrz odganiał, cisnęły się znowu i znowu i siadały na piersiach, na głowie, dręczyć i ciężyć. Próżno z okiem wlepionem w zachmurzające się niebo Twardowski śledził, upatrywał zbliżenia się północy — północ, jakby umyślnie, była jeszcze daleko. Tyle jeszcze czasu mając do stanowczej godziny, mistrz począł, już się nie odganiając myślom, dumać głęboko, postawił im czoło, otworzył duszę z odwagą rozpaczy i rzekł w sobie:

— Nic mnie od tego kroku nie odwiedzie — postanowiłem, wykonam. Jeżeli w ręku szatana jest ostatek nauki, której próżno okruchy po ziemi zbieram, jeśli on ma wiadomość wszystkiego i władzę nadludzką, jeśli mnie niemi obdarzyć może — ja mu oddam duszę! oddam mu siebie.

Naówczas w duszy mistrza powstało wspomnienie młodości, w białej niewinności szacie, z zielonym wieńcem na głowie, z wiarą w sercu, nadzieją na czole, miłością w piersiach, i rzekło mu:

— Czyliż ci nie dość wiary, nadziei i miłości?

A Twardowski odpowiedział:

— O! nie dość mi wiary, bo wiara jest ślepa; nie dość mi nadziei, bo ona zwodzi; nie dość mi miłości, bo ona do niczego nie służy, ona nic nie zaspokaja. We mnie upada nadzieja i miłość stygnie; muszę dać życiu zajęcie nowe, nową wiarę, nadzieję i miłość rzeczy gminowi niewidzialnych, niedostępnych, niepojętych.

I powstała w duszy jego żądza sławy, strojna w poważną, czarną suknię, z łańcuchem na piersi, z laurem na skroni, z marszczkami na czole, i rzekła:

— Wszystkie sposoby wzniesienia są dobre, byle się człowiek podniósł. Między robakiem, co się czołga, a człekiem, który nic wyższego nie pożąda nad to, czem jest i co posiada, niema różnicy!

I znowu podniosła się z głębi duszy jego pobożność, z krzyżem w dłoni, oczyma w niebie, łzami w oczach, i płacząc, odezwała się do niego:

— Nacóż mnie opuszczasz, mistrzu, a zaprzedajesz się szatanowi, dla marnej żądzy sławy? Azaliżem ci nie służyła wiernie? azaliż, w pocie twojego czoła gdyś pracował, jam ci pracy i znoju nie słodziła? azaliżem ci ukazując sprawiedliwość Bożą, nie wyjawiła całej tajemnicy świata i życia? I czegóż ci więcej trzeba było nad pociechę na ziemi i nadzieję przyszłego żywota, które ci szczodrą ręką sypałam na głowę? I nacóż opuszczasz mnie, a rzucasz się w rozhukane morze twej nienasyconej namiętności? Azaliżeś zapomniał, że ubogich w duchu jest królestwo Boże, a królestwo Boże jest wszystką mądrością? Azaliżeś zapomniał, że tam w niebie wszystkie się tajemnice odkryją, a mądrość ludzka wyda się pogardy godną i nikczemną? I za tę to mądrość oddasz duszę nieśmiertelną?

Ale głos pobożności, obumarły i słaby, zagłuszyła żądza sławy, z okiem zapalonem i rozstawionemi jakby do pochwycenia świata ramionami wołając:

— Pragnę, pragnę! bodajbym octu i żółci napiła się, dawajcie mi napoju. Nie odwrócę ust od kielicha goryczy, bo pragnę, pragnę napoju!!

Naówczas biała i czysta i cicha i skromna cnota pozostała jeszcze i mówiła, płacząc:

— Odpychasz mnie od siebie, mistrzu! Cóżem ci zrobiła? Czyliż przekonanie, żem z tobą była, nie słodziło ci każdego kroku po cierniach, nie ocierałoż ci potu z czoła, łzy z oczu? Czyliżem ci jak wierna żona nie umaiła życia spokojem sumienia, nacóż mnie dla nałożnicy odpychasz?

I płakała i tuliła twarz w ręce.

A na to jej znowu odpowiedziała żądza sławy, żądza mądrości:

— Pragnę, pragnę napoju! napoju! octu czy żółci, czy krwi, byle napoju, byle coraz nowego, byle napoju bez miary!

I cnota ucichła i skryła się.

A gdy te mary przeszły, ukazały się dwa cienie białe, lecące na chmurkach jesiennych i zstępujące ku ziemi. Poznał w nich mistrz ojca i matkę. Oboje mieli gwiazdy nad głową i palmy w ręku jak święci męczennicy, i słodko mówili dwoma głosami, a jednemi słowy do syna:

— O synu nasz! nacóż ci więcej nauki nad tę, którą masz? Myśmy jej nie mieli, a przecież dość nam jej było na dwa życia i na całą wieczność. Bo jeśli chcesz szczęścia, synu nasz, szczęście ziemi jest w pokoju, miłości i rezygnacji, nie w nauce; bo jeśli chcesz sławy, sława jest w bohaterskiem poświęceniu się, nie w mądrości; bo jeśli chcesz rozkoszy, rozkosz najwyższa jest w połączeniu dwóch dusz i serc. A nauka jest

przepaścią, której człowiek nie pożre, która go pochłonie i zniszczy jak drobnego robaka. Wiadomość złego i dobrego wszystkiego zgubiła pierwszych rodziców i zgubi każdego, kto dumnie z Bogiem chcąc się równać, zechce świat pojąć małą swoją duszą, w której ledwie kątek jego odbić się może. Nacóż ci, synu, nauka? Będziesz ją przeklinał potem, gdy ci życie zepsuje i zaczerni! O synu nasz, nacóż odmieniasz drogę i idziesz do piekieł, z których już raz za łaską i pomocą Boga wyrwany zostałeś? O synu nasz, zawróć się!

I płakały cienie, a ich łzy spadały na spaloną pragnieniem duszę mistrza, ale jej nie nasyciły, bo żądza sławy i mądrości wołała ciągle:

— Pragnę, pragnę! Nie odwrócę ust od octu i żółci, bylebym się napiła! Pragnę, pragnę!

W tej chwili Twardowski zwrócił oczy na gwiazdy i ujrzał, że się już miało ku północy; zaczem wstał ze skały, którą zwano katedrą jego, i poszedł na rozstajne drogi, gdzie już szatan na niego czatował.

Nad drogą stał stary krzyż, pochylony, nadgniły, mchem obrosły, ze skrzypiącą chorągiewką, przewiązany kilkakroć białemi fartuszkami pobożnych wieśniaków. U jego stóp walały się połamane koła, kilka suchych gałęzi i kamień leżał w ziemię już zasunięty. W chwili, kiedy się ku temu miejscu mistrz zbliżał, pogodne niebo nocy jesiennej zachmurzyło się, zakryło szarą oponą i wiatr dąć zaczął groźniej z północy, porywając i niosąc z sobą odłamki głazów, piasek, gałęzie i poschłe liście. Mistrz obejrzał się. Od krzyża szło dróg cztery, w cztery świata strony. Ku południowi droga rozkoszy, szeroka i wygodna; na północ droga pracy, znoju i cierpienia drapała się po górze; na wschód była droga nadziei, na zachód rozpaczy i żalu. Wszystkie cztery były ubite, i po wszystkich niósł wia-

ter kłęby piasku okręcające się szybko, jak tanecznice na kiermaszu, strzelające w górę lub opadające o ziemię i rozsypujące się po drodze. Nad drogą rozkoszy leciało stado gołębi, nad drogą pracy unosił się skuty w pęta białozór, nad drogą nadziei leciały gęsi dzikie, a na zachodzie krzyczały puhacze i sowy i kruki.

Mistrz zdjął suknię i wywrócił ją na nice, potem z kieszeni dobył kredę święconą i świecę z tłustości trupa, wody kubek, kropidło, książkę jakąś, kości ludzkie i czarnoksięską utkwił w ziemię laskę, czarno pomalowaną w białe znaki. Zakreślił na ziemi krąg kredą, którego środkiem był krzyż ów stary, zapalił świeczkę, kości rozrzucił, wodą pokropił i jął wołać zaklęcia językiem, złożonym z odłamków wszystkich języków umarłych i żywych, i które wiatr niósł na cztery drogi świata.

— Duchu czarny! — wołał — oto człowiek chce ci duszę swoją zaprzedać, przybywaj i przynieś z sobą całą potęgę, jaką masz, albowiem nie zaprzeda ci się za złoto, ani za rozkosz, ani za nic, prócz mądrości i sławy. Pokaż mu drzewo wiadomości, — a weźmiesz jego duszę.

Przybywaj, czarny duchu, zaklinam cię w imię wodza twego, który naprzód spadł z nieba i głową w dno piekieł uderzył! zaklinam cię przez twoje poniżenie, przez twoje męki, przez twoją nędzę i upokorzenie z woli Bożej, abyś przybył i gotową ku tobie wyciągnioną duszę od Boga odebrał! Wyzywam cię przez imiona wszystkich szatanów, strąconych w dniu zwycięstwa! przez głębokość piekieł, przez ogień piekielny, przez wszystkie dusze, które wyszły z otchłani odkupione, przez wszystko, coś cierpiał i cierpisz, przez wieczność cierpienia, która jest przed tobą! — Wyzywam cię po raz, wyzywam cię po dwa, wyzywam

cię po trzy i po siedem, i siedemkroć siedem wyzywam cię, ukaż się!

Kiedy tych ostatnich słów domawiał, czerwonem światłem oświecona postać stanęła przed kołem. Poznał w niej Twardowski owego mędrca, z którym dysputę i walkę miał niedawno, i usłyszał głos jego chrapliwy i szyderski:

— Chcąc się djabłu oddać, nacóż było święconej kredy i wody używać i tak się od niego odgradzać?

— Bo nie chcę, żeby mnie darmo, jak dziecię, pochwycił — odpowiedział mistrz — i wiem, z kim mam do czynienia. Ty jesteś posłaniec piekielny?

— Ja, mistrzu. Mów, czego chcesz ode mnie?

— Czego chcę? Żebyś mi pokazał drzewo wiadomości, żebyś mnie uczynił na ziemi mędrszym od mędrców i od wszystkich silnych nauką silniejszym; żebym znał świat, jak ten, co go stworzył; wszystkie jego tajemnice, przeszłość i przeznaczenie, i siły rzeczy i siły istot, żebym był najmądrzejszym z mędrców, żebym był sławniejszym od najsławniejszych, wyższym od najwyższych.

— Wiele pragniesz, mistrzu — odparł szatan. — A cóż dajesz za to?

— Moją nieśmiertelną duszę!

— Duszę! — odpowiedział, śmiejąc się, szatan, — alboż wiesz, że ona tyle warta? alboż wiesz, czy i tak nie jest już ona w mocy szatana i na drodze, na której już raz była zamłodu?

— Wiem, — rzekł mistrz — że pokuta wszystkie moje dotychczas popełnione grzechy zmazać może; wiem, że nie jestem jeszcze na drodze do piekła bez powrotu; wiem, że dusza mędrca warta jest tego, co za nią żądam, bo wiedzie za sobą dusz wiele, uczniów i wielbicieli nierozumnego tłumu, i głupich naśladowców, wiedzie jednych, chwytając za nozdrza kagań-

cem przekonania, drugich przykładem, innych ciekawością, innych odurzeniem.

Szatan, odebrawszy śmiałą odpowiedź, rozśmiał się i odrzekł:

— Pisz-że cyrograf na swoją duszę.

— Powoli—przerwał mistrz.—Pokaż mi wprzód, co mi dać możesz za tę duszę, którą ci przedaję, nie oddaję.

— Jużem ci dowiódł przy pierwszem naszem spotkaniu, że mam mądrość i wiedzę wszystkiego.

— Nie dość mi na tem, coś pokazał. Pokaż mi jeszcze, że mi dać możesz, że masz władzę użycia twej wiedzy na ziemi.

— A to jak?

— Zadaję ci trzy próby, szatanie. Oto naprzód przeniesiesz wszystkie srebro, jakie gdzie jest w Polsce, w jedno miejsce, do Olkusza, do zarzuconych kopalń, które karą Boga za świętokradzki uczynek tamecznego magistratu przestały ludziom dawać zasiłek. Niech tam leży wszystko srebro dla mnie, żebym ja niem tylko rozporządzał.

— A toż na co, mistrzu? — odezwał się djabeł — chceszże zubożyć swój kraj, zsypując wszystko srebro, skąd go już nigdy dobywać nie będą procesem i klątwą wyniszczeni mieszczanie, cóż ci z tego przyjdzie?

— Tak chcę, tak być ma — odpowiedział mistrz.

— I cóż więcej? — zapytał, śmiejąc się szatan — widzę, że z tobą ciężko będzie, i więcej się koło tego natrudzić potrzeba, niżeli tego twoja nadpróchniała dusza warta.

Twardowski dumnie się uśmiechał.

— Powtóre, — rzekł — przez tęż noc wykopiesz mi staw pod Knyszynem i przerzucisz z miejsca na miejsce kamień ogromny, leżący pod Czerwieńskiem; po trzecie nareszcie, postawisz mi skałę sokolą pod Krakowem tak, aby grubszym końcem w górę, cieńszym

na dół stała. Wszystko to masz zrobić w moich oczach, bez pomocy ludzi, i to dzisiejszej jeszcze nocy. Naówczas przekonasz mnie o swej władzy i wiedzy, a ja umówię się z tobą o duszę moją.

— To wszystko jest tylko próbą! — zakrzyknął szatan. — Mądryś, mistrzu! Ale gdyby ci się po tej próbce nie podobało zrobić ze mną umowy, cóżby naówczas było? Za cóż ja mam darmo się trudzić i świat przewracać? Hę?

Nic nie odpowiedział mistrz, a po chwilce mruknął:

— Wola twoja! dwoma tylko słowami możesz mi dać odpowiedź. Tak lub nie.

Djabeł się zamyślił i kopytem skrobał w głowę, wykrzywiając poczwarnie, zdając się coś rachować, mrucząc pod nosem.

— Ciężka próba! ciężka! Pisz tymczasem cyrograf — potem zobaczymy! Zrobię zresztą, co zechcesz.

— Nie wprzód, — odpowiedział mistrz — aż mi pokażesz, co możesz.

— Targujesz się upornie.

— Przedaję ostatni łachman i najdroższy, — rzekł mistrz — żeby nasycić pragnienie moje. Muszę się targować, bo to ostatni targ. Nie chcę ci oddać darmo i bez korzyści mojej nieśmiertelności. — Myśl, djable, i czyń, jak chcesz.

— Wystąpże z koła — rzekł szatan, prostując się. — Idź za mną, zrobię, co chcesz.

Na te słowa Twardowski pokropił się wodą święconą, wziął w ręce książkę, przeżegnał się pobożnie i wyszedł powoli za koło. Szatan, patrząc na to, zębami zgrzytał, gdyż zapewne myślał podejściem mistrza pochwycić, a tak uzbrojonego dotknąć się nie mógł. Nadeszła trąba piasku, kręcąca się na rozdrożu, wsiadł w nią Twardowski z szatanem, polecieli pędem błyskawicy, szybując ponad ziemią, aż do Olkusza.

U zapuszczonego otworu kopalni stanął mistrz i czekał, szatan zniknął. Po chwili ukazała się czereda wielka mar, niosących na plecach szare jakieś bryły. Zbliżyli się oni, rzucili ciężar pokolei w otwór i szli znowu i znowu wracali bardzo długo. Aż szatan, ich wódz, który im we wszystkich przewodniczył wędrówkach, ukazał się wreszcie sam jeden, niosąc w garści maleńki kruszcu odłamek. Rzucił go w jamę i rzekł:

— To ostatni.

— Jakże mi tego dowiedziesz, że tak jest? — spytał mistrz złapany.

— Jakże ty mi dowiedziesz, że tak nie jest — odpowiedział szatan.

Twardowski musiał poprzestać na tem, chociaż niepodobna mu było przekonać się, czyli w istocie srebro djabli znosili i czy wszystkie znieśli. Tymczasem szatan schylił się nad kopalnię i plunął w nią, jakby odniechcenia — a woda zalała ją zupełnie.

Siedli znów mistrz ze swoim przewodnikiem w wietrzny młynek i lecieli do Knyszyna.

Tu Twardowski ukazał djabłu uroczysko, zwane Czechowszczyzna, które mu kazał w staw zamienić. Szatan wybiegł na środek, zaczął rwać ziemię kopytami, pazurami, zębami, wyrzucał ją na boki, miotał ogromnemi bryły, aż wyorał dno stawu i szeroko je rozwiódł, potem, stanąwszy u brzegu zdyszany, plunął znowu i zalało się wodą, która aż o przeciwny brzeg z szumem się odbiła.

— To wtóre, — rzekł — czas krótki, śpieszmy do roboty, nim kur zapieje.

I znowu siedli i znowu lecieli pod Czerwieńsk. Mistrz pokazał djabłu kamień ogromny, w ziemię zapadły, zapleśniały, mchem porosły, i kazał go o staje przez las i wodę przerzucić za łąki na miejskie pole.

Djabeł kręcił głową, brał się do kamienia to z tej,

to z drugiej strony, stękał, wreszcie, ująwszy go pazurami, podważył i na pole stoczył. Potem podszedł doń tyłem, ręce za siebie przełożył, zarzucił go naprzód na ramiona, jak wór mąki, ujął silnie, nad głowę podniósł, zamachnął się i bryła, świszcząc i warcząc ponad wierzchołki lasu, których dotknęła w przelocie, mignęła się w powietrzu i z hukiem upadła na pole.

— Teraz wróćmy do ostatniej próby, pod Kraków, — rzekł szatan — lecz, mojem zdaniem, dośćby ci być powinno tego, com dotąd dokazał.

Mistrz nic na to nie odpowiedział, znowu lecieli pod skałę, sokolą zwaną lub pieskową, która naówczas stała jeszcze ostrzem w górę. Tu gdy stanęli, szatan obszedł ją dokoła, obejrzał podstawę, wstrząsnął głową, wierzchołek mierzył oczyma i myślał, jak począć.

Twardowski ciekawie, jak się szatan do tego weźmie, poglądał. Ta mała postać, której przy skale ogromnej prawie widać nie było, kręciła się i chodziła, czmychając, parskając, dotykając pazurami skały, patrząc zpodełba na nieruchomego mistrza. Nareszcie szatan podniósł się na palce, a raczej na kopyt swych końce, i nagle rosnąć zaczął tak, iż dobrze głową skałę przerosnął, a mając już ją pod ręką, wziął, jak pałkę, za koniec, wzniósł do góry, przechylił, zniżył się i cieńszym końcem postawił na podstawie. Nie zaraz jednak ustawiła się, kiwnęła się jeszcze kilka razy i chrupała, aż szatan ją mocno przycisnął i dokazawszy ostatniej próby, zmalał znów do dawnego swego wzrostu.

— A cóż, mistrzu, — rzekł — jak ci się zdaje?

— Chodźmy pisać cyrograf.

— Służę wam ochotnie — chociaż okropną zadaliście mi pracę i ciężkom się zziajał, nimem jej dokonał.

To mówiąc, oba udali się znowu do szkoły Twardowskiego na Krzemionki.

IX.

Jako pisali cyrograf.

Tu gdy stanęli, zapalił na nowo mistrz świeczkę i wyjął kawał czystego pargaminu z zanadry.

— Cóż to myślisz, mistrzu, — rzekł, widząc to szatan — że cyrograf pisze się jak wasze *acta et munimenta* na prostej oślej lub cielęcej skórze, że sprzedaż duszy piekłu może się pomieścić na tej brudnej karcie, na której, ku wiekuistej pamięci, *omnibus et universis* daje się wiedzieć *praesentibus et futuris*, o nadaniach dla mnichów, lub ekscepcjach serc bydlęcych dla ptactwa fundatorów, to jest, o ich przeżywającej chciwość dumie i żądzy pochwalenia się? O! nie, nie! ja niosę z sobą wyprawną we Włoszech skórę z grzbietu ludzkiego, z grzbietu wisielca, jest to najtwardszy, jaki być może, kawał pargaminu, bo i za życia wybity kijami, i po śmierci dobrze wyschły na szubienicy.

Pojmujesz też, mistrzu, — mówił dalej bez zastanowienia — że proste *atramentum* do pisania służyć nie może, ani minjaturystów i rubrykantów wymyślone farby. Piekło przyjmuje tylko za formalne cyrografy krwią pisane. Krew, występuje w nich symbolicznie, jako zadatek z ciała, gdy myśl zawarta jest jakoby zadatkiem duszy człowieka. Są to dwa końce, któremi po śmierci ciągniemy *ad infernos* duszę i ciało. Pozwolisz sobie zatem nieco krwi z serdecznego palca wycisnąć, dosyć będzie kropelki, a ja już rozrobię. Lecz

naprzód pono wypada mówić o redakcji aktu; spuścisz się li na mnie, jako na najlepszego notarjusza?

— Nie, będziem każdy punkt roztrząsać.

— Cóż robić z upartym? A więc do dzieła. Sprzedajesz swoją duszę, co chcesz za nią? Mów wszystko a wszystko i wyraźnie. Traktujemy rzeczy okrągło, nie tak, jak Żydzi beczkę śledzi targują.

— Chciałbyś we mnie wmówić punkt honoru — rzekł mistrz — aby mnie oszukać łatwiej! Nic z tego! Powoli! Naprzód, waruję sobie, że mi dasz wiedzę i mądrość szatańską o wszystkiem i do wszystkiego, a to *intuitive* natchnioną, bez mozołu, rosnącą w miarę moich potrzeb.

— Zgoda na to. Lecz wyzuć się z tak wielkiej rzeczy — odpowiedział szatan — nie można, nie opisawszy się jak jej użyjesz. Piekielna mądrość nie może być odwróconą od usług piekła. A zatem przy warunku warunek wzajemny, iż jej nie użyjesz nigdy na dobro, zawsze na szkodę ludzką. Innego użytku mieć nie można z tej mądrości.

— Więc ją w działaniu i skutkach ograniczasz a tem samem...

— Daję, co mam — rzekł szatan.

— A ja z tym darem — odpowiedział mistrz — będę miał związane ręce! To być nie może, — krzyknął — ja chcę mieć wolną wolę.

— Tego ci nawet szatan nie da — odpowiedział kupiec na duszę. — Jest to słowo bez rzeczy, czysta abstrakcja, pojęcie do tego fałszywe, choć na oko nie bez zasady. Niema woli wolnej nikt na ziemi, i ty jej tak, jak rozumiesz, mieć nie możesz.

— Więc wszystko za nic.

— Ach! wolno, mistrzu, wolno! powoli! Lecz gdybym ci powiedział, że ty możesz robić, co chcesz, a pie-

kło tylko czuwać będzie, aby żadna twoja sprawa nie poszła ludziom na dobre?

— Jest to niewola już, gdy ja wiem o tem.

— Może ci się zdawać, że czynisz dobrze.

— Będę już przeczuwał, że z mojej ręki dobro się na złe zamieni.

— Nie będziesz tego czuł w chwili uczynku, pochodzącego dajmy z serca. Wolno ci nie mieć złej intencji.

— Ale robisz mnie już winnym samą wiadomością, którą mi dajesz teraz!

— A! cóż chcesz, mistrzu! coś przecie trzeba poświęcić.

Twardowski pomyślał chwilę i rzekł:

— Ktoś tu z nas dwóch się oszuka.

— Przystajesz?

— Zgoda!

I oba się uśmiechali. Stanął tedy punkt pierwszy.

— Dasz mi powtóre — rzekł mistrz — sławę! Bo sława jest *potęgą* na świecie. Sławny człowiek w sławie swej ma siłę nową do działania, sława jest patentem, zapewnieniem, że czynności zostaną przyjęte. Sława wiąże tłum do mnie i czyni mnie jego panem. Pożądana jako marne nasycenie próżnej dumy. Sława jest to także wielkie imię czczej mary; ale pożądana jako siła, jako narzędzie do działania, jako berło panowania nad umysłami, — sława — naówczas — to rzecz wielka, ważna!

— Dam ci, panie, wszystkie sławy, jakich chcesz i na jaki chcesz osobisty użytek, — odpowiedział szatan — bodajby na taki, na jaki służy dziecięciu pieśń mamki u kołyski.

— Dasz mi po trzecie władzę szatana, czynić nią rzeczy cudownych, przeciw wyraźnemu trybowi przyrodzenia.

— Da ci to napozór nie ja, ale twoja mądrość piekielna. Dodam tylko, iż w rzeczach, przewracających tryb przyrodzony i nieodmienny, władza nasza nie jest właściwie niczem innem, tylko symulacją władzy. My nie *czynim* cudów, ale umiemy *udawać* cuda i dziwy.

— Mniejsza o to, jakiej są natury cuda wasze. Zgoda?

— Zgoda, — rzekł szatan — widzisz, że ja wspaniale rzeczy traktuję. A teraz moje propozycje. Oddasz mi najprzód, po najdłuższem życiu, duszę swą całą i pójdziesz do piekła — pójdą z tobą wszyscy, którzy w ciebie uwierzą, których ty sobą zgorszysz.

— Mnie nic do nich — odpowiedział mistrz. — Co się tyczy mojej duszy, weźmiesz ją sobie po śmierci, ale ja chcę długiego życia.

— Co to do mnie należy?

— Tyś je gotów skrócić?

— Nie mogę, choćbym chciał i dziś ci pewnie głowę urwać po podpisaniu cyrografu. Z tem się nie taję, iżby mi to prawdziwą sprawiło satysfakcję. Jednakże, — dodał — ponieważ tak drogo przedajesz duszę, słuszna jest, abyśmy ją wzięli z ciałem razem, i nim jeszcze z niego wynijdzie, abyśmy cię całego i żywego ze świata porwali.

— Żywego? — krzyknął mistrz głośno — żywego??

— Tak, żywego — odpowiedział djabeł spokojnie. — Inaczej niema zgody. Gdybyś leżał na łożu śmiertelnem, przyszliby księża, zaczęliby może nawracać, wmówiliby ci spowiedź, skruchę, pokutę, żal i zaprzanie się własnych uczynków. Naco piekłu ten kłopot? Nam cię dla wszelkiego bezpieczeństwa wziąć potrzeba w godzinie przedśmiertnej zdrowego i żywego.

— Dobrze, — odpowiedział mistrz po chwili na-

mysłu — lecz obwarujem miejsce, w którem mnie wziąć będziecie mogli, a nie gdzie indziej.

— Miejsce? a toż naco?

— Tak, a nie inaczej. Trudność za trudność. Urywasz mi kawałek życia, słuszna, abym to sobie czem innem nagrodził. Nie weźmiecie mnie inaczej, jak w Rzymie.

— A toż co? — zakrzyknął szatan — w Rzymie! A toż dlaczego? Pocóż waści do Rzymu?

— Bez tego za nic umowa.

— Ale to być nie może.

— Bez tego zrywam wszystko.

— Mistrzu! — szydzisz ze mnie.

— Chyba ty, szatanie.

— Dlaczegóż w Rzymie?

— Chcę stamtąd pójść do piekła.

— Czyli myślisz, że cię świętość miejsca obroni?

— Bynajmniej, lecz żądam nie z mego rodzinnego kraju, nie z moich drogich mi miejsc przejść do piekła, ale z dalekiej krainy, gdzie mnie nikt nie zna, gdzie ten wypadek niepostrzeżony przejdzie.

— Mistrzu! — Toć dość ci będzie wyjść za granicę. Czemuż nie Amsterdam, czemu nie Paryż, ale Rzym naznaczasz?

— Powiedziałem Rzym.

— Dziwnyś, mistrzu.

— Upartyś, djable.

— Więc inaczej nie chcesz?

— Nie mogę. Tak lub nie.

— Ciężki jesteś, lecz cóż z tobą począć, niech i tak zresztą będzie. Wszakże sam miarkuj, co ja poczne, gdy ty w porze nie zechcesz przybyć do Rzymu, czego, między nami mówiąc, bardzo się spodziewać mogę.

— W tem twoje staranie, twoja biegłość i mą-

drość, — rzekł Twardowski — żebyś mnie do tego zmusił, nakłonił, spowodował.

— Niechże i tak będzie — odpowiedział szatan. — Dobrze, dobrze — no już po wszystkiem i zgoda przecie. Piszmy teraz prędko cyrograf, bo kury zapieją.

To powiedziawszy, wziął czart palec Twardowskiego, ukłuł go i umoczył we krwi pióro, poczem, głośno wymawiając pisane słowa, cyrograf redagować zaczął na danych warunkach.

Kiedy Twardowski podpisem swoim zamknął spisaną umowę, na ogromnym pargaminowym zwicie, i pieczęć swoją, jak błazen, na czarnym wosku wycisnął (błazny pieczętowali na czarnym wosku) — kur zapiał po raz pierwszy w oddaleniu, wszystko znikło. Promyk blady wschodzącego dnia uderzył jego oczy znużone, sparł się na łokciu, i broniąc się snom, usnął mimowoli.

X.

Jako Twardowski powrócił do Krakowa i co dzwony mówiły.

Obudził się mistrz; — dzień już był na niebie biały, chłodny poranek. Maciek sierota leżał u nóg jego i w oczy mu patrzał. Skąd się wziął i kiedy? niewiadomo było mistrzowi. Znużony wypadkami nocnemi, podniósł on zwolna powieki i otworzywszy oczy, spotkał w swej głowie przy poruszeniu się pierwszem przebudzającej myśli przypomnienie tego, co się działo z nim niedawno, uczuł w sobie odmianę znaczną, inaczej świat rozumiał, inaczej go całkiem, niż wczoraj jeszcze, pojmował.

Wszystko to objawiło mu się z pierwszem spojrzeniem na świat. Czuł się wprawdzie tym samym, bo pamiętał swoją przeszłość, bo, jak roślina, trzymał się jeszcze wczoraj wyrosłej łodygi, która ją z ziemią łączy, ale między wczoraj a dziś stała jakaś zapora, granica, oddzielająca dwa życia — oddzielne i do siebie niepodobne. Tamto przeszłe życie było żywotem pracy, niepewności, udręczeń, a razem nadziei, poczynające się nowe było zamknięte, odkreślone, odgraniczone, nacechowane dumnem zaufaniem w sobie, upodobaniem w złem i wyrządzaniu złego. Zdumiał się swoim nowym uczuciom i myślom mistrz, bo poznał jeszcze resztą wczorajszych wrażeń, że szatan nie dał mu mądrości, jakiej pragnął, lecz zarozumienie i złość swoją.

Jednakże głębiej się roztrząsając, ujrzał, że wszystko na świecie lepiej, jaśniej i wyraźniej mu się tłumaczyło, objawiało bez tajemnic. Wewnętrznie więc zadowolił się tem, nierad uczuciu jakiejś nienawiści ludzi i świata niepojętej, której wprzód w sercu swojem nie miał.

— Cóż tam, Maćku, — spytał — pocóżeś aż tu przywędrował?

— Bom był niespokojny o ciebie, mistrzu.

— Alboż masz jakie obowiązki względem mnie?

— Obowiązki? — rzekł sierota z podziwieniem. — Jestem ci wdzięczen.

— Cóż to wdzięczność? — spytał Twardowski z uśmiechem niedowierzania.

— Jest to, mistrzu, co serce obwija całe jakby wstęgami i ciągnie je ku dobroczyńcy. Uczucie nieopisane zlania się, pociągu i chęci poświęcenia.

— Jest to — rzekł mistrz, przedrzeźniając po szatańsku — wędka na nowe łaski.

— O! nie, mistrzu.

— Co słychać w Krakowie?

— Mówią wiele o tobie wszyscy.

— Cóż mówią?

— Dziwią się, że na Podgórzu siedzisz, a mieszczki gadają, że z szatanem masz zmowy. — Maciek się, to mówiąc, przeżegnał, a Twardowski się rozśmiał.

— A więcej? — rzekł.

— Pospolity lud codzień mnie pyta o ciebie, bo wiedzą, żem twój sługa. Przychodzą do twojej izby tłumami na radę i niepokoją mnie badaniem. — Kiedy on wróci? Czy nie mógłby mi co poradzić? Oni myślą nawet, że ty możesz robić cuda.

— Może mogę w istocie — odpowiedział mistrz dumnie.

— A czemuż nie chcesz pomagać ludziom, kiedy możesz?

— Czemu? Alboż ty wiesz, co ja tu robię, a czego nie robię, siedząc w tej pustyni?

— Chodźmy jednak, mistrzu, lepiej do miasta. Dawno w twoich książkach myszy tylko czytają, i pył pokrył machiny i koście i słoje. Czyliżeś z nich, mistrzu, wszystkie już, jakie było można, wyczerpał mądrości?

— Wszystkie i wszystko! — odpowiedział Twardowski — spalić je teraz można bez żalu!

— Czemuż ze swoją mądrością kryjesz się od ludzi?

— Mówiłem ci, że nie wiesz, co ja czynię i jak czynię.

Maciek umilkł.

Szli ku Krakowu, a zaledwie zapuścili się w ulice miasta, posłyszeli odzywające się dzwony kościołów, jęczące głosem płaczliwym.

— Co to, mistrzu, — spytał Maciek — że dziś tak żałobnie dzwonią, to po czyjejś duszy.

Nic nie odpowiedział Twardowski, lecz i on słyszał głos dzwonów, a dzwony wyraźnie mu mówiły:

— Biada! biada złej duszy, która się zaparła Boga i wieczności z Nim, dla świata i mądrości światowej. Biada duszy, która się oddała szatanowi, bo czeka ją męka długa za krótkie zwycięstwo, bo zgniecie ją wieczność męczarni, jak robaka i upokorzy jej dumę, i podepcze jej wielkość; i biada, biada duszy mistrza! bo mistrz wielki dziś umarł dla nieba! i żyć zaczął piekłu!

A dzwonom odpowiadały dzwony i w całem mieście odzywało się:

— Biada duszy Twardowskiego.

Zdawało się mistrzowi, gdy to słyszał, że wszyscy, jak on, rozumieją głos dzwonów i szedł dalej, śmiejąc

się szydersko, gdy jego uwagę zwróciły oznaki uszanowania mieszczan i ludu.

Częste jego wycieczki z miasta na Podgórze, długie tam przebywanie uczyniły go w oczach tłumu tajemniczą postacią. Mówiono już o nim, jak o wielkim czarnoksiężniku i każdy go uważał jako cudo mądrości. Sława jego urosła wysoko, rozpłynęła się po ostatnich aż społeczeństwa klasach — pełno jej było wszędzie. Poznał to Twardowski po wyrazach otaczających go twarzy i serce jego rozradowało się.

— Lecz, — rzekł w sobie — jest li to sprawa szatana, lub skutek innych dalszych przyczyn?

Gdy tak myśli, stara kobieta przystąpiła ku niemu i ucałowała jego rękę, i rzekła pokornie:

— Mądry panie, ulecz moją córkę.

Twardowski chciał spróbować, czy ma wiedzę szatańską i szukał w głowie, czyli mógł zgadnąć kto ona była, ta stara i jej córka. Jakoż po chwili namysłu znalazł w sobie przeczucie, że one obie mieszkały na Kleparzu, w nędznej chacie komornice, że córka od dzieciństwa była słabą i że ją mogła uleczyć woda z niedalekiego źródła.

— Cóż jest twojej córce? — spytał starej roztargniony.

Płaczliwym głosem zaczęła opowiadać stara dziecka swego ulubionego słabość, lecz nim skończyła, mistrz jej przerwał słowy:

— Ona będzie zdrowa za trzy miesiące, trzy tygodnie, trzy dni, trzy godziny i trzy kwadranse, ale potrzeba, żebyście jej dali pić trzy razy w dzień, po trzy kubki wody ze źródła, które jest o trzy kroki od trzeciego domu podle was.

Stara, wysłuchawszy rady, ucałowała suknię mistrza i śpiesznie poszła nazad, on szedł dalej ulicą.

Spotkał go uczony Włoch, uniwersytetu profesor.

— Witam was, panie.

— Witam i zdrowia życzę — rzekli do siebie po łacinie.

— Gdzież to tak długo bywał Twardowski — mówił Włoch. — Cuda teraz prawią o tobie, a są tacy, co ci z szatanem schadzki przyznają. Nie piękna to sława dla nauczyciela najwyższej szkoły w Koronie. Jakkolwiek nikt z nas w to nie wierzy, dlaczegóż, panie, tak się osamotniasz i błąkasz?

— Wiesz, — odpowiedział Twardowski — że umysł potrzebuje czasem wypoczynku i osobności, kiedy go złamie praca, lub smutek zwichnie. Jest to dieta dla niego.

— Prawda, prawda, — odpowiedział profesor — i mógłbyś na swoją obronę przytoczyć wiele zdań starożytnych pisarzy — wiele przykładów świątobliwych ojców, którzy na pustyni żyli; ale godziż się tak rozbratać ze swemi obowiązkami i pogardzić światem? Wszyscy cię tu ucznie i koledzy żądamy, twoja sława wzdychać każe za tobą, a ty się nawet nie pokazujesz, zazdrosny.

— Sława? — rzekł Twardowski — alboż ja mam sławę? sława jednego miasta, jednego kraju, to jeszcze nie jest sława, to się nią nazywać nie może. Ona nas więzi i pęta, bo rzucając tę stopę ziemi, znowu jesteśmy obcy światu — znowu pracować musim na drugą sławę.

— Jakiejże, *mehercle!* chcesz sławy? — spytał zdumiony profesor.

— Jakiej? takiej zaiste, aby sobą zapełniła cały świat, aby imię moje było w ustach królów i żebraka codzień, co godzina.

— Bóg tylko świat tak zapełnia — rzekł cicho Włoch.

— I szatan — odpowiedział Twardowski z uśmiechem.

Zdumiał się temi słowy profesor, odstąpił krok i dodał:

— Jakże to rozumiesz?

— Jak? filozoficznie, doktorze. Najwyższe dobro i najwyższe zło mają absolutną sławę i nieograniczony rozgłos. — Sława więc jest dwojakiego skutku przyczyną. Powiedz mi, z jakiej moja mizerna wypływa?

— Z połączenia obydwóch, jeśli chcesz wiedzieć koniecznie — rzekł doktór. — Uznaję cię mądrym, ale odgłos powszechny przyznaje ci głęboką czarnoksięską biegłość, która nie od Boga, nie od esencji wszystkiego dobra pochodzi.

— Jakże chcesz, — odpowiedział zimno Twardowski — żeby tłum wielkich ludzi sobie tłumaczył, kiedy ich pojąć nie umie?

— Jednakże *vox populi vox Dei* — rzekł cicho doktór. — Czary są rzeczą, której egzystencji pod słońcem zaprzeczyć nie można.

— Zapewne — odpowiedział Twardowski — tak jak jest szatan, tak są czary. A zatem *vale*.

— *Vale*.

Tylko co sobie dłoń podali i rozeszli się, tłum studentów spotkał Twardowskiego. — Była to młodzież wrząca i chciwa nauki, odarta, lecz wesoła, głodna a rumiana. Na widok mistrza zapał powstał w tłumie, podniosły się w górę czapki i zagrzmiały okrzyki radośne. Wszyscy wołali:

— Vivat Tvardovius! vivat!

A Twardowski uśmiechał się do nich dumnie i radośnie, bo w tych okrzykach widział swój triumf największy. Studenci otaczali go i witali z całym zapałem dzieci, które w swoim nauczycielu widzą najwyższą mądrość świata. Do studentów przyłączyli się mie-

szczanie, powybiegały panie mieszczki na progi domostw, wyglądali starsi, otworzywszy okna, zgromadzili się Żydzi, zawsze równie ciekawi, jak łakomi (bo jedno z drugiem chodzi). I nim chwila upłynęła, Twardowski ujrzał się otoczony, ściśnięty tłumem, który go witał i niósł go prawie na rękach, powtarzając:

— Vivat! vivat Tvardovius!

Maciek sierota, przejęty radością, płakał rzewnie i łzy rękawem ocierał, Twardowski się uśmiechał, a dzwony pięćdziesięciu kościołów Krakowa odzywały się ciągle jednostajnie.

— Biada duszy Twardowskiego! biada ci z twoją sławą, mistrzu, biada ci z twoją wielkością, boś się zaprzedał szatanu, i dałeś całą wieczność za godzinę życia! Biada ci, mistrzu, biada! biada! Lepiej ci było nie rodzić się, albo młodo umrzeć!

A Twardowski słyszał głos dzwonów i rozumiał; psy, idąc za nim, wyły smutno, ludzie krzyczeli. — W wielkim, dochodzącym jego uszu gwarze więcej było wróżb przyszłości, niż głosów zwycięstwa i radości. Zniechęcony, zniecierpliwiony wreszcie stanął i rzekł:

— Milczcie, dzwony!

W tejże chwili pourywały się sznury wszystkim dziadom, dzwonnicy na ziemię poupadali, a dzwony, przeciągle jęknąwszy, zamilkły. Mistrz właśnie wchodził do swego mieszkania, przed którem zatrzymany tłum wołał jeszcze długo, nim się po ulicach rozpłynął:

— Vivat Tvardovius!

XI.

Jako król przysyłał do mistrza.

Co to jest sława? Jaki jej początek? Taki, jak bryły śniegu, która toczy się z gór w dolinę, z początku mała, potem większa coraz, przybierająca do siebie łatwo lgnące śniegi, rosnąca, większa, wielka, ogromna, straszna, leci nie bryłą, lecz obłokiem, lecz skałą potężną, leci, zsuwa się i zasypuje sioła, albo padłszy gdzie w pustą dolinę. — Tak powstaje, tak rośnie, tak się kończy sława. Czasem przychodzi ona człowiekowi równie niespodziana, jak niezasłużona. Kładzie się bez niej spać człowiek, a budząc się, znajduje ją nad głową, jak złotą koronę, która więcej cięży, niż stroi. Częstokroć jedno nic ją daje i jedno nic odbiera. — Bo co to jest nareszcie sława? Czcze wyobrażenie czegoś nieistniejącego, urojenie. Każdy ją dać może, każdy odebrać, a nikt nie wie, jak, z kogo i za czyją się sprawą rodzi.

Sława mistrza Twardowskiego była jedną z tych, które śpiącemu przychodzą. Po zaprzedaniu duszy djabłu znalazł ją rano pod poduszką, i przypadła mu do głowy, jakby do niej była zrobiona umyślnie. Zdało mu się, że się jej był dawno spodziewał, że jej czekał, że ją sobie miał od początku przyrzeczoną, nic się jej nie dziwił, i przyjął ją jak dług prosty od świata, wypłacony w porze.

A jednak była to sława potężna, bez zaprzeczają-

cych, niedowiarków, bez zazdrosnych: bo mistrza Twardowskiego uważano za tak dalece wyższego od wszystkich, że nikt nie śmiał o nim wątpić, nikt nie pomyślał zazdrościć. Całe miasto z uszanowaniem schylało przed nim głowę; krążyły najcudowniejsze wieści o jego lekach nadzwyczajnych, o radach i sposobach, jakie podawał, o zaklęciach, które było w mocy jego czynić. Połowę przynajmniej owych dziwacznych odgłosów zrodziło samo ich powtarzanie. Lud zalegał drzwi mistrza, możni przysyłali swoje złocone kolasy i obsypywali pieniędzmi Twardowskiego za każde odwiedzenie chorego, za przepisane leki, za jedno częstokroć słówko. Jemu zaś tak się szczęśliwie wiodło, że każdy krok powiększał jeszcze sławę, za każdym następowały coraz dziwaczniejsze wieści, każdy dzień miał swoje cuda i wkrótce wszechmocności mistrza nie zakreślano już granic.

A on był rad, bo dumie jego i żądzy sławy stało się zadość aż po brzegi, pełen był tego, czego pożądał, nasycał się, czem pragnął. Lecz czy był przeto szczęśliwym, że był tak sławnym? Tego nikt nie wie.

Jednego wieczora, a było tu już późno, Twardowski siedział nad wielką księgą, w której nic jednak nie czytał, przed nim paliła się lampa, Maciek spał w kącie izby oparty na ręku. Cichość dokoła była wielka, nie przerwana, bo miasto właśnie sposobiąc się do snu, mówiło pacierze. Przed mistrzem na wielkim stole, okrytym suknem grubem, stały i leżały różne przedmioty, którychbyś w owym czasie gdzie indziej jak u uczonego z profesji nie ujrzał. Była tam trupia głowa, szczęki i żebra tak zwanych wielkoludów, wypchany krokodyl u połapu, w kącie stała mumja egipska spowinięta w hieroglifami zapisane pieluchy, do snu dłuższego niźli było życie, w słojach mokły potwory różne, cały szkielet człowieka bielał

na czarnem tle ściany, nietoperz rozpięty był nad oknem. Dawniej mistrz w tych szczątkach umarłej, a niegdyś ożywionej natury szukał jej tajemnic, badał i śledził ubiegłego życia, dziś był to dla niego sprzęt nieużyteczny i wzgardzony, porzucony jak niedogryzek owocu, z którego wszystką słodycz wyssano.

Nagle zdało się mistrzowi, że słyszy szmer jakiś, jakby cichą rozmowę; uśmiechając się, przymrużył oczy, i wśród uroczystego milczenia uszu jego doszły wyraźnie następne, reszcie świata niezrozumiałe wyrazy:

Szkielet. O co za nuda stać u tego szaleńca jakby na straży, a stać bez użytku, bo on nawet nigdy mi kości, jak dawny mój pan, nie liczy. Myszy tylko ogryzają mi u nóg palce. Lepiejby było w ziemi! bo tam się śpi spokojnie noce bezsenne w życiu, a tu stojąc tak wyprostowanym, ani zasnąć nie można. Jeszcze mi poczepiali, jakby na urągowisko, te sprężynki, w miejscu muskułów, twardo spinające kości, które za życia tak swobodnie pod skórą i ciałem się obracały. Bodajbyś kiedyś, mędrcze, jak ja, służył ludziom za postrach lub urągowisko. Pocóż mnie nieużytecznego tu trzymasz?

Ręka wielkoluda. Milczałbyś wróblu, kiedy ja się nie skarżę. A mnież tu dobrze? mnie, com był przecie za życa czemś więcej, niż ty, robaku mizerny? A mnież to miło słuchać, jak te łyse głowy, włożywszy na nosy po dwie pary szkieł, wyrokują o mnie, żem nie był człowiekiem, lecz jakiemś innem podlejszem sworzeniem? A mnież to dobrze! mnie, olbrzymowi przedpotopowemu! mnie, com był tak wielki?

Szkielet. Byłeś tylko wielką kością i większym głupcem!

Poczwara w słoju. Aj! aj! I jaż cierpię! i ja cierpię, choć niby to nie mam i nie miałem duszy i nie widziałem świata! Ale miłoż to tego świata, któren obie-

cywali mi tak pięknym, widzieć tylko kawałeczek ze słoika, na brudną izbę i łysą głowę.

Mumja. Cóż ten obrzydły motłoch tam paple? Co to za jedni? Ludzież to czy niewolnicy? Cicho! Ja jestem królowa!

Wszyscy. Cha! cha! cha! Królowa? ty jesteś królowa? ty jesteś królowa? Witaj, królowo—?—

Mumja. Nie widzicież na tych zwitkach napisu! Ja jestem wielka królowa, nie wiem tylko co za szalony waży się krajać mnie po kawałku i dawać chorym za lekarstwo! Biada mu, skoro się zechcę zemścić!

Wszyscy. O! biada mu, sławna królowo, wielka królowo, która się mimowoli udzielasz tak wszystkim, kogo kolki zakolą, komu głowa zacięży, lub wątroba przegnije!!

Mumja. Nie było w grobach naszych młodszej i piękniejszej nade mnie.

Wszyscy. O! wielka królowa! O śliczna królowa! Co za szkoda, że cię tak nadpiłował nasz stary! Znać, żeś królowa bez dworu, bo się sama chwalisz.

Nietoperz. Czy już noc? Ach! jak mi się chce zlecieć z tego okna, do którego mnie przybito! Poco? za co? co ciekawego w moich skrzydłach? Jestem prosta mysz ze skrzydłami, jak mój ojciec, jak moja matka, jak cała moja rodzina. Jak tam braciszkom i siostrzyczkom rozkosznie być musi na świecie! Ile to tam światełek błyszczy po oknach, jakie chłodne i wygodne gniazda po lochach i piwnicach. O! czemuż ulecieć nie mogę!

Krokodyl. Wisieć i zawsze wisieć w tej zimnej dziurze jakiejś. Przecież się to kiedyś skończy, jak ten łysy stróż zdechnie! Zjadłbym go, gdybym mógł.

Trupia głowa. Dobrywieczór braciszkowie, dobrywieczór! Jakżeście spali przez dzień? Już się nasza

lampa obudziła i świeci w oczy, czas wstawać. Czas wstawać! Idę na przechadzkę.

I podnosiła się, klapiąc zębami, gdy Twardowski stuknął ręką o stół, Maciek się obudził, a gwar ucichnął.

U drzwi też w tej samej chwili dał się słyszeć szelest jakiś i drgnęła klamka, potem uchyliły się drzwi, ktoś wszedł. Twardowski spojrzał tylko i bez podziwienia, bez ciekawości uśmiechnął się zlekka, ale tak rozkosznie, jakby mu się raj otwierał. A jednak przychodzień niczem się takiem nie odznaczał, coby wielki jakiś wypadek wróżyć mogło Stała tylko u proga postać jakaś ciemną opończą osłoniona, w kapeluszu z czarnem piórem na głowie, w ciemnych butach z długiemi nosami, a z pod jej okrycia wyglądała pochew szpady. Na piersiach błyskał łańcuch złoty z medaljonem podobnym. Twarz przybyłego młoda jeszcze ale już wybladła, oczy przyćmione i zagasłe, usta ściśnięte, nos ostry i wąski spuszczał się aż na wąs czarny, z pod którego mało co widać warg było, a brodę osłaniała wpół ogolona, paskiem czarnym tylko spływająca, zachodnim obyczajem zarastająca hiszpanka.

Nieznajomy zdjął kapelusz i postąpił.

— Czekałem na was — rzekł Twardowski, powstając z krzesła.

— Na mnie? na mnie? — zakrzyknął zdziwiony przychodzień.

— Tak, na was — odpowiedział Twardowski — niech was to nie dziwi, ja wiem często wprzódy, co się ma, co się musi stać i jak.

— Waszmość mylicie się — odpowiedział zimno przybyły, jakby go poufałość mistrza nieco obraziła i przybrał minę nawpół pogardliwą, pół szyderską.

— Ja się nigdy nie mylę — rzekł na to spokojnie

Twardowski. — Czy chcecie, żebym wam powiedział, kto jesteście?

— Słucham ciekawie — prędko zawołał nieznajomy, jakby był pewny, że się mistrz omyli. Lecz dodał: — nim zaczniem rozmowę niech wprzód ten człowiek — i wskazał na Maćka.

— To mój sługa — odpowiedział mistrz i skinął na sierotę, który się natychmiast małemi drzwiczkami wysunął.

— Teraz słucham.

— Waszmość jesteście dworzaninem jego królewskiej mości, nieprawdaż?

— Tak jest, mogliście mnie kiedy widzieć ze dworem.

— Przysłani jesteście od króla? Król pan nasz przed kilku miesiącami stracił ukochaną żonę, czy tak jest? Mam li mówić dalej?

— Nie potrzeba! — zawołał nieznajomy zdziwiony, zbliżając się, straciwszy zupełnie wyraz dumy i szyderstwa, pomieszany i niespokojny widocznie. — Ależ na Boga, skądże to wiecie wszystko? Ja jak najtajemniej mówiłem o tem z panem miłościwym. Było nas tylko dwóch w komnacie, zaręczyć mogę, że niktby się nie odważył słuchać pode drzwiami! Król jego mość szeptał mi do ucha! Nikt na świecie nie mógł wiedzieć prócz nas dwóch, o co rzecz idzie.

— Ja wiem trzeci, — odpowiedział mistrz zwycięsko — bo ja wiem wiele rzeczy ukrytych i zgaduję przyszłość.

Dworzanin muskał się ręką po głowie zafrasowany, a drugą łańcuch na piersiach wiszący podnosił.

— Nie potrzebuję więc — rzekł — pytać was czyli to zrobić możecie, czego król po was żąda?

— Owszem, jest wątpliwość, czyli to uczynię, ale niema wątpliwości, że mógłbym zrobić.

— Jakto? waszmość mogąc, nie uczyniłbyś tego dla króla?

Twardowski się uśmiechnął.

— Ja nie mam króla — rzekł. — Są przyczyny rozliczne, dla których potrzebuję się namyślić.

— Naprzykład?

— Król jest utulony nieco w żalu po stracie drogiej żony, ale pragnie ją jednak, albo ducha jej przynajmniej, widzieć raz jeszcze. Chce, żebym go wywołał, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Cóż będzie, gdy król znowu ukochaną ujrzy Barbarę? Otworzą się zgojone rany, zechce widząc ją poskoczyć ku niej, uścisnąć, przemówić. Zaleje się łzami nowemi, nową rozpaczą, kto wie czy nie więcej dozna boleści, niż rozkoszy? Bo dzień za dniem unosi wspomnienie, tak jak grabarze wielką górę taczkują, ale gdy się wspomnienie widzeniem odżywi, będzie nowy ciężar na duszy, jaśniej obraz jej stanie przed oczyma, a żal podwójny serce uciśnie. Jest to jakby chciał doświadczyć po raz drugi ciężkiej boleści, której doznał przy jej zgonie. Nieprawdaż?

— Być to wszystko może, mistrzu, — odpowiedział dworzanin, pokorniejszy co chwila — i wy to zapewne lepiej wiecie, niż ja, co i jak być może i być musi.

— Ja, ja się tylko tak domyślam i rachuję — rzekł Twardowski. — Są rzeczy, których nie wiem i nie widzę, bo nie chcę ich widzieć i umyślnie oczy odwracam. Przyszłość króla jego mości jest właśnie jednym z tych przedmiotów, których nie chcę i nie śmiem badać.

— Cóż więc będzie?

— Prawdziwie, w tej chwili odpowiedzieć wam nie mogę, potrzebuję namysłu, trzy dni przynajmniej. Po trzech dniach, w tejże co dziś porze, przyjdź do mnie.

— Pozwolisz jednak, mistrzu, abym nie odkładając, dziś ci powiedział, co król ofiaruje ci, jeśli się podejmiesz, czego żąda.

— Ciekawy jestem bardzo, — mimowolnie zawołał mistrz — zaiste nie domyślam się nagrody.

— Król jego mość nie sądzi, aby wam to potrafił nagrodzić, chce tylko zostawić pamiątkę, a tą będzie łańcuch złoty, wagi trzechset florenów, bogaty pierścień i szuba z przednich soboli, jedna z tych, które ostatni poseł cara przywiózł w podarunku i których piękności wszyscy się naówczas dziwili. Powtarzam, król nie myśli was nagradzać, lecz pragnie tylko uczcić.

— Dziękuję za łaskę dla mnie, ubogiego służebnika, i miłość królewską — odrzekł Twardowski — przyjdźcie, jakem wam mówił, za trzy dni.

To mówiąc, skłonił głowę, a dworzanin, wzajemnie oddawszy mu ukłon, wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął. Mistrz sam zadumany pozostał, lecz zaledwie stąpanie po wschodach ucichło, jęło coś szeleścić w kącie izby i djabeł, ziewając szeroko, wysunął się z pod wielkiego stosu ksiąg.

— Dobrywieczór!

— Właśniem miał cię wołać.

— Właśniem się tego spodziewał, i nie czekając zawołania, stawię się.

— Więc wiesz zapewne o sprawie, która mnie w tej chwili zajmuje.

— Niespełna — odpowiedział djabeł obojętnie.

— Król nasz — rzekł Twardowski po chwilce namysłu do szatana — postradał najukochańszą małżonkę, Barbarę (1551). Była mu ona bardzo drogą; bo nie na królowę ją brał, lecz na żonę, i mimo cnót i wdzięków pierwszej, ta druga, którą otwartym bojem pozyskał, pamięć nawet owej niedawno w Wilnie zmarłej zagasiła. Nieutulony w żalu, ciało jej sam prowa-

dził do Wilna, wizerunek jej ciągle na sercu nosi, pamiątki jej łzy mu dotąd wyciskają. Dowiedział się o mnie i pospolita wieść, przyznająca mi władzę wywoływania duchów, podała mu myśl użycia mnie do pokazania mu raz jeszcze z za grobu przywołanego cienia ukochanej Barbary. Tylko co wyszedł posłaniec królewski, który przyniósł mi jego żądanie. Powiedz mi, możeżto być, abym mu ducha pokazał? Czy można go wywołać?

— Prawdziwie nie wiem, co się stało z duszą królowej — rzekł djabeł — jeśli poleciała tam wysoko, może być ciężko zwabić ją na ziemię.

— Ale nie niepodobna?

— Tego jeszcze nie wiem. Są zaklęcia na dobre duchy; na złe łatwiejsze jeszcze, i o tych wiesz oddawna. Znajdziesz je w swojej głowie.

— Wiem o tem — odpowiedział mistrz, głęboko zamyślając się.

— W każdym razie — mówił dalej szatan — staraj się takim sposobem ukazać mu tego ducha, jeśli go wywoływać będziesz, aby król nie pokochał więcej umarłej, niźli kochał żywą, owszem, ażeby, jeśli można, przestraszył się lub zraził. Pamięć i miłość ku zmarłym czyni żywego umarłym z nimi, a wówczas nie grzeszą. Wielu, mówię to z doświadczenia, utrzymało się na drodze cnoty, jedynie przez pamięć zmarłych.

Nam zaś o to chodzi, aby wszyscy grzeszyli, bo na grzechu świat stoi, i wywróciłby się, gdyby nie było tego *malum necessarium*. Ja, mianowicie, obstaję przy tem i nie bez przyczyny. Powtóre, powinieneś się starać, ażeby król ducha nie dotknął i nie zbliżał się doń, ani nawet zagadał, bo naówczas, jeśli mu duch odpowie, król umrze, a ciebie rozćwiartują powieszą lub spalą na stosie jak czarnoksiężnika. Zresztą rób so-

bie, co chcesz. Jeden tylko kładę warunek z mojej strony, muszę i ja bowiem coś na tem skorzystać. Odmówić ci potrzeba wszelkiej nagrody. Zasłyszałem coś o łańcuchu, pierścieniu i sobolej szubie, ja ci to od siebie dam, jeśli chcesz, a ty natomiast obierz inną nagrodę. Proś tylko, aby król oswobodził i ułaskawił pierwszego złoczyńcę, którego nazajutrz na placu u ratusza będą mieli wieszać. Tobie to doda sławy bezinteresowności, ten człowiek jest wielką nadzieją piekieł, oswobodzenie jego powiększy liczbę ofiar nam należnych. Trzeba o sobie pamiętać, *primo mihi*. Ja zato będę ci pomocnym w tej sprawie. Pomnij więc na dwie rzeczy: dla siebie, aby król w czasie ukazania się ducha nie ruszył się i nie przemówił, dla mnie, aby złoczyńcę uwolnił. Teraz zaś bądź zdrów, bo mi śpieszno w inną stronę. *Vale et me ama.*

To mówiąc, djabeł zniknął w stosie ksiąg, a Twardowski, powstawszy, rzucił się na twarde posłanie. w kącie izby przygotowane, nie gasząc lampy, która błyskała mdłym czerwonym płomykiem i oświecała dziwaczne kształty mumij, krokodyla, kościotrupa i poczwar pozamykanych w słojach. Po kilku chwilach mistrz usnął. Naówczas zbliżył się czatujący już Maciek sierota na palcach i przykrył go kołdrą, bo chłód był w izbie, sam zaś położył się w nogach i machinalnie przeżegnawszy się, mrucząc coś pod nosem, zdmuchnąwszy lampę, usnął.

XII.

Jako Twardowski wywoływał ducha królowej Barbary.

Gdy uszło trzy dni do namysłu przez mistrza zostawione, znowu w porze wieczornej zadźwięczał skobel żelazny u drzwi i powoli wsunął się ten sam dworzanin królewski (był to M . . . . . h, poufały Augusta ulubieniec). Twardowski czekał na niego, powstał nim jeszcze drzwi otworzył i wyszedł kilka kroków naprzeciw przybywającego.

— Jakąż mam zanieść odpowiedź jego królewskiej mości? — po zwykłych przywitaniach spytał dworzanin.

— Rzecz jest do uczynienia podobna, — odpowiedział po chwili mistrz — ale są warunki z mojej strony, bez których nikt i nic do dopełnienia żądania królewskiego mnie nie zmusi.

— Bodajby były najcięższe, wiem, że król jego mość zgodzi się pewnie na nie, jeśli są tylko umiarkowane i bez ujmy godności pańskiej. Król tak bardzo kochał żonę i tak mocno pragnie choćby cień jej widzieć raz jeszcze!

— Pierwszy mój warunek, — rzekł Twardowski — aby jego królewska mość, gdy cień nieboszczki królowej przywołany zostanie, nie przemówił do niego ani słowa, ani się pożądał zbliżyć, ani poruszył, ani krzyknął. Powtóre, aby nikt obrzędowi wywołania ducha

nie był przytomny oprócz nas trzech, króla, mnie i waszmości. Po trzecie, aby mi żadnej nie ofiarowano nagrody, a natomiast król jego mość na prośbę moją ułaskawi tylko pierwszego zbrodniarza, którego w mieście na gardle karać będą.

— Mogę zaręczyć, — odpowiedział dworzanin, z podziwieniem wysłuchawszy końca — iż król jego mość przyjmuje podane warunki. Lecz co się tyczy nagrody, waszmość unosisz się niepotrzebnie; mógłbyś przy tej okoliczności wielce skorzystać. Rozmyśl się, mistrzu, nie chceszże nic więcej?

— Nic więcej — odpowiedział Twardowski z lekkim szyderskim uśmiechem.

Obaj zamilkli. Dworzanin z podziwienia, Twardowski zwycięsko się nasycając okazaną tak wielką bezinteresownością. Nareszcie przybyły zakręcił się i wyszedł, śpiesząc z wiadomością do zamku. Nie upłynęło dwie godziny, gdy nazad powrócił znowu do mistrza z żądaniem, aby natychmiast udał się za nim, i uwiadomieniem, że król na wszystko się zgadza. Twardowski już był gotów, przewidział on, że niecierpliwy August nie odłoży nawet do przyszłej nocy. Wezwany pozbierał wszystko, czego potrzebował do obrzędu wywołania ducha, wziął łaskę, zwitek pargaminu, księgę, pudełko jakieś pod pachę i uwinąwszy się szeroką opończą, rozkazał Maćkowi pozostać, a sam wyszedł z dworzaninem.

Noc już była i ciemność na ulicach miasta, noc jesienna czarna, bo chmury wisiały między niebem i ziemią, a wiatr, który je poganiał leniwo, szumiał tylko w górze, nie dając się czuć po ulicach osłonionych wysokiemi kamienicami. Pusto było wszędzie, psy tylko pod wrotami gospód wyły, a niekiedy z golarni, z winiarni, z szynkowni, mimo zakazu, ukazywały się błyszczące przez okiennice światełka gasnące, dochodziły

przytłumione pijanych głosy. Czasem na wąskiej gdzie uliczce zabrzęczała po ziemi wlokąc szabla, psy obudzone naszczekiwały, ginęły ich głosy w oddaleniu, i znów tylko wiatr szumiał. Przed idącymi mało co widać było drogi, wskazywały ją tylko z obu stron ulicy bielejące na tle czarnem nocy wysokie kamienice o śpiczastych czołach. Trzeba było zaiste dobrze znać Kraków, aby nie zbłądzić. Lecz mistrzowi i dworzaninowi wszystko wskazywało drogę, umieli rozeznać ją po kształcie domostw, niewyraźnie się rysującym przed nimi, po murach kościołów i dzwonnic, po załomach i zakrętach.

W milczeniu szli oni ku zamkowi. Dworzanin miał z sobą klucz od furty pobocznej, którą się wchodziło na odosobniony podwórzec, z podwórca na galerje, wsparte na wysmukłych gotyckich słupach, a niemi do królewskich komnat przez korytarze trafić było można. Gdy tam weszli, nikogo nie było w dziedzińcu, nie ukazało im się nawet żadne światło i w jednem tylko oknie zamku migała lampa przez czerwoną zasłonę. Po wschodach dostali się na galerję, a z niej weszli w korytarz, którym dworzanin do wielkiej białej izby mistrza wprowadził, torując mu drogę. Komnata, do której weszli, nie odznaczała się ozdobami, była czysta, lecz skromna, dokoła otaczały ją dębowe ławy do muru przyparte, na środku stał wielki stół dębowy, na krzyżowych nogach, w kącie piec niemały także. Okna z błon szklannych, w ołów oprawnych, brzęczały, zatrzęsłszy się, gdy drzwi otwarli. Strop przerznięty był belkami grubemi, misternie wyrabianemi. Na podłodze kamiennej i chłodnej spali pokotem komornicy i jurgieltnicy królewscy, obwinięci w opończe, ubrani; niektórzy rozciągnieni na skórach, inni na garści podrzuconej słomy. Przy każdym widać było szablę w gotowości i rozpuszczony pas.

Na stole paliły się dwie świece żółte, kręcone, w ogromnych mosiężnych lichtarzach, nad misami wody. U drzwi oparty o ścianę czatował snem znużony komornik królewski, uzbrojony zupełnie. Gdy się podwoje skrzypiąc otwarły, kilka głów podniosło się z pościeli i kilka głosów razem spytało:

— Kto tam? Kto idzie?

— Tsyt! — odpowiedział wchodzący dworzanin — swój.

Poznano go zaraz po głosie, chcieli coś gadać dworzanie, ale on położył palec na ustach i wskazał wchodzącego Twardowskiego. Niektórzy ciekawsi, oparłszy się na łokciach, zaczęli mu się przypatrywać, z tą miną szyderską, właściwą dworakom królów i wielkich panów, pytali się jeden drugiego, ale nikt z nich mistrza nie znał. Szeptali tylko, gubiąc się w domysłach, a po chwili zamilkli. Tymczasem dworzanin, który Twardowskiego wprowadził, dał mu znak, iż pójdzie do króla, wskazując ławę i prosząc go, aby tymczasem spoczął.

Potem podniósł zasłonę u drzwi przeciwnych głównemu wejściu, zapuszczoną, i cicho na palcach skradając się, zniknął. Słychać było za nim szelest, gwar daleki, potem znowu zaczęły się zbliżać kroki ku drzwiom i dworzanin, podniósłszy zasłonę, dał znak Twardowskiemu, aby wszedł za nim. Nim zaś go wprowadził wewnątrz komnat, pocichu wydał rozkazy komornikom spoczywającym na podłodze, którzy wnet na nogi wstawać poczęli. Potem wpuściwszy Twardowskiego, rzucił zasłonę na drzwi i wprowadził go przez dwie izby ciemne zupełnie do trzeciej, w której ukazywało się światło.

Była to niewielka komnata sklepiona, o jednem oknie. Podłogę jej okrywał kobierzec perski, w głębi stało łóżko za zasłoną karmazynową, stoliki marmu-

rem pokryte po kątach, a na nich księgi, w biały pargamin oprawne, i rozrzucone papierów zwoje. U łoża na podstawku, okrytym suknem, stały srebrne naczynia z wodą i winem, miednica i nalewka złocista, u ściany była ława pokryta kobiercem, a wśród komnaty dwa z wysokiemi poręczami krzesła karmazynowym aksamitem i złotą frendzlą obite. W kącie paliła się lampa bladym płomieniem. Niedaleko łóżka stał mężczyzna czarno ubrany, średniego wzrostu i wieku, niezbyt otyły, blady, z oczyma, które okrywały nabrzmiałe powieki, brodę miał długą, dzielącą się na dwoje, wąs i włosy podstrzyżone nieco. Ten, gdy jeszcze mistrz był na progu, z pośpiechem się odezwał:

— Nie przybliżaj się do mnie waszmość! zdaleka, zdaleka!

Twardowski został niedaleko drzwi, gdzie go te słowa znalazły, jakiemś niepojętem uczuciem wstrzymany i onieśmielony. Dworzanin, który go wprowadził, zatrzymał się przy nim także.

Po chwilce, w czasie której zamówiono z obu stron nieśmiałe wejrzenie, król, on to był bowiem, ozwał się niepewnym i pomieszanym głosem:

— Waszmość podjąłeś się ukazać mi ducha nieboszczki najdroższej żony mojej, królowej jej mości Barbary.

— Tak, najjaśniejszy i miłościwy panie — odpowiedział Twardowski, nabierając odwagi — obowiązałem się do tego, jednakże z warunkami pewnemi.

— No, jakież są tam warunki waszmości — rzekł, widocznie zniecierpliwiony, August.

— Naprzód, aby wasza królewska mość słowa nie przemówił, ani się rzucił, ani śmiał dotknąć ducha, ani się nawet ku niemu posunął.

— Jakto? ani słowa? ani znaku czucia? — odpo-

wiedział August. — To wiele! lecz zaiste kiedy tego potrzeba.

— To dla własnego bezpieczeństwa osoby waszej królewskiej mości. Nagrody nie żądam żadnej, tylko ułaskawienia dla pierwszego zbrodniarza, którego na gardle dnia następnego karać będą mieli.

— Słyszałem o tym warunku — rzekł król. — A nacóż to waszmości jego głowa?

— Ja nie wiem nawet kto on jest — odpowiedział mistrz.

Król pomyślał chwilę, a potem dodał:

— Proszę waszmości nie używać zaklęć złych i przez kościół zakazanych, a potępiających duszę, ale raczej z białej magji, sposoby godziwemi i modlitwą ducha królowej jej mości wywołać.

Mistrz nic na to nie rzekł i tylko głową potrząsł.

— Trzeba nam do tego większej izby — rzekł po chwili.

Na znak królewski dworzanin poskoczył na lewo i drzwi ukryte zasłoną rozwarł, wszedł przez nie naprzód Twardowski, po nim, lampę wziąwszy, dworzanin, a za nimi król, i zasłona zapadła. Przez dwoje mniejszych izb dostali się do wielkiej komnaty, a raczej sali. Była ona całkiem czarnem suknem wybita, miała troje okien w jednej ścianie i dwoje drzwi na przestrzał, zawieszonych suknem jak inne. Na środku był stół suknem do dołu okryty, krucyfiks na ścianie, ławy dokoła, komin także szeroki i wielki, w którym się jeszcze świeciły resztki dogorywającego żaru. Pocichu weszli tutaj, a król usiadł w krześle opodal, blady i milczący. Twardowski, nic nie mówiąc, rozłożył na stole czarnoksięskie przybory, obejrzał się wkoło i kazał dworzaninowi krucyfiks wiszący na ścianie zasłonić. Król nic nie rzekł na to, jakby nie widział lub nie uważał. Stanął wreszcie mistrz w przeciwnym końcu

sali od króla i już mając rozpocząć zaklęcia, rzekł do Augusta:

— Proszę waszej królewskiej mości o szczyptę włosów nieboszczki królowej jej mości.

August szukał pośpiesznie na piersiach drżącemi rękoma i wyjąwszy książeczkę czarną, zapiętą klamrą złotą, dał z niej trochę włosów dworzaninowi, który je Twardowskiemu zaniósł.

— Racz wasza królewska mość pamiętać, abyś się nie poruszył, ani zagadał, ani odzywał, gdy się duch okaże, bo inaczej i waszej królewskiej mości i mnie się co złego wydarzyć może.

Na to król głową skinął, nie mogąc słowa przemówić, znać było po nim, że drżał mocno, a usiłował pokryć pomieszanie swoje; oczy jego bardziej się jeszcze powiekami osłoniły, ciężki oddech dobywał się z piersi, twarz zbladła i żyły nabrzmiały na skroniach, ręce konwulsyjnie ściśnięte ścięły się jedna w drugiej.

Jeszcze tylko chwila i mistrz już począł wywoływać ducha, paląc włosy królowej u lampy. Wszczął się od nich dym ciężki po komnacie i jakby mgła na nią padła. Potem zajaśniał żywiej płomień lampy, drzwi przeciwne tym, któremi weszli, otwarły się z trzaskiem i wsunęła się postać, jakby nie tykając ziemi. Była to piękna kobieta, niewielkiego wzrostu, lecz kształtnej kibici, smutnej twarzy, niebieskich oczu, jasnych włosów, w białą tylko osłoniona szatę, z pod której przeglądał strój bogaty. — Oczy jej zwrócone były w stronę, w której znajdował się August. Szła powolnym krokiem i co chwila zatrzymywała się, to znów sunęła cicho i nieznacznie, jak skazówka po zegarze.

August gdy się drzwi otwarły, zamknął był oczy z przestrachu, lecz wkrótce je otworzył i oniemiał, ujrzawszy Barbarę, wlepił w nią wzrok boleści i rozpa-

czy, a westchnienie ciężkie, ogromne spadło z jego piersi. Cień szedł dalej powolnie, powolnie, ciągle patrząc na Augusta tym wzrokiem, którego sile król nigdy oprzeć się nie mógł za życia, a z wyrazem smutku, z wyrazem uczucia nieopisanego. Zapomniał o wszystkiem August, gdy się ich oczy spotkały, i nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, poskoczył z krzesła, wołając boleśnie:

— To ty — to ty! Barbaro!

Lecz w tejże chwili, gdy król się rzucił ku cieniowi żony, zadrżała postać wywołanej i okropnie się w jednej chwili zmieniła. Zamiast owej Barbary wileńskiego zamku, młodej i świeżej, ukazał się nawpół wyschły trup, którego ciało pod zbutwiałą suknią padało w kawałki, przykry grobowy zaduch i zgnilizna dała się czuć po sali. Król cofnął się, krzyknął przeraźliwie i upadł na krzesło, a lampa zgasła.

Dworzanin, łamiąc ręce i klnąc czarnoksiężnika, wybiegł do komorników królewskich po światło; zbiegli się oni natychmiast, podniesiono bladego i jakby nieżywego króla i zaniesiono na łoże. Wnet wezwany Schneeberger, lekarz, pośpieszył z ratunkiem. Twardowskiego zaś próżno szukano po zamku, zniknął niewiedzieć jak.

Nazajutrz dziwne wieści chodziły o wypadku zeszłej nocy, mówiono, że Twardowski wywołał cienia zmarłej królowej i o mało tem króla nie zabił. August zaś ułaskawił skazanego na danie gardła zbójcę, którego już pod szubienicę i piłata ratuszowego wiedziono.

XIII.

Jako djabeł tłumaczył Twardowskiemu, co uczynił.

Gdy się to dzieje w zamku, Twardowski powrócił do izby i zbudził Maćka, a sam padł na łoże znużony, chcąc się snem pokrzepić, gdy z kąta ukazał się szatan.

— A cóż, — rzekł — król słowa nie strzymał?

— Pochwycił się do cienia.

— I cóż się stało?

— Cień królowej w strasznego trupa się przemienił.

— Bardzo dobrze — odpowiedział szatan.

— Jakto dobrze? — rzekł Twardowski — przecież tego nie chciał i ostrzegałeś?

— Trzeba było, — odpowiedział djabeł — trzeba było króla ostrzec, aby się nie ruszał i nie porywał. Był to jeden sposób znęcenia go do przeciwnej czynności. Waszmość wiesz, że zakazane rzeczy obudzają ciekawość gwałtowną, niepohamowaną, która wiedzie do przestąpienia zakazu i zapomnienia przestrogi. Mnie zaś potrzeba tego było, aby za zbliżeniem się króla ukazał mu się cień w właściwej swej postaci obrzydliwego trupa. Tym sposobem widzenie ostatnie nie gorętszą miłość, lecz odrazę po sobie zostawi. Król rzuci się ku innym niewiastom, pocznie szukać rozrywki, aby zapomnieć żony, a tego ja chciałem.

Twardowski zamyślony rzekł w duchu do siebie:

— Jestem tylko machiną djabelską i nic więcej. Byłoż poco wiązać się z szatanem??

XIV.

Jako Twardowski wyjechał z Krakowa.

Mistrz siedział ciągle zamyślony, a nic nie przerywało jego dumania, w którem, jak człek nie mający celu i nadziei, który doniągł wszystkiego, czego pragnął, a nie miał czego zapragnąć więcej, Twardowski przebiegał swoje życie przeszłe, sądząc je i głęboko się nad niem zastanawiając. Z tego punktu, w którym dziś zostawał, jak sen wydawała mu się tylko młodość, niepodobna prawie do wiary. Cuda jej i dziwy zjawiały się w jego pamięci jak mary, których nie mógł spełna za rzeczywiste przyjąć. — Wśród takiego to dumania o przeszłości wpadł nagle do komnaty mistrza dworzanin królewski i rzucając ciężki łańcuch złoty, zawołał:

— Mistrzu, król rozkazuje ci, abyś wyjechał z miasta. Oto od niego pamiątka i podarek.

— Pamiątka? — spytał poważnie, z uśmiechem nieco wzgardliwym, Twardowski. — Jeśli tylko pamiątka, przyjmuję, jeśli się ma zwać nagrodą — nie chcę jej. Lecz cóż mi tam prawisz o wyjeździe?

— Taka jest wola królewska, życzenie jego, abyś waszmość wyjechał niezwłocznie. Cały dwór, całe miasto wie o wypadku tej nocy. Ciekawi dworzcy podsłuchali u drzwi i słyszeli, gdy król zawołał: Barbaro! widziano cienie jakieś błąkające się po krużgankach, w sali został swąd trupi nieznośny. Posądzają króla

o czary, ciebie o oczarowanie go umyślne i naprowadzenie na to, aby się zapomocą djabła (tu splunął i przeżegnał się dworzanin) znosił z umarłymi. Do jutra rana wieści te bardziej się jeszcze, głośniej daleko rozejdą po mieście, naco masz tego czekać? Jedź, nie pokazuj się tu i dozwól ludziom zapomnieć przynajmniej o tem. Jeśli ci nie chodzi o siebie, szanuj w tem wolę króla i jego spokojność. Gdy cię tu nie ujrzą, pogłoski ustaną, łatwo będzie zadać fałsz rozsiewającym je, nikt im nie da wiary.

Twardowski, potrząsając głową, odpowiedział:

— Myśliszże waszmość, iż mnie jak pierwszą z brzegu bezzębną babę, co lata na łopacie, można dowoli wezwać, a potem wypchnąć za drzwi kolanem? Alboż ten, co wyzwał ducha ze świata lepszego, nie potrafi człowieka wywołać z tego świata na inny?

Dworzanin trząść się począł i blednąć.

— Ależ, mistrzu, — odpowiedział prędko — za cóżbyś się miał mścić i co cię mogło w tem obrazić? Idzie tu o twoją spokojność, o twoją sławę.

— O moją!! Ho! moja się niczego nie lęka, głupiemu ludowi zamknę gębę, gdy zechcę i oczy byle czem zamydlę, bądź spokojny.

— Nie sądź tak waszmość — odrzekł jeszcze pośpieszniej dworzanin. — Nie sam głupi lud, jak go zowiesz, będzie na czary około króla odbyte wrzeszczał. Dowiedzą się łatwo panowie radni i senatorowie, a co gorsza biskupi, wezmą cię jak którego z tych księży, których prześladują, i proces ci wytoczą, a proces taki może na stos poprowadzić. Przypomnijcie świeże przykłady.

— Któż mnie weźmie i kto mnie będzie sądził? — spytał Twardowski.

— Duchowna władza. Król nawet obronić cię od niej nie potrafi. Wiesz co się dzieje po kraju z ludźmi,

już nie o czary, lecz tylko o zmianę wiary, o sprzyjanie nowinkom wittemberskim posądzonymi.

— Albo ż ja, myślisz waszmość, dam się wziąć i dam się sądzić?

— Nie — i właśnie dlatego mówię waszmości od króla, wyjeżdżajcie rychło z Krakowa.

Twardowski się zamyślił.

— Król mi to rozkazuje?

— Król ci to rozkazuje, ja radzę.

— Król rozkazuje! rozkazuje! — powtarzał, uśmiechając się, Twardowski — czyż nie większą ja mam władzę od niego, kiedy on mojej potrzebował pomocy?

Dworzanin umilkł, niespokojny, a po chwili, napróżno stanowczej czekając odpowiedzi, rzekł:

— Zresztą, mistrzu, rób jak chcesz i bądź zdrów.

To mówiąc, śpiesznie przelękniony się oddalił.

Twardowski powstał i chodził, rzucił łańcuch o ziemię i podeptał, potem podjął go i włożył na szyję, jakby się rozmyślił, a nakoniec zawołał Maćka.

— Maćku, — rzekł — siadaj na koń i jedź ze mną.

— Mistrzu, skądże konie!

— Jakto? niema koni?

— Nie było ich nigdy u nas.

Mistrz poszedł, wziął zgasły węgiel z komina i ująwszy go, wymalował nim parę koni na białej ścianie izby. Potem rozkazawszy jeszcze raz Maćkowi siadać na mniejszego podjezdka, sam na większego nogę założył i wyjechał oknem na ulicę, zakląwszy wprzód próg izby, aby nikt do niej wejść nie mógł w czasie jego niebytności. Malowane konie właśnie się wysuwały oknem, gdy Kraków się budził, a pracowici ludzie zaczynali już pokazywać się na ulicach. Postrzeżono je i rano całe miasto wiedziało, że Twardowski wyjechał równo ze świtem na malowanym koniu.

XV.

Jako Twardowski dawał różne dobre rady ludziom.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno, gdy Twardowski ze swoim towarzyszem, na wpół drogi porzuciwszy konie zmęczone, a posiadawszy na koguty, złapane gdzieś we wsi na śmiecisku, przybliżali się do miasteczka Bydgoszczy. Jak tylko mistrz ujrzał opasujący je wał, bramy i bielejące domostwa, powitał je skinieniem ręki i natychmiast wszystkie koguty i kury całego miasteczka i wszystkie sowy z dzwonnic i poddaszów i wszystkie nietoperze z piwnic i sklepów odezwały się, witając go nawzajem. Powstał stąd taki wielki hałas, że zagłuszył dzwony, bijące na Anioł Pański. Zaczem wjechali przez bramę w miasto na kogutach siedząc, a lud, zgromadzony na przyźbach domów, szedł za nimi i zbierał się tłumnie, wołając na dziwowisko niesłychane. — W towarzystwie tłumu, który ich otaczał, dostali się do gospody w rynku pod znakiem Zgorzelca, tu zsiedli ze swych rumaków i udali się do izby gościnnej. Pod oknami gospody była już niemal cała ludność, wołając, krzycząc, szemrząc i rozmaicie zgadując, jacy to podróżni na koguach przyjechali. Twardowski, aby się jej pozbyć, wysłał Maćka z oznajmieniem ludowi zgromadzonemu, iż przybył wielki mistrz, czarnoksiężnik i nekroman, który czas jakiś tu zabawi, a tymczasem potrzebując spoczynku, zaleca wszystkim, aby się po domach rozeszli. Maciek, wyszedłszy na ga-

nek gospody, powiedział jak umiał to, co mu kazano; lud tymczasem wołał i wykrzykiwał:

— Niech nam jakie dziwo pokaże!

— Niech mnie uleczy!

— Niech mi da pieniędzy!

— Niech mego męża wskrzesi!

— Niech moją żonę naprawi!

Tysiąc głosów podobnych słychać było, a Maciek, nie mogąc ich wyrozumieć, uszy zatknął i uciekł do gospody. Lud, widząc, że się czarnoksiężnik nie pokazuje, powoli, gwarząc, rozszedł się przecie. Całą jednak noc rozprawiano o nowoprzybyłym, radzono się, o co go miano nazajutrz pytać, o co prosić, każdy wybierał się do niego i każdy znalazł z czem i poco.

Niespokojna to była noc w Bydgoszczy i mało kto zasnął przed świtem, niespokojność opanowała wszystkich i nikomu skleić powiek nie dawała.

Nazajutrz rano gospoda była pełna i drzwi alkierza, w którym był mistrz, oblężone, ale Twardowski nie w humorze radzenia, wyszedł kominem i usiadł na dachu, odetchnąć nieco świeżem powietrzem. I tu go przecież spostrzeżono, poczęto wołać ze wszystkich stron, wzywać, prosić i krzyczeć, aż ubłagany nareszcie zszedł do izby i kazał drzwi wszystkim potrzebującym rady otworzyć.

Naówczas to trzeba widzieć było, jak się tam ludzie cisnęli, co to była za wrzawa, jaki ścisk. Starzy i młodzi, wszystkich stanów, wiar i obojej płci przychodzili jedni w nadziei pomocy, drudzy dla ciekawości.

Twardowski przypuszczał ich do siebie zkolei.

A naprzód wcisnęła się stara baba bez zębów, o kiju, z różańcem w ręku, książką pod pachą, z pręgą fioletową na nosie, od ucisku częstego okularów zostawioną, oszarpana i obłocona. Ta, wdowiego czepca podnosząc nieco, odezwała się chropawym głosem:

— Kłaniam się dobrodziejowi memu miłemu.

Mójże ty mileńki, kiedy ty taki mądry, dajże ty mnie męża. Już trzy roki jak mój nieboszczyk pochowany za miastem, a dotąd nikt się do mnie nie swata. Taki to teraz świat zepsuty, że tylko do młodych lgną wszyscy.

Mistrz jej odpowiedział:

— Wykop co masz w głowach łóżka zakopanego i wsyp w kufer stary, a pójdziesz zamąż prędko.

Ledwie tych słów domówił, kopnęła się staruszka, a za nią w ślady czeladnik nieboszczyka jej męża białoskórnika, i nim zaszli do domu, już się jej w drodze oświadczył, a nazajutrz się zaraz pobrali.

Nastąpił młody, urodziwy chłopak, temu nie dał mówić mistrz, ale sam go wprzód zagadnął.

— Tobie pewnie potrzeba serdecznego lekarstwa?

— Aj prawda, — odpowiedział chłopak, kręcąc w ręku czapkę i wzdychając — już rok i kwartał temu, jak kocham pannę Małgorzatę od Malchera złotnika, a tak jest twardego serca, że jej niczem poruszyć nie mogę.

Twardowski wziął go na sekret i rzekł mu pocichu:

— Weźmiesz zabitego nietoperza, tego o północy na młodym miesiącu zaniesiesz do mrowiska na cmentarz i zostawisz go zakopawszy w niem, aż dopóki go mrowie tak nie obje, że tylko kości zostaną gołe. Te kości wykopiesz o północy, a będzie między niemi dwie, tobie potrzebne, jedna zagięta jak kluczka, druga jak widełki. Jeśli zechcesz, by cię dziewczyna kochała, przyciągnij ją kluczką, jeśli cię napastować będzie, odepchnij widełkami natrętną.

To rzekłszy, odprawił go mistrz, a czeladnik pobiegł uradowany i od niego to potem ta wielka tajemni-

ca rozeszła się po całym świecie, tak że doszła aż do naszych czasów.

Nastąpił gruby i otyły mieszczanin, który, skrobiąc się w głowę i ściskając kapuzę pod pachą, przestępował z nogi na nogę, szukać się zdawał języka w gębie, bo stał i milczał, próżno widocznie siląc się coś powiedzieć. Biedził się i pocił, połą i rękawem czoło ocierał i chrząkał.

— Cóż to waści? — zapytał go Twardowski.

— Ciężka bieda — odpowiedział wreszcie, pokaszlując, mieszczanin, — od jakiegoś czasu oczarowali mnie. Mam złą wiedźmę sąsiadkę, która do nas coś ma i urzekła nam gospodarstwo, dobytek, wszystko, tak, że licho wie po jakiemu się u mnie dzieje.

— To fraszka — odpowiedział mu mistrz. — Zakop tylko pod progiem domu piórko *in quo sit argentum vivum inclusum,* dodaj do tego garść bylicy i wyżlinu, a w chacie powieś ś. jańskie ziele, upewniam, że żadne *maleficia* cię nie dotkną.

Ukłonił się potrójnym nawrotem do ziemi mieszczanin i śpiesznie począł cisnąć nazad przez tłum do domu; miejsce jego zajął średniego wieku człowiek, który po łacinie mistrza pozdrowił.

— Cóż to waszmości potrzeba, — zapytał go Twardowski — że mojej rady zasięgasz, będąc, jak widzę, sam lekarzem?

— Wielkie złe, *celeberrime et sapientissime.* Ktoś mnie oczarował, czuję po sobie te czary, które mi odejmują siły, zdrowie, spokojność, a na to nie mam lekarstwa w mojej aptece. Próżno wertuję dzieła mądrych ojców nauki naszej, żadnej tam na to rady nie znalazłem. Muszę dodać, że ten urok wrzuciła na mnie kobieta, której kochać nie chciałem i nie chcę, a którą teraz kochać muszę skutkiem czarów.

— Łatwo ten urok rozpędzić, — uśmiechając się,

rzekł Twardowski — mam na to pewną i niezawodną receptę *).

„Si quis ad aliquam vel aliquem, nimis amandum, maleficiatus fuerit, tum stercus recens illius quem vel quam diligit, ponatur mane in ocrea vel calceo dextro amantis et calciet se, et quamprimum faetorem sentiet, maleficium solvetur".

Zapisz to sobie, panie doktorze.

A doktor śpiesznie dobył papieru i, umieściwszy na nim cudowną receptę skwapliwie, ukłonił się nisko i wyszedł.

Wyrwała się natychmiast jakaś jejmość w potarganym czepcu na głowie, rozczochrana, czerwona jak księżyc, gdy wschodzi, oszarpana, obłocona.

— Aj dobrodzieju, ratuj! — zawołała. — Ty, co wszystko umiesz i wszystko możesz, zrób ty między nami zgodę. Już rok jak żyjemy z sobą by tłuczek z makutrą, a kłócim się, szarpiem, swarzym, bijem noc i dzień, aż sąsiadom nawet spokoju nie dajemy. Mnie się zdaje, że to on winien, a on powiada, że to ja. On, nawet to bardzo dobre człeczysko i jać niczego kobieta, a jak się nas dwoje zejdzie, niech Bóg nie dowodzi co się dzieje! A gdybyś ty mógł, dobrodzieju, na to poradzić, jużbym ja tobie dała, czegobyś ty tylko żywnie chciał, bo dali Bóg, dłużej w tym ogniu wytrwać nie można, choćby człek był aniołem świętym.

— Można dać temu radę, — odpowiedział mistrz poważnie — postarajcie się tylko o samca wronę i wronę samicę. Jejmość noś zawsze serce samicy, twój mąż samca, nie porzucając nigdy, a zobaczycie, że zgoda do domu powróci.

— Pewnież to, mój dobrodzieju?

— Najpewniej. Idź z Panem Bogiem.

---

*) Wyjęte do słowa z dawnego rękopismu.

To mówiąc, Twardowski uśmiechał się szydersko, tuląc swój śmiech w rękawie sukni.

— Tylko pamiętaj, — dodał — przez pierwszy tydzień choćby cię mąż łajał, bił, choćby się jak nad tobą znęcał, zawsze mu ustępuj.

— Ustępować? hę? — zawołała kobieta — a jakże to długo?

— Tylko tydzień.

— Tydzień, trochę to długo, ale już ja na jegomościne słowo spróbuję.

Druga za tą kobietą cisnęła się do stołka, na którym mistrz siedział i płakała.

— Jegomościuniu, — powiedziała płaczliwie, ocierając się fartuchem — mężysko mnie zwodzi, ma jakieś tajemnice przede mną, kryje się ze wszystkiem, nigdy mi nic powiedzieć nie chce, ażem wyschła z tego żalu, że mi tak nie ufa.

— Jejmość jesteś ciekawa? — zapytał mistrz.

— Jużciż, kto nie ciekawy, dobrodzieju? — odpowiedziała kobieta — chyba kto nieżywy? A prócz tego, nie lepiejżeby to było, żebym ja wiedziała o wszystkiem, co się w domu dzieje? Tać to do mnie należy!

Twardowski jął się uśmiechać znowu, tak jak się prawie zawsze uśmiechał, kiedy komu radę dawał. — Zapewne, pomyślał w duchu, lepiej będzie z tem djabłu. I szepnął jej do ucha:

— Rozpłataj żywego dudka i połknij jeszcze drgające serce jego, a o wszystkiem, o czem tylko wiedzieć zażądasz, będziesz natychmiast wiedziała.

Kobieta, złapawszy radę w ucho, jak oparzona poleciała do domu.

— U mnie, — rzekł, podsuwając się, stary jakiś mieszczanin eksburmistrz, w siwym kontuszu i w szafranowym brudnym żupanie — u mnie, wielce mościwy panie, djabli w domu królują — ktoś ich nasłał.

Jak tylko przyjdzie noc, zaczynają tańce, skoki po górze, koło domu, śpiewy, chichy! A ja tylko leżę w łóżku i spać nie mogę, a modlę się ciągle i boję się okrutnym sposobem, aż do białego dnia; bo o białym dniu wszystko to się kończy. Drzwi od ulicy wielkim stukiem trzasną, a potem już cicho, djabli swoje wytańcowali.

— Waszmość macie młodą żonę?

— A juściż, młodą, — odpowiedział burmistrz — alboż co?

— Nic to, nic — rzekł Twardowski, potrząsając głową. — Jeśli to czary tylko, zakadźcie trupim zębem po izbach, a ustaną; jeśli nie czary, to niema innej rady, tylko żeby albo twoja była stara, albo żebyś ty był młody.

— No! ale kiedy to być nie może — rzekł burmistrz, wytrzeszczając oczy.

— Dlaczego nie może?

— Możeż to być, żebym ja był młody, kiedy już się zestarzałem? — zapytał znowu.

— Ściśle biorąc, mogłoby to być.

— Ale to pewnie bardzo trudne, kosztowne; — musi to być operacja jak nad robieniem złota?

— Niezmiernie trudna, — odpowiedział Twardowski — nie myśl nawet o tem. Ja sądzę, że u ciebie w domu pewnie czary tak stukają i hałasują, zakadź tylko trupim zębem i ruszaj z Bogiem.

Burmistrz, milcząc i skrobiąc się w głowę, odszedł.

— A zatem, — odezwał się Twardowski — dość już tych rad, wy zaś reszta ruszajcie także do domu, nie mam więcej czasu.

Mimo tego wezwania, ciżba, zalegająca izbę, nie ruszała się, a mnóstwo naciskało jeszcze. Próżno mistrz rozkazywał i groził, każdy innym głosem, każdy innem zaklęciem prosił, błagał, aby choć jemu jednemu

poradził dopomógł. Mieszały się głosy dziwaczne, wyciągały ręce, posuwały najrozmaitsze postacie; aż widząc, że temu końca nie będzie, mistrz obejrzał się i spotkawszy w kącie starą wytartą miotłę, zawołał do niej, aby wszystkich precz wypędziła i drzwi za nimi zaryglowała.

Posłuszna, wnet ruszyła się, stanęła wystrzępiona już staruszka, i nuż w lewo i w prawo kręcić się i zamiatać gości na wielką kupę, ze wszystkich stron zgartując. Widząc, że nie żarty, wynieśli się wszyscy, popychając i tłocząc, za drzwi, które miotła zatrzasnąwszy za niemi, stanęła wpośrodku izby, czekając dalszych rozkazów. Twardowski krzyknął na nią:

— Miotła w kąt!

I miotła poszła w kąt posłuszna.

Ledwie ten porządek uczyniony został, zaczął ktoś silnie i natarczywie do drzwi pukać, powtarzając coraz mocniej, coraz gęściej razy, od których aż się spróchniałe drzwi gospody kołysały.

— Kto tam? — spytał mistrz.

— Przez miłosierdzie puśćcie mnie, — rzekł głos z za drzwi żebrzący — jestem biedny szlachcic, potrzebuję koniecznie rady mistrza — umrę tu pode drzwiami, jeśli mnie nie puścicie. Dawno już szukam kogo, coby mi dopomógł, muszę teraz koniecznie widzieć sławnego mistrza.

— Idź do licha i nie wrzeszcz mi nad głową — odpowiedział Twardowski.

— Nie pójdę, nie pójdę, będę tu piszczał pod progiem do jutra, nie odstąpię krokiem, muszę koniecznie widzieć się z mistrzem.

I jak jął tak jęczeć i modlić i prosić, tak nareszcie Twardowski dał się pokonać i rozkazał go puścić miotle, ale tylko jego samego z tem, aby stała na warcie u drzwi i wszystkim przystępu broniła do nich, nie

zważając na stan, wiek, płeć, prośby, łkania, płacze i zaklęcia.

Wszedł zatem do izby blady, chudy i wysoki mężczyzna, kłaniający się aż do stóp mistrza i płaczliwym odzywający się głosem. Miał on na sobie wyszarzaną kapotę, nie mającą już żadnego koloru, buty wykrzywione, czerwone od rosy i błota, dziurawe, czapkę pozszywaną z kawałków. Resztki koszuli, wyglądające z pod kołnierza kapoty, świeciły gęstemi dziurami. Chcąc wzbudzić litość, nie można się było ubrać wymowniej.

— Cóżto waszmości tak dolega? — spytał mistrz, mierząc go oczyma.

— Nędza, mój królu, — odpowiedział szlachcic — oddałbym duszę djabłu, żebym tylko mógł pobogacieć, tak mi już dokuczyła nędza, tak jestem biedny, tak — ot, patrz tylko, królu, na łachmany.

I potrząsał łataną kapotą.

— Prawisz androny i chcesz mnie oszukać, — rzekł mistrz — bajki to, bo masz pieniądze.

Szlachcic poczerwieniał, zbladł, wyprostował się, zakaszlał i zawołał innym głosem wcale:

— Ja?

— Wiedz, — rzekł mistrz — iż przede mną niema nic skrytego, mógłbym ci nawet powiedzieć co do szeląga, ile kop groszy leży w twojej skrzyni w alkierzu pod czarną podartą opończą.

Szlachcic potarł ręką po czole, ruszył ramionami, splunął, a gęstemi kroplami pot zaczął mu spływać po twarzy.

— Nie jesteś ubogi, jak mówisz, — ciągnął dalej mistrz — jesteś tylko chciwy, nigdy ci nie dosyć tego co masz, chciałbyś więcej i więcej, a niczego nie używasz.

— No, to prawda, — odpowiedział szlachcic po

chwili namysłu — naco się mam przed waszmością zapierać, ale czyż to już tak bardzo co złego? A niemasz sposobu, żebym się stał bardzo a bardzo bogatym?

— Są sposoby, — rzekł mistrz — ale niełatwe.

— Trudne! ba! — odpowiedział szlachcic — ależ chcącemu nic trudnego.

— *Nihil difficile amanti,* — odezwał się Twardowski, parodjując dziwacznym głosem znajome słowa Cycerona. — Prawda? chciałżebyś za pieniądze oddać djabłu duszę?

— A naco mnie ta dusza, — rzekł prędko szlachcic — byle ją tylko chciał wziąć, a mnie dać pieniędzy, z całego serca.

— Próbujże, ja ci dam sposób. Znajdź sobie gdzie w lesie chatę pustą i niezamieszkałą oddawna, do którejby od wsi i dworów pianie kurów nie doszło. W tej chacie zamknij się sam jeden, z jedną tylko świecą, na całą noc. Weź z sobą dziewięć sztuk srebrnych pieniędzy. Te pieniądze licz przez całą noc, bezustanku, od jednego do dziewięciu i od dziewięciu nazad do jednego. Jeśli się nie omylisz ani razu do świtu, szatan ci da wielkie skarby, jeśli się tylko raz zająkniesz, albo zapomnisz, albo dwa razy jedno powtórzysz, czeka cię wielka bieda. Chcesz, próbuj tego sposobu, ruszaj sobie.

Szlachcic, wysłuchawszy uważnie całej nauki, rozpytawszy się jeszcze o szczegóły, skłonił się do stóp mistrza i wyszedł. Twardowski śmiał się do rozpuku, siadając po wyjściu jego na stołku.

— Dobrze im wszystkim poradziłem, — rzekł sam do siebie — lecz nie ze wszystkiego djabeł będzie kontent, tak mi się zdaje — tak mi się zdaje!

Tylko co te słowa powtarzał, aż ci i djabeł wylazł z zapiecka, uśmiechający się wesoło i, jak się zdawało, w najlepszym humorze.

— Zdrowia waszmości, wielki mistrzu, — rzekł — słuchałem tu z za pieca cały czas twoich rad zdrowych i winszuję sobie, żem tak skutecznego pomocnika znalazł, tak gorliwego o sprawę piekieł i niezmordowanego gorliwca. Za wszystko ci dziękuję, niczego nie wyjmując.

— Cóż to jest? chyba ci się co przesłyszało? — rzekł mistrz. — Ja twoim pomocnikiem? chyba mimowoli lub omyłką! W czemże? powiedz mi, proszę?

— We wszystkich swych radach, — odpowiedział djabeł — miałeś, oczywiście, na widoku dobro piekielne i nasz interes. Doskonale umiesz naprowadzać ludzi na zgubę, pozornie najzdrowszemi radami, lub niewinnemi tylko na oko.

— Ale ja o tem wcale nie myślałem, — zawołał mistrz — świadczę się sobą samym, djable, cóżem tu w interesie piekła uczynił? ty tylko chcesz mię dręczyć lub żartować ze mnie.

— No! no! mów, jak ci się podoba, a tymczasem chcesz li się przekonać, że to prawda, co ja mówię?

— Najchętniej.

— Idź więc za mną i patrzaj na skutek, jaki twoje rady uczynią

XVI.

Jako szatan ukazuje Twardowskiemu, na co wyszły jego rady.

Djabeł poniósł naprzód Twardowskiego do domostwa owej starej baby, która go prosiła o męża, a której mistrz doradził wykopać, co się znajdowało w głowach jej łóżka. Czeladnik wprawdzie poślubił ją sobie zaraz, ale bił okropnie (widzieli to i inne rzeczy jeszcze, gdyż szatan ukazywał przyszłość nawet Twardowskiemu), była z nim najnieszczęśliwsza, przeklinała swoje głupstwo i radę mistrza.

— A wiesz, mistrzu, na czem się to skończy? — zapytał go djabeł.

— Nie widzę i nie domyślam się, bicie kończy się na sińcach i nic więcej.

— Skończy się to na zbrodni; — rzekł djabeł — będziesz li chciał widzieć, a zobaczysz; już do tego niedaleko. Stara szuka ziela, które ugotuje młodemu małżonkowi *certissime*.

Szli potem dalej do domku owego chłopaka, któremu Twardowski doradził, jakim sposobem miał pozyskać miłość u Magdy, dziewki Malchera złotnika. Chłopak sposobił się już do wesela, Magda za nim szalała.

— Ach! — rzekł na to Twardowski — i tu znowu chciałbyś widzieć co złego?

— I tu — odpowiedział djabeł — widzę nieochybne żniwo dla piekła. Oto ci się pobiorą, ale ich miłość,

wymożona czarami, rozleci się prędko po ślubie, — natenczas pani młoda pomyśli o innym niegdyś jej miłym czeladniku złotnika i będzie z tego 1 *Adulterium*, 2 *Homicidium*, po 3 *Damnatio*. Tego wszystkiego nie byłoby pewnie, gdyby ją czeladnik ów poślubił; żyliby w zgodzie i pokoju bez grzechu, kochaliby się, jak się kochali; i tu więc musi ci, mistrzu, piekło podziękować.

Twardowski się zadumał.

— To są — rzekł — tylko paradoksalne przypuszczenia.

— To są matematyczne prawdy — odpowiedział djabeł. I szli znowu do domu mieszczanina, któremu Twardowski dał *antidotum* przeciw czarom. A djabeł ukazał mistrzowi, jak stara sekutnica, która wprzód czarowała tylko, widząc się niesilną w czarach, któremi nic więcej uczynić nie mogła, gotowała sąsiadowi napój, nie czarodziejski już, ale skuteczny, bo śmiertelny — truciznę.

— I tu patrz, na czem się kończy, — rzekł szatan — wybornie! Gdyby tylko czarowała, mniejby było złego, ale dałeś mu lekarstwo przeciw czarom.

Potem ciągnęli się dalej ku mieszkaniu doktora, któremu mistrz dał radę, jak się pozbyć miłości, narzuconej mu gwałtem przez dziewczynę zakochaną w nim. Doktor już był użył przepisanego lekarstwa i dobrze mu poskutkowało, lecz dziewka z rozpaczy rzuciła się w złe życie, związała z pannami fraucymeru S. Marka, aż nareszcie niedaleka była i zamtuzu.

— Gdybyś był tej tak skutecznej rady doktorowi nie podał, — rzekł djabeł — onby był rad nierad, słuchając narzuconej mu pasji, ożenił się z dziewczyną; byliby żyli z nią cnotliwie; tak zaś choć jedno z nich powędruje do piekła. A zatem i tu dobry skutek twoja rada przyniosła. Dziękuję za nią uniżenie.

— Czekaj, czekaj, — odezwał się mistrz — jest

gdzieś mieszczka, której dałem sposób pewny na ustalenie zgody w małżeństwie, bo się stadło nie godziło; obaczym czy i to na złe wyszło.

— Obaczno, to tu właśnie — rzekł djabeł i wskazał z uśmiechem na domek niedaleko stojący.

Widać w nim było dużą izbę białą, w której jednym końcu ziewała kobieta, w drugim spał mężczyzna.

— To jest owa zgoda, — dodał — on pije, a ona go okrada — ustępują sobie i przebaczają wzajemnie. Zgodni są, ale zgoda wiedzie ich oboje do niechybnej zguby. Póki się kłócili i pilnowali, on nie pił i musiał pracować, ona nie kradła i nie stroiła się w trzęsidła, łańcuszki, czółka, kształciki i tym podobne, wiodące wiadomo do czego cacka.

— To już nie moja w tem wszystkiem wina, ale tylko twoja sprawa, djable — rzekł Twardowski.

— Nie ja im dałem zgodę — odpowiedział, ruszając ramionami, Mefistofilis.

— Jednej jeszcze kobiecie — dodał mistrz po chwili — podałem sposób dowiedzenia się tajemnic mężowskich, ale o tem domyślam się, że nie na dobre wyjść musiało.

— Właśnie wyrokiem sądów wójtowskich męża jej, skazanego na gardło, kat w rynku ścina teraz, — rzekł djabeł spokojnie — tajemnicą jego było, że z dwoma towarzyszami gdańszczanami kuł fałszywą monetę. Dowiedziawszy się o tem, żona wygadała dobrej przyjaciółce, pod wielkiem zaklęciem, sąsiadka przyjaciółki powiedziała żonie ławnika, ławnika żona złotnika żonie, żona złotnika burmistrzowej, a burmistrzowa szarą godziną mężowi, mąż wójtowi, i tak *finis bonus* pod szubienicą, to ci się gracko, mistrzu, udało.

— A tenże burmistrz, któremu zaleciłem kadzić trupim zębem od czarów?

— Próżno kadził i okurzał. Dlatego żona całe no-

cy z gaszkami się szamoce, kiedy mężysko, sądząc, że to djabli tańcują po górze, nie śmie końca nosa z pod kołdry wyściubić. Myśli on już znowu prosić cię, żebyś mu dał młodość, jak przyrzekłeś podobno, albo żebyś jego żonie starość przyśpieszył. Ale o tem potem.

— Chciałbym zrobić na nim próbkę wielkiego mego eliksiru i sposobu przywracania młodości — dodał mistrz.

— Jak chcesz, — odpowiedział djabeł — wola twoja, skutki tylko nasze, i zawsze dla nas równie pomyślne będą.

— Zrobiliście mnie więc niewolnikiem swoim i kmieciem? — oburzając się, przerwał mu mistrz.

— Wszak robisz, co ci się tylko podoba!

— Ale skutki moich czynności więzicie i obracacie na swoje.

— A któż na świecie kieruje zupełnie skutkami swoich czynności — rzekł djabeł pokornie. — Działanie i skutek jest to zupełnie celowanie i strzał. Niech jak chce strzelec celuje, przecież często strzała celu chybi i głowy za nią nie dać.

Umilkł mistrz, bo nie było co na to odpowiedzieć.

— A szlachcic, — rzekł po chwili — któremu doradziłem sposób pozyskania ogromnych skarbów, ten już bezwątpienia w siódme piekło postąpić musiał?

— Hm! o tym nieco wątpię, — odpowiedział djabeł — trzeba będzie popracować.

— Zawsze mnie na przekorę! On! — zawołał mistrz — żartujesz zapewne, francie, ale żart niewczesny. Wiem ja z pewnością, że szlachcic ten jest na waszym szerokim gościńcu piekielnym.

— Tak się to wam zdaje, — odpowiedział bies — bo wy rzeczy widzicie z ich pozorów, ale nas to więcej obchodzi, głębiej bierzemy. Jest coś w jego duszy, co go broni.

— Cóż takiego przecie? zda się, że w niej nic niema, prócz chciwości a łakomstwa.

— Większe jeszcze od chciwości tchórzostwo — rzekł djabeł. — Lecz dobrze, żeś mi go przypomniał, mistrzu, pójdziemy go śledzić; trzeba nad nim mieć oko.

Już była noc właśnie i szatan, obejrzawszy się dokoła, pociągnąwszy nosem na cztery wiatry, przewąchał zaraz, dokąd się szlachcic udał dla przyprowadzenia do skutku tajemniczego obrzędu, przepisanego mu przez Twardowskiego. — W stronie północno-zachodniej był w lesie opuszczony domek, niegdyś gajowego, któren z całą rodziną swoją w ostatnim zginął morze, przyniósłszy zarazę z miasteczka, do którego po mąkę chodził. Stała buda pustkami od tego czasu, nikt w niej nie mieszkał, wiater i burze rozchwiały ją potrosze, ale się jeszcze trzymała. Położona ona była opodal od gościńca, wśród głuchego lasu, ścieżka nawet wiodąca do niej niegdyś, zarosła pokrzywami, łopuchy i puszczającą tam i sam leszczyną. Dokoła osłaniała ją gąszcz, pokrywająca dzikiemi bzy, kaliną i tarnem dawny gajowego ogródek, i przypierała aż pod pochylone ściany. Płoty opadły już były i spróchniały na ziemi, w chacie ni drzwi, ni okien, piec się nawet rozwalił i gruzy z niego zasypały większą izbę. Druga tylko mniejsza miała jeszcze zabite spróchniałemi dylami okienko, i w tej się szlachcic usadowił. Znalazłszy w kącie rozbitą starą beczkę, położył na niej kawał okiennicy czy drzwi, przylepił ogarek świeczki na desce i od zmierzchu liczył wciąż swoich dziewięć szelążków. Gdy djabeł z Twardowskim przybyli pod chatę gajowego, ujrzeli go pochylonego nad robotą, z oczyma iskrzącemi, czołem spotniałem, drżącego, wybladłego, ledwie żywego, a jednak liczącego pieniądze tam i naodwrót bezustanku.

Szum tylko gałęzi i krzyk sów, odzywających się zdaleka, przerywały głuchą ciszę puszczy. Najśmielszy byłby mimowolnie dostał śmiertelnych dreszczów w takiem położeniu; dziwił się Twardowski, że szlachcic, którego djabeł nazywał tchórzem, mógł, choć cały drżący, wysiedzieć nad swemi dziewięcią szelążkami; a tak niemi zdawał się zajęty, że oka nawet nie zmrużył, ciała nie wyprostował na chwilę, nie obejrzał się, nie odetchnął, włosów, spadających mu na oczy, nie odgarnął — liczył tylko a liczył.

— A! — rzekł djabeł — trzeba mu trochę przeszkodzić.

To mówiąc, wlazł do izdebki kominem, siadł w kącie i zaczął hukać głosem sowim.

Wzdrygnął się szlachcic, ale liczył dalej. Potem bies zakrzyczał piskliwie, jak niemowlę u piersi. Szlachcic stał się blady, jak chusta, ale swego nie porzucił. Nagle oderwał szatan kawał dachu nad głową jego, i rzucił go w ogródek z hałasem i chrzęstem wielkim; na stół i wkoło szlachcica posypały się śmiecia, słoma, drzazgi, szlachcic nie wstał i nie ruszył się, ale z jego twarzy widać było, że prawie konał od strachu Uspokoił się potem szatan chwilkę i znowu z kąta, udając śmiech starej baby, wtórował nim jednostajnemu szlachcica powtarzaniu.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Po chwilce znowu djabeł, machnąwszy ogonem, świeczkę zgasił; chciwiec, choć pociemku, liczył jednak ciągle bez omyłki.

— Uparte stworzenie! — rzekł bies, zapalając znów świecę — umiera ze strachu, a swoje robi.

Zapalenie nagłe świeczki nie uczyniło zmiany na liczącym, który, ani się zająknąwszy, kontynuował

Prawie tak całą noc, przyglądając się szlachcicowi, przepędzili; szatan dnia czekał, na samem już prawie świtaniu, wymęczywszy dobrze chciwca, podszedł pod okno i szyderskiego dobywając głosu, rzekł nagle:

— Hej! panie Bartłomieju, a nie omyliliście się czasem aby raz?

— Nie! — odpowiedział szlachcic.

— Liczcież dalej! — rzekł szatan.

Szlachcic do pieniędzy znowu, ale zapłonął cały, bo był już zapomniał, na czem stanął; przewracał szeląžki po desce, bełkocząc niezrozumiale, język mu się mieszał, drżał coraz gorzej ze strachu, widząc przepadającą całonocną pracę i lękając się zapowiedzianej srogiej jakiejś kary. Powtarzał z wlepionemi w ziemię oczyma:

— Dwa, trzy, cztery; ale nieśmiało, urywano.

Djabeł śmiał się pod okienkiem.

— Mościpanie, — rzekł po chwili — zbiliście się z tropu.

Zaledwie to wymówił, zatrzęsła się pusta chata, i ze wszystkich stron nalecieli do niej djabli. Ten z kijem, ten z cepami, ów z pięścią, ów z ożogiem, inny z łopatą, wpadli na grzbiet szlachcica, który jak nieżywy padł pod gradem ich razów na ziemię, nie wiedząc, co począć z sobą. Twardowski, czy to z litości nad szlachcicem, czy przez złość ku djabłu, zawołał nagle:

— Wołaj kogo na ratunek!

Dopiero ogłuszony szlachcic wspomniał Świętych Pańskich i N. Pannę i krzyknął:

— Święci Pańscy, Marjo Panno! ratujcie mnie nieszczęśliwego!

I ledwie to wymówił, odskoczyli piekielni oprawcy i znikli, jakby ich nigdy nie było.

Szlachcic porwał się z ziemi, szybko zgarnął swoje

pieniążki i rzuciwszy się we drzwi, uciekł co miał tchu lasem.

— Otóż, — rzekł Twardowski, odchodząc do djabła — widzisz, że nie wszystkie moje rady na waszą korzyść wychodzą. Gdybym był nie podał mu myśli wołania o ratunek, byłby przepadł pod waszemi razami; a tak ocalony został i pewnie się poprawi teraz.

— Poprawi się?—powtórzył djabeł ze śmiechem.— Prawda! poprawi się. Wiesz-że nawet, dokąd on poszedł?

— Sądzę, że prosto do Bydgoszczy, gdzie pewnie pod ciężarem przestrachu nawróci się i wstąpi do klasztoru. Są tam reformaci.

— Są reformaci i on wejdzie do klasztoru — odpowiedział Mefistofilis — to prawda; ale czy to mu wyjdzie na lepsze?

— Ujdzie piekła!

— Ujdzie piekła!—powtórzył szatan. — O! wątpię, bardzo wątpię! Postaramy się o pokusy dla niego, jakbym już widział nawet wlokącego się po gościńcu piekielnym, z tą miłością złota i chciwością, które go nie porzucą do śmierci. Kto wie, czy nie lepiejby dla niego było, gdyby był nie wołał na ratunek nikogo.

Mistrz spojrzał z gniewem na szatana, odwrócił się od niego i milcząc, powrócił do gospody w Bydgoszczy, gdzie, kazawszy Maćkowi nikogo do siebie nie dopuszczać, zamknął się ze swemi myślami.

XVII.

Co mistrz we czwartek widział na Łysej górze.

Smutny był Twardowski, niespokojny, znudzony. Pierwszy raz uczuł on, że i tego, co mu dał szatan, wiedzy wszystkiego, władzy wielkiej, nauki złego bez granic, nie dość było jeszcze na zapełnienie duszy. Lecz to uczucie wziął z początku za fałszywe i chwilowe.

— Nie! — rzekł w sobie — ja tak czuję, bom jeszcze ledwie nowego życia skosztował, ledwie wiem jeszcze, co mam i co mogę. Tysiąc jest jeszcze użytków z mojej nauki, do których jej nie zastosowałem, tysiąc rozkoszy, którym mogę rozkazać, aby przyszły, otoczyły mnie i uczyniły mi szczęście, jakie sobie wybiorę. Nie jest to jeszcze ostatnie słowo, ani ostatni dzień mój, ani dno kielicha, któren ledwie dotknąłem ustami. Próbujmy, co mogę, nasyćmy się, czem mam.

Pojadę na Łysą górę!

Był to właśnie czwartek, kiedy się tam wszystkie duchy i czarownice zbierają.

Był to sejm czarownic i duchów.

Ledwie pomyślał mistrz, już siedział na malowanym koniu i rzuciwszy garścią sen na Maćka, drzemiącego w kącie izby, wyjechał kominem. Był już zmierzch, wiater dął z północy, księżyc czerwony, otoczony chmurą, wychodził z pod ziemi powoli; dokoła mistrza orszak jego leciał, nietoperze, sowy, puhacze, dziwne jakieś i niewidziane po dniu stworzenia. W po-

wietrzu słychać było rozmowę wszystkich stworzeń, którą mistrz jeden rozumiał.

Spotkała go kukułka, ulubiona wieśniakom prorokini, i mówiła mu:

— Dobrywieczór ci, mistrzu, dobrywieczór! Dokąd to się tak śpieszysz? Poco jedziesz? Naco tobie ta ciekawość, po ciekawości smutek? Jedź, jedź, za kalinowym mostem, za trzema stogami, za trzema mogiłami i trzema krzyżami znajdziesz, czego szukasz, choć nie znajdziesz, czego szukałeś.

A potem krakała mu nad uchem wrona:

— Kraa, kraa! Witaj, mistrzu! Właśnie tylkom co skończyła z braciszkami krukami trupa, który z twojej łaski ćwierciami rozstawiony był po drogach. Smaczne było jego serce, piękne jego serce, różowe i miękkie. — Dziękuję ci, mistrzu!

— Któż to zginął z mojej łaski znowu? — spytał siebie Twardowski — to chyba ten, który kuł fałszywe pieniądze. Mniejsza z nim, lećmy dalej.

Gonił mistrza nietoperz i witał go, trzepocząc skórzanemi skrzydłami:

— Nie poznałeś mnie, mistrzu? Jam ci to jest, który wiszę nad twojem okienkiem w Krakowie i skrzydłami memi od czarów cię zasłaniam. Uwolniłem się przecie choć na chwilę, polecę na Łysą górę.

Nadleciała sowa i wołała:

— Uhuu! uhuu! czuję śmierć, polecę pod okno i uderzę o szyby i zawołam — pójdź, pójdź! A druga za nią goniła i mówiła:

— Czuję, że się ktoś narodzi, polecę pod okienko i zaśpiewam — powij! powij! a śpiew mój tak biedną przestraszy, jakby jej śmierć zwiastował. Nie trzeba było siedzieć w ogródku księżycowych nocy z kochankiem — chłodne nocy księżycowe, niezdrowe powietrze po rozkoszach choroba.

Świergotały wróble:

— Polecim do stodoły bogacza, wyskubiemy kłosy, wypijem mu w polu, co znajdziem, musi choć mimowoli dać jałmużnę.

Skrzeczała sroczka na płocie:

— Jadą goście, jadą goście! Jedzie pan na czarnym wozie, a na nim biały krzyż, a w wozie koni cztery, towarzyszą mu księża! Gotujcie się na przyjęcie, droga pani, bo jedzie gość!

Wszystkie te głosy mistrz, lecąc nad ziemią, zbierał w ucho i w duszę, a wszystkie były smutne.

Tymczasem w powietrzu mijał tłumy różnych duchów i postaci, jak on, lecących na Łysą górę.

Tam przesuwały się stare wiedźmy, o trzech garbach, o trzech zębach, na miotłach, na ożogach, na łopatach, z rozczochranemi włosami, rozpiętemi opończami. Skakały na kozłach, na czarnych kotach, na nietoperzach leciały.

Jedna z północy sunęła się w stępie, którą poganiała tłuczkiem, miała złote czółko na głowie i, jak wszystkie, garnuszek zawieszony u pasa.

Drugą wiozła żaba, trzecią krowa czarna, każda z nich śpiewała coś pod nosem, za każdą dymiły się spalone jakieś ziela, z garnuszka, zwieszonego u pasa.

Nagle przesunął się mimo Twardowskiego szkielet biały wisielca z postronkiem u szyi; za nim leciało stado wron i kruków, krakając:

— Jeszcze masz ciało u boku, wiszą ci jeszcze po biodrach kawałki, oddaj nam ciało, oddaj nam nasze!

Potem ujrzał latawca i latawicę, którzy w czułym uścisku sunęli się na Łysą górę.

Potem chochlików małych, jadących tłumami.

Potem upiory blade w śmiertelnych całunach.

Potem wilkołaki, które, wyjąc, jak głodni wilcy, szli za nimi. I wiele jeszcze dziwnych postaci przesunęło

się koło niego, nim ujrzał wreszcie Łysą górę, której kościół na tle niebios jaśniejszem czerniał w oddaleniu, a podnóże jej, zaroślami okryte, połyskiwało drobnemi światełkami, poruszającemi się w różnych kierunkach, stojącemi, migającemi. Tu bowiem u podnóża góry zbierali się wszyscy od czasu, jak wierzchołek świętym przybytkiem Bożym został zajęty, nie porzucając odwiecznej schadzki, a ustępując jednak przed znakiem krzyża, błyszczącym na wierzchołku.

Im bliżej był mistrz, tem wyraźniej tłum czarownic i dziwacznych postaci, oświecony tajemniczemi ogniami, rozłożonemi po górze wśród zarośli, rozpoznawał. Wzlatując długo ponad głowami ich, widział i słyszał dziwne rzeczy, dziwne rozmowy, przypatrywał się osobliwym straszydłom i potworom, nasłuchał się szyderskich śmiechów, brzęków i śpiewów. Niekiedy z koła wyrywały się widma, brały za ręce i unosiły w konwulsyjnym tańcu, podobnym chorobliwym ruchom paralityków. Wśród tłumu kręcili się rozsypani tam i sam djabli, których zdradzał płomyk, wahający się nad głową i nad sercem; nie ów blady i czysty, którym cechują genjusz, lecz czarny — dymny, smrodliwy.

Czarownice wołały:

— Lado, lado, lado didi!

I widać było ich tańce, ich wykrzywiania, podskoki, z któremi otaczały ognisko i warzący się kociołek.

Z ciekawością przypatrywał się mistrz, nie mieszając z tłumem i zwolna dokoła oblatywał górę, zamyślony, zadumany wśród tego wesela potępionych, które dziko w jego sercu brzmiało.

Straszna to bowiem była wesołość, przez której łachmany podarte przeglądała rozpacz, w której czuć było męki i śmierć.

Trafił Twardowski na szkołę.

Siedziały siedem bab, na siedmiu kamieniach gro-

bowych, a dokoła nich cisnął się tłum młodzieży. Każda zabierała głos zkolei i tłumaczyła, nauczała, jak duchy sprowadzać, jak deszcz zatrzymać, jak krowom mleko odebrać, jak chorobę naprowadzić, jak osypywać, jak w zbożu zawiertki czynić, jak płaksy na dzieci nasyłać i t. d. i t. d. Młodzież słuchała z uwagą, z ciekawością, z radością, i brała nauki do serca, bo nic się tak nie przyjmuje łatwo, jak złe.

Dalej, w kole, czarownice, pobrawszy się za ręce, śpiewały pieśń, której dziwaczne wyrazy dla nich tylko były zrozumiałe. Warzyły one w kociołku napój miłosny, lubczyk — mieszając do niego włosy dziewczyny, kroplę jej krwi i łzę. — Szumowały go łapką nietoperza, rzucając weń różne zioła i dziwne słowa.

— Niech ten, co się go napije, — śpiewały — żyje tylko tą, która mu go dała, niech za nią, jak cień, chodzi, niech jej będzie posłuszny, jak jej ręka, niech się dla niej da powiesić, ściąć, spalić i potępić, niech dla niej matkę i ojca zabije.

Pięknie warzy się lubczyk! Szum nad nim i piana, jak nad sercem dziewczyny miłość szumi, a męty na dnie, jak żal jej będzie tego, co przeszło, gdy jutra nie stanie. — Słodko na brzegu, jak w młodości, gorzko w środku, jak pod starość.

Szumi wiater, ognie błyszczą, sowy śpiewają — pójdź! pójdź! ale wiater nie uniesie, ogień nie spali, sowy nie wywołają wprzód kochanka, aż nie zaspokoi tej, która mu da lubczyku.

Rośnie trawa u strumienia i kwitnie tylko w północ, a kwiat ma różowy, co się raz w rok otwiera w wielką wigilję — wsypcie kwiatu do kotła, lewą ręką od serca. Dziewczyna go nosiła pod sukienką na piersi, i spaliła na popiół, na żar.

Włóżcie serce gołębia turkawki, któremu strzelec

zabił samkę, bo gołąb tęskni i zdycha za swoją. Niech i on tak wzdycha i usycha, gdy się napije lubczyku.

Niedaleko znowu stare baby warzyły napój inny, czarowny, i siedząc nad kotłem, kiwały głowami, machały rękami, przeciągłym głosem wołały:

— Kładnę kość ze starej kośnicy, niech kto napój wypije, uschnie, jak ta kość, zżółknie i zaniemieje.

— Kładnę wosk ze świecy kościelnej, spalonej na pogrzebie, niech mu będzie w życiu smutno, jak było na cmentarzu, kiedy świeca dogorzała.

— Kładnę ze strzechy kościelnej garść słomy; kto napój ten wypije, niech mu się w duszy lęgną złe myśli i smutki, jak wróble i sowy pod tą strzechą.

— Kładnę serce wisielca, wyschłe na szubienicy, niech mu będzie tak, jak było tamtemu, gdy od księdza krzyż całował, i niech zginie, jak on zginął, krukom na wieczerzę jego serce, wronom na obiad jego piersi, sępom i jastrzębiom cielsko jego na śniadanie.

— Kładnę próchno z trumny, niech, jak ona, spróchnieje, niech w nim zgnije wesołość i szczęście, jak w tej trumnie zgnił trup.

— Rośnie kwiat nad mogiłą, kwitnie w zaduszny dzień, czarno i biało — rzucam kwiat do napoju i niech mu kwitnie na czole czarna myśl, jak ten kwiat, czarny smutek i rozpacz.

— Włóżcie serce sowy, co się kryje w dzień, a w nocy płacze, a ludzie ją zabijają i ptacy ją pędzają: niech i on tak będzie znienawidzony od wszystkich.

Mieszały napój w kotle trupią kością i sypały weń złość, którą miały w sercu; napój wrzał, szumiał i syczał i kipiał, aż nad brzegi. A gdy kropla padła na ziemię, wypalała trawy, a zasychała czerwono, jak krew.

Za temi inne było koło jeszcze, ale tu wśród szeptów i chichotania nie mógł mistrz dojść, o co szło, a niebardzo ciekawy, pominął, nie dowiedziawszy się.

Niżej uczył stary upiór młodego upiora, jak krew ze śpiących wysysać, a stara zmora młodą zmorę, jak dusić biednych, siadając im na piersi.

Potem szło jeszcze wesele; żenił się kozioł ze starą babą; grali im muzycy na piszczałkach kościelnych, i bębnili w bębny, ludzką skórą naciągane.

Usłano im łoże małżeńskie na kamieniu grobowym i rozpięto namiot z całunu.

Tam i sam włóczyły się po górze duchy i mary pojedyńczo, inni z djabłami w parze, inne jeszcze, szukając sobie towarzyszy, zaczepiały, wykrzywiając się miłośnie lub rzucały się na przechodzących. Byli tam młodzi i starzy, młode i stare, mnichy i żołnierze, szlachta i chłopstwo, mieszczki i mieszczanie, lecz najwięcej starych bab i upiorów. Wszystko to suwało się po zaroślach, wkoło rozłożonych ognisk, gwarzyło i śpiewało, krzyczało i śmiało się przeraźliwie, targowało i kłóciło, przeklinało i wyzywało.

Gdzie niegdzie ślepi dudarze grali czarownicom piosenki i tańce; indziej biesiadowano pod krzakami, dobywając jadła i napojów z dwojaczków i butli z miodem i piwem. Mistrz, postrzegając wszystko, nie mieszał się do tłumu, ulatywał nad nim zwolna, ciekawie się wpatrując i przysłuchiwając, a czoło jego chmurne było i pomarszczone, świadcząc o głębokiem uczuciu i myślach.

Nagle uczuł się trąconym w ramię. Głos znajomy zabrzęczał. Był to szatan, *familiaris* mistrza.

— Widzem tu tylko jesteś?

— Jakżeś mnie tu odkrył i znalazł? — zapytał go zdziwiony Twardowski.

— Jak zawsze, szedłem wślad za tobą.

— Jak zawsze, mówisz?

— Jak zawsze.

— Śledzisz mnie więc jak swego niewolnika?

— Nie jak niewolnika, przepraszam, — odpowiedział szatan — ale jak matka dziecko ulubione.

— Dzięki za piękne porównanie, kto wie jednak, czembym z dwojga z lichem być wolał.

— Czemuż się nie wmieszasz do naszej zabawy? — rzekł szatan po chwilce.

— Bawić się nie lubię, — odpowiedział Twardowski poważnie — a nauczyć się tu nic nie mogę.

— A zawsze ta nauka! zawsze ci ona, mistrzu, mózg psuje. Alboż człek ma się tylko uczyć?

— Mamże tu co robić, mogęż być tu komu potrzebny? — przerwał Twardowski.

— Zawszeż człowiek ma tylko służyć.

— Cóż chcesz więcej, abym począł?

— Żebyś szalał i bawił się z nami, a życia, póki ci służy, używał.

— Używał życia! na to, zda mi się, nie Łysej góry potrzeba i tutejszych twoich ludzi.

— Równie przecie obojętny jesteś i gdzie indziej.

— Jeszcze pora nie przyszła. Człek rozumny zwleka użycie świata, póki go nie pozna zupełnie.

— A zechce go użyć, gdy będzie po czasie, gdy sił mu zabraknie — znowu poszepnął djabeł.

Ta myśl mimowolnie utkwiła w mózgu mistrza. odpowiedział jednak zimno:

— Taki człowiek, jak ja, wszystko może, czego chce

Djabeł spojrzał tylko i parsknął. Milczenie.

Sabat zbliżał się do końca, bliskie było kurów pianie, niektórzy już się wynosili, gasły ogniska, szumiało powietrze od wzlatujących mar, klasztorny zegar powolnie bił godzinę. — Po chwili na folwarku kury raz pierwszy piać zaczęły. Twardowski zwrócił się do Bydgoszczy, gdzie Maćka zastał jeszcze śpiącego.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XLVI

J. I. KRASZEWSKI

MISTRZ TWARDOWSKI

POWIEŚĆ Z PODAŃ GMINNYCH

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Jako Twardowski odmłodził burmistrza Słomkę.

Rano było bardzo jeszcze, gdy już ktoś zapukał do drzwi mistrza, który noc całą strawiwszy bezsennie, siedział jeszcze u stoła, czytając w swej duszy dziwne naciskające się uczucia.

Otworzyły się. Był to ów pan burmistrz, któremu Twardowski doradził kadzić trupim zębem, a rada ta nie pomogła, bo nie było czarów w domu, nie djabli w nim tańcowali i hałasowali na górze, ale jejmościne gachy, bo burmistrz był stary, a pani burmistrzowa młoda jeszcze, i bardzo, a może nadto wesoła. Poznał się wreszcie burmistrz na tem i tak mówił, stanąwszy u drzwi:

— *Sapientissime!* wiem już, co mi się w domu dzieje — młoda żona mi szaleje. Jeśli chcesz tej mojej biedzie zaradzić, albo mnie zrób młodym, albo ją uczyń starą. Pono to jednak bezpieczniej, żebym ją odmłodniał, bo to dobre przysłowie, że w starym piecu djabeł pali. Jejmość moja szaleć może, jak przywykła, a ja na to nie potrafię dać rady. Jak będę młodym, jeśli mnie jejmość nie pokocha, to może przynajmniej gaszkowie bać się będą. Wiem ja, — mówił dalej burmistrz — iż ty wszystko mocą swoją możesz, uczyń też to dla mnie, jak waszmościna łaska.

— Rzecz to nie tak łatwa, ani ją tak z kopyta do skutku przyprowadzić można, — rzekł mistrz poważ-

nie. — Przerobić człowieka starego na młodego, dzieło to trudne, długie i kosztowne.

— Ja już kosztów na to żałować nie myślę, — odpowiedział burmistrz — gotów jestem, gdyby mi zabrakło, zastawić się i sfantować, byle tego dopiąć; boć to warto, byleby drugi raz w życiu być młodym. Ależ jakież to mogą być koszta, mój mistrzu? — podchwycił prędko, skrobiąc się po łysinie.

— Znaczne dosyć, — rzekł Twardowski — potrzeba na to ziół rzadkich i drogich, maści zamorskich, potrzeba długich przygotowań; nim się wszystko przysposobi i pościąga z różnych stron, rok może upłynąć.

— Rok! — zawołał pan Słomka — tak długo!

— Przecież warto na to poczekać — rzekł Twardowski.

— Zapewne, — szeptał pod nosem burmistrz — ale jeśli ja umrę, nim się to zrobi?

— Potrzeba też — mówił dalej mistrz — jednego zaufanego pomocnika. Tego ja znajdę w moim słudze. Waszmość ułóż swoje interesa i wybieraj się, jakby w długą podróż. Znajdziemy tymczasem dom jaki wygodny na ustroniu, spokojny, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Waszmość, jeśli cenisz swoje życie, powinieneś milczeć jak kamień i nikomu o tem wcale nie wspominać.

— Będę milczał, jak grób — rzekł burmistrz z ukłonem. — Co się tyczy podróży, udam, że pojadę za skórami do Wilna, co też nieraz już czyniłem. Dom najmiemy za miastem, ja go sam najlepiej wynajdę, a ten worek — rzekł, kładąc na stole zieloną kaletę — na pierwsze koszta wystarczy zapewne.

— Idź waszmość ze swojej strony się gotować, — rzekł mistrz — a nie dowiaduj się do mnie aż za kilka miesięcy. Ja tymczasem przygotuję wszystko do wielkiego dzieła.

A w duchu pomyślał: — Pierwsza to będzie i ciekawa próba na tym opasłym wieprzu; gdyby się nawet nie udała, niewielka szkoda kawałka nadpsutego mięsa.

Burmistrz wyszedł uradowany; Twardowski tymczasem, przecierając myśl jakąś w głowie, zawołał Maćka i rzekł:

— Znam twoją wierność dla mnie, i dlatego chcę cię użyć do wielkiego i ważnego dzieła. Nabędziesz nauki, z której kiedyś będziesz mógł korzystać, a tymczasem dasz mi dowód, że się nie mylę, rachując na ciebie.

— Obaczysz, mistrzu — odpowiedział Maciek.

— Mamy tu przerobić człowieka.

— Przerobić?

— Tak, Maćku, ty będziesz dopomagał do tego. Od jutra zaczniem szukać potrzebnych ziół, przygotowywać ciecze i maści, których użyć wypadnie.

Jakoż nazajutrz zaraz, kostury wziąwszy w ręce i ubranie pielgrzymie, poszli obadwa za ziołami i potrzebnemi ingredjencjami. Nie tak to łatwo było pozbierać wszystko, co mistrz na długiej spisał karcie. Niektórych ziół i korzeni potrzeba było dobywać przy świetle księżyca, wszystkie prawie brano na młodziku, mało które na pełni, potrzeba było ich wyszukać, jednych w kwiecie, drugich w ziarnie, innych, gdy już więdły; potrzeba było jeszcze starannie je przechowywać i strzec od zepsucia.

Za niektóremi przyprawami wysłał Twardowski daleko wiernego Maćka, dawszy mu kartę. Orzechów kokowych, rogu jednorożca kopalnego, pewnych części mumji szukać należało daleko i drogo opłacać.

Ku tajemniczej odmłodzenia sprawie potrzebne też były niektóre części zwierząt osobliwych i rzadkich, trudno się wyszukać dających; lecz z mozolnym tru-

dem i pomocą szatańską wszystkiego dostał Twardowski, nawet pewnej, odmładzającej wody, która biła z siódmego źródła na niedostępnej górze, a której z niebezpieczeństwem życia naczerpał.

Długi czas trwały same przygotowania, aż nareszcie mistrz dał znać p. Słomce, że wszystko było gotowe. Ten wybrał się już był, jak w długą podróż, pożegnał żonę, zalecając jej, aby o niego była spokojną, bratu poruczył dom i sklep, a sam nocą przeniósł się do najętego na przedmieściu domostwa.

Wybrał Twardowski sam nów księżyca na wielkie owe dzieło. Naprzód dał jakiś usypiający napój burmistrzowi, który go całkiem na oko umorzył; to zaś dlatego, aby nie czuł, co się z nim dziać miało. Potem z wiernym Maćkiem włożyli go do kotła i gotowali długo, śpiewając jakieś tajemnicze wyrazy; wyjęli wreszcie i smarowali zioły i maściami, kropiąc wodą cudowną.

Trwało to dni kilkanaście, lecz mistrz niezupełnie rad był ze swej pracy i wśród niej, nie rozpaczając o skutku, poczynił sobie drugi raz uwagi. Przez cały czas roboty dusza burmistrza, wyjęta z ciała, siedziała w dobrze zaszpontowanym słoju. A gdy wreszcie ciało zostało odmłodzone, świeże i gotowe na jej przyjęcie, wpuścił ją Twardowski ostrożnie w usta trupa, który natychmiast zwolna ożywać zaczął, poruszać się, rumienić i wreszcie powstawać ze stołu, przecierając oczy.

Maciek, który posłuszny robił wszystko, co mu kazano, ale się nigdy takiego nie spodziewał skutku, osłupiał na ten widok. Mistrz był uszczęśliwiony i rad swojemu dziełu. Burmistrz odmłodzony, zdało się tylko, że utracił pamięć i powoli ją dopiero odzyskiwał, gdy się dobrze na świecie rozpatrzył.

Zapłata już była wyliczona, zaczem burmistrz, za-

brawszy się z odzieniem swojem, prędko pośpieszył do domu, naliczywszy wprzód tysiąc tysięcy błogosławieństw Twardowskiemu.

Trochę niespokojny, dawszy mu obszerną naukę dalszego postępowania, Twardowski wysłał za nim na szpiegi wiernego Maćka, który zpowrotem przyniósł następującą relację:

— Gdy burmistrz zapukał do drzwi swojego domu, już był wieczór. W oknach kamienicy wszędzie błyskały światła, słychać było huczną muzykę, konie i kolasy u wrót, czekające na panów, świadczyły, że się liczne zgromadzenie u p. burmistrzowej bawiło.

— A jednak to ani święto, ani imieniny, ani urodziny, spodziewam się, ani zapusty — rzekł burmistrz, pukając zwolna. — Dziwna rzecz, ale czekaj jeno jejmość, będzie tu wszystko inaczej, jak się ja tylko pokażę! — mruczał pod nosem.

Otworzono mu drzwi wreszcie, ale wierny sługa stary nie poznał pana wchodzącego i pytał:

— Czego miłość wasza potrzebuje?

— Czego? Cha! cha! Tadeuszu, — odpowiedział burmistrz — widzisz, powróciłem z podróży.

Maciek wcisnął się i ciekawie przysłuchiwał.

Tadeusz, wyrapiwszy ogromne oczy, patrzał, ale nie rozumiał nic jeszcze, ani go poznawał.

— Prowadź mnie naprzód do komnaty, od której u jejmości klucze.

— Co? co? co on gada? — bąkał, wpatrując się Tadeusz. — Miałżeby to być nasz pan? aleć to jakiś młody, w samej sile wieku człowiek. Gdzieżby on zgubił ten odęty brzuch, co go nosił przed sobą.

Podstawiwszy świecę mało nie pod sam nos panu, począł sobie coś niby przypominać Tadeusz.

— Takimem żeć go widział, kiedy jeszcze był mło-

dy, — rzekł — ale skąd mu u licha to odmłodzenie? I przecierał oczy, mówiąc:

— Albom ja głupi, albom pijany, albo to szatan albo to czary.

— Ani to, ani to, ani tamto! — odpowiedział burmistrz, wstępując na wschody. — Tylkom ja się od mienił.

— Ale jakimże u licha sposobem?

— A! to tajemnica, Tadeuszu. — Namyśliwszy si nieco, szedł p. burmistrz na górę.

— Jejmość właśnie, strojna i powabna, tańczyła *gonionego,* gdy jegomość wszedł, uśmiechając się d izby. Muzyka grała od ucha, usłyszano przecie otwie rające się ciężkie drzwi, obejrzano się nań. Starsi jęl sobie oczy przecierać i przyszli go pytać:

— Jesteś li waszmość burmistrza Słomki syn, cz krewny, że tak do niego podobny?

— Ja to sam jestem burmistrz Słomka, — odpowiedział im, śmiejąc się — ja sam, tylko młodszy, niż byłem.

— Waszmość burmistrz Słomka! — zawołali — a toć — rzekł jeden — on ze mną w ławie zasiadał la dwadzieścia, a waszmości ledwie się wąs sypie! sza lony!

— Głos jego, ale twarz i ciało młodsze — rzekl inni.

Aż na hałas zbliżyła się pani burmistrzowa i patrzała mu w oczy.

— Ładny za katy chłopiec — szepnęła do siebie i dodała:

— Kto waszmość jesteś, łaskawy gościu?

— Waścin mąż, moja rybko, — odpowiedział burmistrz — ale młody i raźny.

— Mój mąż! Cha! cha! Daj Boże, aby mój mąż był podobny do waszmości. Widzę na waszmości jego kon-

tusz, podobno i jego głos słyszę, ale nie ta daleko twarz i postawa!

Wszyscy zdumieni kołem stali przy burmistrzu. Muzycy nawet i grajkowie oczy wytrzeszczali, szepcząc między sobą.

— Jeśli się waszmość upieracie, żeście mój mąż, — ozwała się po chwilce pani burmistrzowa — powiedzcież mi przez łaskę swoją, jaki mam znak na lewej ręce?

— Czerwony znak krzyża świętego, — odpowiedział, nie ujęknąwszy się, burmistrz — wypieczony przez matkę, panią Katarzynę, gdy cię, uciekając czasu najazdu, we wsi na mamkach zostawiła. Nieprawdaż?

— Prawda! mogłeś się tego jednak dowiedzieć, — rzekła figlarnie jejmość — ale powiedz lepiej, co mi dał mąż na drugi dzień po ślubie?

Burmistrz szepnął jej w ucho ostrożnie, nie chcąc niewiasty zawstydzić:

— Dałem ci, pomnę, z dziesięć dobrych razów po grzbiecie.

Pani burmistrzowa zaczerwieniła się cała i zawołała:

— Ale skądże u licha twoja młodość wróciła?

— Posłuchajcie tylko — rzekł Słomka, siadając.

Wszyscy zgromadzili się koło niego, a on jął im opowiadać obszernie całą swoją historję, zakląwszy ich wprzódy na tajemnice św. Trójcy, żeby o tem więcej nikomu nie wspominali. Powiedział im, jak się z mistrzem ułożył, jak usnął, jak wstał młodym, ile zato zapłacił; potem jął czarnoksiężnika pod niebiosa wynosić, zachwalać jego osobliwą naukę i zręczność. Zdumiewali się przytomni i w głowy zachodzili. Niektórzy, mając go jeszcze za impostora, zadawali mu różne pytania, lecz wkrótce przekonali się, że był w istocie nie kim innym, tylko burmistrzem *in persona,* odmłodzonym cudowną sprawą mistrza.

Zaraz tedy żwawo wzięli się wszyscy na cześć jego do kielichów i do tańca, odprawując jakby nowe, drugie wesele dwojga małżonków, lepiej teraz dobranych. Odprawiono uroczyście burmistrzostwa do łożnicy, poczem wszyscy się rozjechali i rozeszli. Uważano, że p. burmistrzowa rada była bardzo zamianie starca na młokosa, nie wiem tylko na jak długo. Brat zaś burmistrza, który, spodziewając się, że p. Słomka zamrze *improlis et sterilis,* wyciągał ręce po dziedzictwo i wcześnie się nawet z przyszłą wdową o *geradę* targował, z bardzo kwaśną miną oddał mu rejestra i klucze powierzone.

Zaraz nazajutrz gruchnęła wieść po miasteczku i okolicy o odmłodzeniu cudownem p. Słomki; mianowicie zaś między staremi wielkiego narobiła hałasu. Gadano o tem z dodatkami, po wsiach, po zamkach, po dworach i miasteczkach, tłumy starców zgrzybiałych wlokły się do mistrza; ale Twardowski, jakby przewidując to, zniknął.

U drzwi jego mieszkania siedział tylko posępny Maciek, odpowiadając wszystkim:

— Niema pana mistrza doma.

Dokąd się udał mistrz, niewiadomo, zapewne zdala, usunąwszy się od teatru samego, przypatrywał się swemu dziełu.

II.

Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją chciwość.

W głowie Maćka wielkie dzieło, którego z mistrzem dokonał, stało się powodem długich rozmyślań. Dumał on nad tem, jak się to stało, jakiemi sposoby, jakiemi przybory, przypominał sobie najmniejsze okoliczności i nieraz przychodziła mu do głowy myśl szalona, czyby nie godziło się spróbować, ażali nie potrafi sam doświadczenia powtórzyć.

— Doskonale wszystko pamiętam — myślał, powtarzając każde niemal słowo mistrza. — Znam zioła, czas ich zbioru, sposób urządzenia; czemużbym to i ja nie miał spróbować tej sztuki? Toby mi dało okrutnych pieniędzy, za te pieniądze kupiłbym sobie wieś pod Krakowem, byłbym panem, jak drudzy, pojechałbym z pocztem na dwór królewski, ożeniłbym się z panną krakowską *), którą widziałem ongi u Panny Marji, a potem jadącą kolasą do zamku.

— Dlaczegóż — mówił do siebie — nie miałoby mi się to udać, kiedy się to mistrzowi udało? Wszystko, co on zrobił, i ja zrobię łatwo, przypominając więc sobie zaklęcia, słowa, formuły magiczne — powtarzał Maciek w duchu:

— I ja to zrobię łatwo! zrobię pewnie!

Dziwił się tylko sam sobie, że chociaż pamiętał

*) Wojewodzianką.

wszystko, niewiele jednak rozumiał, co go wszakże mało obchodziło, był bowiem z tych ludzi, którzy słowa i formy za samą rzecz i jej istotę mają, nie patrząc reszty. Gdy tak, siedząc na przyźbie, rozmyśla, zatrzymał się jeździec u wrót domostwa i, przywiązawszy konia do kołka, szedł ku niemu.

Był to widocznie dworzanin jakiegoś pana, suknie jego były barwiane widocznie; za nim jechało tylko pacholę. Ubranie okazywało, że odbył kawał drogi. okryty był kurzawą, parę pistoletów miał u pasa, lekką szablę u boku, głowę okrytą mycką z wyszarzanym piórkiem, u butów ogromne żelazne ostrogi.

— Bóg z wami, — rzekł do Maćka — mówiono mi w mieście, że to gospoda sławnego mistrza Twardowskiego z Krakowa.

— Nie zwiedziono was, ona to jest właśnie.

— Niech im Bóg da zdrowie za dobre ukazanie — rzekł dworzanin, wyjmując list z zanadrza. — A jest w domu?

— Dawno go już niema.

— Niema? ależ powróci?

— Nieprędko — odpowiedział Maciek. — Czegóż to od niego żądacie?

— Jest tu do niego ważna sprawa od mego pana, starosty... jest i pisanie do Twardowskiego. — Ale cóż to pomoże, kiedy go niema w domu i nieprędko pewnie powróci.

— Może też ja co na to mogę — rzekł Maciek drżącym głosem, podnosząc się. — Bom ci ja uczeń jego i zastępca. — A potem dodał cicho: — co on może, to i ja mogę uczynić.

— Doprawdy? — przebąknął z niedowierzaniem dworzanin — doprawdy? a przeczytajcież to pismo.

Pismo było otwarte i Maciek tyle się tylko z niego dowiedział, że żądano pomocy mistrza w sprawie waż-

nej, którą miał opowiedzieć zaufany dworzanin, oddawca pisma.

Schował więc list za nadrę i spytał go śmielej:

— Powiedzże mi waszmość, o co tu chodzi — pisanie to na waszmości kładnie, że o wszystkiem wiesz i opowiesz dokładnie.

— Jest to tak tajemna sprawa, że waham się jej komukolwiek wyjawić. — Jednakże, jeśli jesteś uczniem i zastępcą mistrza...

— Każdy ci to poświadczy, jeśli chcesz — odpowiedział Maciek, wskazując ręką na miasto.

— Wierzę, iż tak być musi — rzekł po chwili dworzanin i począł:

— Trzeba waszmości wiedzieć, że nasz pan starosta od lat kilku zachorzał gorzej, niż kiedy. Nogi mu nie służą, oczy mgłą zachodzą, ręce się i głowa trzęsą, zęby lecą do ostatka, ledwie że nieborak duszy z kaszlem nie odda. A toć to mu przyszła chęć na tę niedołężną starość ożenić się.

— Ożenić się! — powtórzył Maciek — hęm, hem, ożenić!

— Tak, tak — a do tego jeszcze z młodą dziewką pana kasztelana, bliskiego sąsiada i powinowatego swego; wszystko to w nadziei potomstwa, bo jako ostatni swego imienia i herbu, musiałby na swym pogrzebie kazać strzaskać tarczę herbowną, aby jej na potem nikt nie śmiał używać, a to mu nie w smak idzie. Aliście panna jejmość kasztelanka płacze a płacze, a sobie go wielce nie życzy za męża, bo starszy od jej ojca i mówi, że takie małżeństwo byłaby to oczywista obraza Boska. A zatem i księża ichmość powtarzają w tąż, od nich nabechtani. Jużeśmy nie wiedzieli spełna, co z tem począć i jak temu poradzić, gdy się tu wieść rozeszła o panu burmistrzu Słomce, co to go pan Twardowski odmłodził. Powiedziano to i panu staroście. Zra-

zu nie wierzył, posłał potem po burmistrza, bo go kiedyś znał, a obaczywszy i usłyszawszy rzecz wszystką z ust jego, uwierzył z wielkiem podziwieniem. Aż w niego zaraz inny duch wstąpił i rzekł: — Choćby mnie to cały mój skarbiec kosztować miało, dokażę ja i na sobie tej sztuki. Zaczem wezwał mnie do siebie i posłał z informacją do mistrza, ofiarując łatwo dużą sumę, byleby mu to uczynił.

— Wieleż naprzykład? — zapytał ciekawie Maciek.

— Tysiąc złotych węgierskich — odpowiedział dworzanin. — Mam je nawet w pasie i u siodła częściami, jeśliby je zostawić wypadło mistrzowi, kazano mi je oddać pod jego oblig.

— Cha! cha! — rzekł Maciek, kiwając głową — mogę ja tego bardzo dokazać sam i bez mistrza, bo i burmistrza nie kto młodził, tylko ja.

Te nieszczęsne tysiąc złotych spokusiły go tak bardzo, że się już nawet odważył głośno przyrzekać.

— Jeśli chcecie, — dodał — pora po temu, mam maście i oleje, zabiorę je i pojedziemy. Postarajcie się tylko waszmość konia w miasteczku, a ja tymczasem co potrzeba, przygotuję.

— Ale... ale — bąkał trochę niespokojny dworzanin, — jestże waszmość pewny, że dokażesz tego, na co się podejmujesz? Idzie tu i o życie znacznego pana, i o wasze własne.

— Jestem najpewniejszy — rzekł, jąkając się, Maciek, który nie miał już czasu cofać się. — Bądźcie spokojni, w tem moja rzecz — i dodał, spoglądając zukosa na trzos u pasa dworzanina — nie pierwszy to raz zdarza mi się coś podobnego. Kiwnął jeszcze głową i dodając sobie ducha, zawołał wpół do niego, wpół do siebie:

— Nie takie to my rzeczy robili.

— Pamiętajcież dobrze, — dodał jeszcze raz dworzanin — że tu i o waszą skórę chodzi.

— No, no, idźcie tylko po konia na miasto.

Stało się, jak chciał Maciek, któren w głowie powtarzając nieustannie wszystek porządek ostatniej roboty, niedawnej jeszcze i dobrze mu przytomnej, poszedł po słoiki i po flaszki, a dworzanin pośpieszył za koniem. Zabrawszy co było potrzeba, wsiedli i pojechali.

Nad wieczór stanęli w zamku pana starosty.

Stał on na wzgórku piaszczystym i wyniosłym, a nad okolicą panującym. Otaczał go mur i głęboka fosa, po rogach sterczały baszty okrągłe zwane rondele, nakryte śpiczastemi daszkami. Tam i sam przedarte w murze długie okna dla hakownic i szmigownic, inne dla większych dział służyły.

Wśród wałów i murów stały w części czerwone, w części szare zabudowania zamkowe, których tylko nierówne kominy wyżej muru okólnego wznosiły się. Pod zamczyskiem rozpołożone było miasteczko złożone z chałup mieszczańskich i kilku żydowskich wpół murowanych domostw. W pośród nich płynęła brudna rzeczułka, nad którą kołysały się biedne, poobcinane wierzby.

W rynku mieściny była drewniana stara cerkiew, osadzona drzewy, czerniejąca zdala, za nią na wzgórku bielał parafjalny kościółek. Z poza dachów zaś żydowskich wysoki łamany dach bożnicy sterczał, zakończony błyszczącą gałką u wierzchu.

Taka to była stolica starostwa..., do której po tęgiem błocie wjeżdżali dworzanin z Maćkiem. Na ich przybycie spuszczono most, otwarto wrota i chociaż tego wieczora sam pan się nie ukazał, Maciek był gościnnie przyjęty, czem tylko zażądał. Najadł się tęgo, napił nie gorzej i w osobnej obszernej izbie sklepio-

nej układł się na dobrem łożu na spoczynek. Całą noc jednak spać nie mógł, w głowie swej przewracając i przypominając robotę, do której się gotował, trochę już niespokojny o siebie, że się za śmiało puścił. Skutkiem zapewne tych gwałtownych wysileń umysłu pomieszało mu się i poprzewracało w głowie w najlepszy sposób, jednakże nie stracił jeszcze zupełnie odwagi, a myśl o tysiącu złotych dodawała ubywającej.

Nazajutrz kazał sobie dać drugą izbę, wannę, stoły i wziął się do przygotowań. Starosta jeszcze się nie pokazał. Maciek ucierał maście, zawsze smaczno zajadał, bo był niespokojny, pragnąc jak najprędzej skończyć rozpoczęte dzieło. Było jednak wiele jeszcze przygotowań przed zaczęciem, które się ledwie we dwa dni ukończyły. Cały ten czas nie widział starosty i ledwie dwa razy przechodząc się po zamku, słyszał jego kaszel w komnatach. Drugiego dnia oznajmiwszy, że wszystko gotowe, poszedł obejrzeć zamczysko. Mimowolnie przychodziło mu na myśl, że jeśli się nie uda dzieło, trzebaby sobie zapewnić środki ucieczki; próżno jednak z tą myślą zamek oglądał. Trzeba było mieć skrzydła ptasie, żeby tego dokazać. Maciek się bardzo zmieszał odkryciem, ale się jeszcze nie cofnął.

W wyznaczonej godzinie, wsparty na ramieniu dworzan, wtoczył się starosta. Na widok starca śmiertelny dreszcz przeszedł po skórze Maćka. Wstyd tylko z jednej, chciwość z drugiej, głupstwo z trzeciej strony utrzymywały go w przedsięwzięciu.

Oddalili się wszyscy i natychmiast Maciek dał starcowi usypiający napój, któren wybornie skutkował natychmiast. Gdy jednak już ciało w kocioł miał wrzucać, przypomniał sobie, że z niego wyjąć trzeba było duszę. Uczynił to, ale z pośpiechu zapomniał naczynia, w które ją zamknął, zaszpuntować, i swobodna dusza uleciała.

Wszystko dalej szło pomyślnie, lecz gdy już przyszło nazad duszę w ciało wpuścić, aby odmłodzone ożywiła, Maciek jej nie znalazł. Próżno kręcił się, wołał, szukał, dmuchał i chuchał, byłby dał i swoją, gdyby mógł. — Trup pana starosty leżał odmłodzony i świeży, ale bez duszy. Męczył się ciężko Maciek i biedował dni kilka, aż widząc wreszcie, że nic z tego być nie może, postanowił już uciekać. Poznali wszakże słudzy po skłopotanej minie, po przeciągniętej nad obietnicę i zakreślenie czasu robocie, że licho w niej jakieś być musi. Tak pilna straż ściśle otaczała zamek, że się wymknąć nie było podobna.

Gdy się go dopytywano, kiedy się robota skończy, odpowiadał zawsze: jutro — posyłał po nowe zioła, składał zwłokę na to lub na owo — nie było już nadziei, chyba w ucieczce.

— Licho mnie spokusiło wdać się nie w swoje, — myślał — siedziałbym był lepiej spokojnie. Te tysiąc złotych przyjdzie mi samemu gardłem zapłacić.

Ciężko mu tedy było na sercu i nie widząc już żadnego ratunku, chybaby się cud nad nim pokazał, sposobił się na śmierć. Jednego wszakże wieczora, gdy się słudzy pospali, wymknął się jakoś z zamku i dopadł bramy, która niepilnie była na on czas strzeżona, przesunął się przez most, wyleciał w pole; ale, nieprzytomny, co się miał ukryć, gdzie wbok uskoczywszy, poszedł drogą. — I to go zgubiło.

Wnet obejrzawszy się, słudzy poszli za nim w pogoń i schwytali go na staje ledwie od miasteczka, a związawszy, odprowadzili do zamku i posadzili w wieży. Dano znać krewnym i urzędowi. — Zjechali się prędko kolateralni starosty dziedzice, niebardzo płacząc i kontentując się westchnieniami, które z lada piersi bez wielkiego mozołu wydobyć łatwo. Sprowadzono księży, a gdy w wielkiej sali odbywały się ża-

łobne wigilje za duszę, która z flaszki uleciała, w drugiej sali zasiadł sąd, który *primo impetu,* niewiele myśląc, wydał wyrok na Maćka, jako na czarnoksiężnika — bardzo ostry, który jednak z pewnych przyczyn zmitygowano na stos prosty i leciuchne spalenie bez żadnych innych mąk.

Pogrzeb odbył się wspaniale, na którym za trumną, w łańcuchach, z pochodnią w ręku szedł Maciek, dziwowisko tłumu. Równie wspaniale gotowali się dziedzice pana starosty spalić czarnoksiężnika, jako sprawcę jego śmierci.

Tak Maciek dla tysiąca złotych, na które się połakomił, miał iść na stos. Dzień już nawet był wyznaczony, w rynku nawieźli drew mieszczanie, sprowadzono kata, co go miał palić. Było to w sobotę, w wigilję śmierci, nazajutrz sprawiedliwość ludzka miała go upiec na węgiel.

Maciek pobożny, bo wychowany w Krakowie, gdzie od dzieciństwa wszystko do niego nabożeństwem przemawiało, w ostatniej chwili pomyślał, że jest drugi świat i inny jeszcze ogień, poprosił o księdza. Choć pomagał mistrzowi do szatańskich jego spraw, on sam nie widział nigdy szatana, złości się swoich uczynków przez głupstwo nie domyślał, nie zaparł się był Boga, a skrucha przyszła w ostatniej godzinie.

— Zasłużyłem na to, co mnie czeka, — wołał, płacząc — zginę przez głupstwo moje.

Te słowa mruczał właśnie w kątku ciemnicy, gdy drzwi wieży się otwarły i wszedł ksiądz jakiś podróżny, bo proboszcz i wikary miejscowy nie wrócili byli jeszcze z pogrzebu, powiódłszy ciało starosty do rodzinnych grobów u Augustjanów w Brześciu Litewskim.

Ciężko płakał Maciek, klękając do spowiedzi, otworzył wreszcie usta i zawołał, łkając:

— Ojcze! — zgrzeszyłem bardzo.

Przerwał mu śmiech z pod kaptura mniszego wychodzący, a w tej chwili z okienka wieży padający na twarz księdza promień światła ukazał mu oblicze mistrza.

Na ten widok zalękł się bardziej jeszcze Maciek i padł na ziemię twarzą, bo sądził, że go sroga zemsta czeka i kto wie co jeszcze za wmieszanie się w sprawę, która do niego nie należała wcale.

— No, Maćku, — rzekł Twardowski — ślicznieś sobie poradził, jesteś o krok od stosu i żadna siła ludzka już cię ocalić nie może. Wpadłeś jak mysz w pułapkę.

— Ach! wiem o tem, — zawołał — ale mnie te przeklęte tysiąc złotych skusiły i głupia moja zarozumiałość, mistrzu.

— Zawsześ był uczciwym chłopcem i dobrym sługą, — dodał mistrz — pocóż ci było wdawać się w to, czego nie rozumiesz i rozumieć nie możesz?

— Nie wymawiaj mi już, panie, — odpowiedział z płaczem — pójdę na śmierć, ale srożej od bliskiej śmierci gryzie mnie moja niewdzięczność, żem chciał przed tobą, mój dobroczyńco, ubiec te nędzne tysiąc złotych.

— Cóżbyś ty mi zrobił, czembyś mi zawdzięczył, gdybym cię jeszcze ocalił?

— Co? — rzekł uradowany Maciek, podnosząc się. — Mistrzu! cóż ja ci zrobić mogę? moja dusza byłaby twoją na wieki, cały byłbym tylko dla ciebie!

— Przysiężesz mi, że będziesz służył wiernie, i że spełnisz każdy mój rozkaz, bodajby najcięższy, do litery?

— O! mistrzu, przysięgnę i dochowam przysięgę, pójdę z tobą choćby do piekieł, wszędzie, zawsze będę twoim więcej niż sługą, niewolnikiem, psem.

— Pamiętaj na co przysiągłeś i chodź za mną, — rzekł mistrz — ale jeśli złamiesz przysięgę, śmierć cię nie minie.

— Bodaj spadła na moją głowę pierwszej chwili, kiedy pomyślę cokolwiek przeciw tobie, mistrzu.

— Teraz więc chodź, a milcz.

To mówiąc, wziął go za rękę i, otworzywszy drzwi. wyszedł. Dziwił się Maciek, że ich straż puściła, ale bardziej jeszcze zdumiał i osłupiał, gdy po chwili kazał mu z okna kamienicy poglądać w rynek mistrz.

— Spalenie czarnoksiężnika, którym ty jesteś — rzekł — przyśpieszono, patrzaj, co się dziać będzie.

Widział Maciek na własne oczy swoje siebie drugiego, swoją postać, Maćka, wiedzionego na śmierć; czuł się ocalonym i bezpiecznym, nie pojmował tego i płakał nad tamtą swoją postacią, patrząc na smutną jej minę. Chciał pytać o wytłumaczenie mistrza, lecz nie śmiał. Tłum wielki ludu szedł za skazanym, patrzeć na męczeńską śmierć jego. Mistrz także z Maćkiem prawdziwym stał i patrzał. Wwiedziono Maćka na stos, przywiązano do pala, podłożono ogień; aż gdy już buchnął i płomienie objęły stos, postać Maćka zmieniła się nagle w kul słomy. Lud, ujrzawszy to dziwo, uciekać począł, żegnając się — zerwał się wicher, rozniósł stos po miasteczku, płonąć zaczęły domy, a gdy Twardowski z Maćkiem uciekali, za nimi świeciła czerwona łuna płonącej mieściny i słychać było słabnące coraz krzyki w oddaleniu.

— Pamiętajże na co przysiągłeś, — rzekł mistrz do Maćka — bo teraz znowu powrócim do Krakowa.

III.

Jako Twardowski chciał użyć świata.

Znowu nasz mistrz siedział w swojej izbie w Krakowie, i znowu, jak niegdyś na Krzemionkach, dręczyły go dziwne myśli i żądze. Czuł znowu, że mu wiele brakło do szczęścia.

— Wszakże — mówił do siebie — mam naukę, której tak gorąco pragnąłem, i władzę w ręku wielką, czegóż brak mi jeszcze?

I ze śmiałością mędrca, który się nie lęka zbadać głębi swojej duszy, Twardowski patrzał w nią, jak lekarz, który patrzy na chorego, jęczącego od bólów, napozór widocznej nie mających przyczyny, a pragnie dojść siedliska choroby.

— Cóż mi jest? — myślał. — Nie mamże władzy i nauki? Jestże jakie szczęście na świecie, któreby przechodziło szczęście pochodzące z uczucia niezmiernej władzy i pojęcia otaczającego świata?

A szatan niewidzialny szeptał mu w ucho:

— Jest jeszcze inne szczęście, którego ty nie doznałeś. Znasz świat i możesz wiele, ale nie *użyłeś* niczego.

Na tę myśl, która jak błyskawica przesunęła się po jego głowie, wstrząsł się mistrz, bo to była *myśl-matka*, z której całe pasmo nowych dla niego wyobrażeń o życiu wysnuć się miało.

— Potrzebaż, — mówił do siebie — potrzebaż ko-

niecznie użyć, żeby być szczęśliwym, jak bestja, jak zwierzę, jak ten tłum, co nie pojmując świata, używa go jednak i — stęka. Nie lepiejże *pojąć* wszystko, a niczego nie tknąć, nie wmieszać się w tłum, nie skalać się, stać wyżej wszystkich rozkoszy, które człowieka niewolnikiem ziemi i ciała, i świata czynią? Potrzebaż koniecznie, abym ja, wyższy od ludzi nauką i władzą, zrównał się z nimi *użyciem* świata, zniżył się, jak oni, do napicia z brudnej kałuży?

— Któż mię zapewni, że potem będzie mi dosyć? Któż mię zapewni, że raz puściwszy cugle, wstrzymam się i nie zapragnę wypić tej czary aż do mętów i goryczy, leżących na dnie?

— Warte li te rozkosze, abym się zniżał do nich? Toć to jest, albo nie, co w istocie dręczy mnie i niespokoi?

I myślał, i patrzał, i przekonywał się mimowoli, że próbując szczęścia ziemskiego, zostawało mu jeszcze spróbować użycia świata.

— Ha, — rzekł do siebie — nie trudno mi będzie użyć świata! — I śmiech szyderski rozległ się w tej chwili tuż obok. Był to głos szatana.

— Ty tu znowu, szatanie?

— Zawsze, mistrzu! Słucham ciekawej rozmowy twojej duszy z ciałem i śmieję się, słysząc to dumne: nie trudno mi będzie użyć świata.

— Jest li to śmieszne, z czegóż się śmiałeś?

— Bo ci ta myśl przyszła właśnie w porę, jaką przepowiedziałem. Spojrzyj na siebie. Jesteś złamany nauką i pracą, myślami, niepokojem; duszą, która się w tobie jak lew w klatce uwięziony bije i tłucze. Twoje włosy nie z wieku, lecz z pracy opadają z głowy jak dojrzały owoc, więdną, schną i siwieją, twoje oczy opasały się czerwonym obręczem, tem piętnem mozo-

łu lub rozpusty; twarz ci zapadła i zmarszczyła się jak pargamin stary, ciało nabrało zgięcia jak łuk, który, choć mu stronę odpuszczą, chyli się z nałogu. Przywykłeś i przyfosłeś do twej ciszy naukowej, znasz księgi, ale znaszże ludzi, znaszże ty kobiety, bez których użyć świata nie potrafisz? Czy potrafisz dać sobie radę ze światem, mędrcze, coś go tak głęboko zbadał? Ja jestem pewny, że pierwsze dziewczę wiejskie w poleby cię, w praktycznem życiu, wywiodło.

Twardowski, pewien siebie, zaczął się śmiać głośno.

— Najlepszy śmiech ostatni — rzekł djabeł, podtuliwszy ogona — zobaczym kto się wkońcu rozśmieje, zobaczym! Ale, mistrzu, przestrzegam cię, że znać świat jak mędrzec, i znać go jak ten, co go używa, wcale to co innego. Weź kwiat; powiesz mi mądrze wszystkiemi języki świata jego nazwiska i własności lekarskie, ukryte w nim siły; ale czy splecisz go w kształtny wieniec jak prosta dziewczyna, czy potrafisz go przyprawić jak kuchmistrz, lub prosta kucharka?

Jak z tym kwiatem, tak ze światem, mój mistrzu; inaczej patrzy mędrzec, który bada, inaczej człowiek, który używa.

— Alboż sztuką użycie, kiedy tyle głupców to czyni, nie zastanawiając się nawet.

— Głupców! zapewne — rzekł szatan — ale ci głupcy są *w tem* mądrzy; całe życie święcąc ciału i użyciu świata jak zwierzęta, już dobrze wiedzą, co czynią. Zobaczysz, mistrzu, że ci za późno przyszła ta myśl, którą ci dawniej podawałem. Bo żyć na świecie a nie użyć go, choćby jak głupcy i zwierzęta, jest to jeszcze nie znać i świata i siebie z jednej strony.

— Alboż to tych tajemnic — rzekł mistrz — siłą rozumu domyśleć się, przeczuć ich i instynktowo w nie się wcielić nie można?

— Wszystko to dobre w książce, teorje, a od teorji

do praktyki tak daleko, że chyba nieroztropny człowiek mógł wymyśleć poczynanie życia i nauki od teorji. Jest to naumyślne psucie i zwichnienie siebie, gdy kto rozumuje nad działaniem, nad życiem, wprzód niż działa i żyje. Za teorję służy człowiekowi instynkt przyrodzony, wszelka inna śmieszna i nieużyteczna, może szkodliwa.

— Paradoksa! — odpowiedział Twardowski — zresztą, zobaczymy!

Szatan uśmiechnął się i zniknął, a Twardowski znowu padł w swoich myśli objęcie. Gniewało go niepomału to ciągłe szpiegostwo szatana, i ciszej jeszcze, ostrożniej, snuł myśli swoje w głębi duszy.

Wskutek tych rozmyślań i rozumowań wypadło, że mistrz żałować potrosze zaczął lat swoich młodocianych, straconych na nauce. Djabeł dawno wiedział, że tak być wkońcu musi.

— Co na tem zyskałem? — myślał. — Trochę sławy. Któż nie wie, co to sława? Jest to zapach, który dziś rozchodzi się w powietrzu, a jutro ginie pomieszany ze smrodnym jakim wyziewem. Co mi z tej sławy, kiedy i ona nie zaspokaja duszy, kiedy i tej mało mi jeszcze. Najgłupszy z ludzi szczęśliwszy jest w objęciach kobiety, niż ja w moim wieńcu. Szkoda tamtych chwil, szkoda, bo całe mojego życia siły, najjaśniejsze dni, przeznaczone do użycia świata, zeszły na ciężkim znoju, a w zapłacie zostawiły mi sterane zdrowie, wspomnienie płowe i blade, i sławę, śmieszne słowo, wynalezione dla omamienia ludzi na ich ogłupienie. Rodzaj fałszywej monety, za którą niby wszystko mieć można, a której nikt nie przyjmuje. Religja sławy jest najdziwniejszą z przyjętych przez ludzi wiar; każda religja płaci czemś za wiarę, obietnicą nagrody — sława niczem, gorzej niż niczem, bo odurzeniem. Cóż to sława? Że mnie pokazują palcami, że o mnie szepczą

głupcy? że się na mnie patrzą, gdy idę? A jednak iluż to jest takich, którzy mnie i imienia mego nie znają, iluż tu jeszcze nie myśli i nie mówi o mnie? — Na jedno wspomnienie ludzi ileż to zapomnienia! Dla tak nędznej zapłaty wartoż ofiar tyle?

I Twardowski, tak myśląc a narzekając, wzdychał nad straconem życiem, nową sobie wcale przyszłość rysując. — Postanowił iść inną drogą i spróbować użyć wszystkiego. Nie wątpił on, że wszystko ku niemu się nagnie, że go świat w miłosne chwyci objęcie i różane wyściele mu łoże. Ale się omylił mocno, sądząc, że można począć używać świata, gdy się użyło i *zużyło* na nauce i pracy lata młode.

Rzucił więc księgi w kąt i wyszedł w ten świat, aby go obejrzeć okiem żądzy, jak go wprzód oglądał okiem mądrości i wiedzy. Całkiem to inne było spojrzenie, które mu nieznany jeszcze, nieprzeczuty nawet, nowy świat odkryło. Oko mędrca szkielet tylko świata, oko kochanka życie, ruch i duszę widzi. Każdy przedmiot inaczej mu się teraz wydawał, we wszystkiem szukał on użytku i rozkoszy, pokazała mu się więc strona świata rozkoszna i piękna, ale z nią razem przyszło uczucie wewnętrzne, mówiąc mu, że nie miał organów na użycie świata. Wszystkie pięć zmysłów jego niewprawnych, niewyuczonych, stępiałych, wyrywały się bezsilnie, podrażnione. Smutny to był stan i smutne myśli i żale przeszłości.

Widział kobiety-anioły, do których się nigdy nie zbliżył; a czuł on, że one nie mogły go kochać. Bo miłość nie jest nigdy tak bezinteresowną na świecie naszym, aby dając wszystko, nic nie brała. On zaś cóż jej mógł dać? Ciało bez wdzięku — serce bez siły i ognia — zagasłe oczy, żądze wielkie, ale nieusprawiedliwione młodością i bez tłumaczów. Widział nieraz kobietę-anioła, na którą patrząc duma się o niebie,

a czuł, że nie mógł ulecieć z nią do nieba, które mu przypominała, jedną nogą do piekieł już będąc przykuty. Widział kobietę-rozkosz, z usty stworzonemi do pocałunku, z lubieżną piersią, z pałającym wzrokiem. Lecz i ta mogłaż być dla niego? Cóż dla niej mógł znaczyć chudy, bezsilny, zużyty nad księgami mędrzec? — chyba gorzką na poranek zgryzotę. Zgryzoty i miłość gdy się spotkają, miłość musi uciekać.

Widział młodziuchne dziewczęta, których wejrzenie wzbudza myśli o raju niewinności i miłości pierwszej. Lecz gdzież był węzeł współczucia między nim a niemi? Widział dojrzałe dziewice, co śmiało w świat patrzą, bo czują, że mu są potrzebne, konieczne jak chleb, lecz ich nadzieje z jego zimną mądrością nie umiały się pogodzić.

Widział jeszcze te dziwne zjawisko kobiety, wpółuwiędłe, już na łodydze, w tym wieku, który młodość zamyka, a jeszcze nie zaczyna starości; widział je okiem żądzy, bo ma swój powab także tych lat kobieta; ale kobieta taka nie wybierze wywiędłego nad księgami, łysego i uczonego do pary; jej potrzeba odświeżyć się, odżywić tchnieniem młodem, przypominającem jej lata, o których myśleć nie śmie i nie może.

Widział Twardowski szczęście bogaczy, ów przepych, wytwory, owo życie sybarytów i neronowskiego Rzymu, życie w miękkości, w rozkoszy, w poszukiwaniu przyjemnostek i wszelkiego rodzaju wygód, widział te pieszczoty ciała, chciał użyć ich, lecz zmysły jego nie były przygotowane do takiego szczęścia, do którego z kolebki losy kołyszą człowieka, lub umyślnie na to go stwarzają.

Widział zastawne wytwornemi jadły i napojami stoły, lecz chociaż czuł rozkosz podniebienia, łechtanego i zaspokajanego, w myśli, choć [illegible]imował to bardzo,

on, co dotąd jadł tylko, aby żyć, czuł, że nie potrafi w całej rozciągłości nauczyć się użycia tej rozkoszy.

Tak przechodziły mu przed oczyma wszystkie świata rozkosze kolejno, a każda, mijając go, wołała:

— Idź, stary i zużyty człowiecze, nakryj się dziurawym płaszczem dumnej twojej nauki i żyj z molami twoich książek; jesteś za stary.

Tak powoli przekonał się Twardowski, że opuścił chwilę dogodną użycia świata, że prawda była przy djable, a przy nim został żal tylko; przekonał się, że trzeba było młodych zmysłów i serca i niezużytych w ciągłej walce sił, aby się nasycać; przekonał się, że gdy połowa jedna upajała się, druga konać musiała z próżnego pragnienia. On należał do tej drugiej.

Smutny, ze spuszczoną głową, poglądał i myślał.

— Niema już nic dla mnie? niczе mi nie pozostało? Niemasz li sposobu, ratunku? Dałem duszę djabłu za szczęście, alem się omylił w wyborze szczęścia — obłąkała mnie nauka. Pozostanęż tak niezaspokojony po użyciu świata ciałem, jakem pozostał, używszy go i zbadawszy myślą? Wielkie pytanie! Życie byłożby tylko gorzkim żartem z nas biednych??? Pierwszy to raz Twardowski schodził do takich myśli i czuł się upokorzony, a naówczas, jakby mimowolnie, przyszły mu do głowy chwile wiary i młodości, daleko już za nim siniejące w oddaleniu; życie jego niewinne, słodkie, ucznia i dziecięcia, mimowoli uczuł, że *to tylko* była chwila szczęścia, bo to był wiek nadziei.

— Więc *nic* tu niema, tylko *nadzieja* wszystkiego? Nadzieja, i najmądrzejszy, kto robi sobie nadzieje, a niemi żyć umie, nie tykając i nie pragnąc rzeczywistości — wreszcie, mam i ja nadzieję jeszcze, nadzieję użycia świata; będę nią żył, czekając lepszego.

IV.

Jako Twardowski kochał i pożądał swojej młodości.

Jeden z wielce uczonych profesorów, medyków akademji, będąc przypadkiem żonaty, miał śliczną córkę, może także przypadkiem. Imię jej było Hanna, twarz anielska! Wyobraźcie sobie blade oblicze, jakby anioła na obrazie, złote włosy, wejrzenie omdlałe czarnego przytem oka, wejrzenie, które każe myśleć o niebie. Na ustach dziewczyny panował figlarny uśmiech młodości, co nie zna jutra, we wszystko wierzy, w siebie, w szczęście, w ludzi, w cnotę, nie rozumie egoizmu, pojmuje poświęcenie i przeczuwa już cenę jego w życiu.

Taka to była Hanna, którą Twardowski wybrał za kochankę. Starzec myślał, że się z nią zgodzić potrafi, że on ją a ona jego pojmie, kiedy ich rozgradzał cały świat różnicy, całe morze rozdziału, całe wieki.

Piękna Hanna, co tak mocno czuła serce w sobie, gdy ją spotkał młodzieniec, gdy zdala spojrzał na nią, rumieniąc się i mówił do niej wymownym językiem młodości — oczyma: ja cię kocham; piękna Hanna odskoczyła zdziwiona, gdy się mędrzec zbliżył do niej, woniejący zbutwiałemi księgami, przesiąkły nauką, dumny sławą, zimny, mądry, suchy, blady i pomarszczony. Myślała jednak, że to był przypadek. Lecz

gdy raz i drugi i trzeci zbliżył się do niej, gdy już wątpić nie mogła, lękać się zaczęła i myślała:

— Toż to mój przeznaczony?

Bo wiadome przysłowie naszego ludu — że Bóg dziewce męża, chłopcu żonę przeznacza — a obojgu śmierć — i prawda!

Nie zrażał się oziębłością Hanny mędrzec, choć mu było smutno, że ta miłość, którą mógł lada gaszek obudzić, spała w sercu dziewczyny na widok jego. Naówczas dopiero postrzegł, że mądrość jego nie była zupełna, bo ten jest tylko mądry wedle świata, kto zna świat ciałem, nauką i sercem, użył go, pojął i uczuł. Twardowski znał świat tylko jednym zmysłem niejako.

Tymczasem szedł dalej — nie tracąc jeszcze nadziei, że się podobać potrafi. Dosiadywał uparcie przy pięknej Hannie, ale napróżno. Wielkiemi oczyma patrzyła na niego, a głośną sławę jego czytając z pomarszczonego czoła, zdumiewała mu się, dziwiła, kochać jednak nie mogła. Nie śmiał także Twardowski inaczej swej miłości, tylko zagasłemi oczyma okazywać, tak czuł całą śmieszność swojego położenia. A jednak ufał w siebie. To już było proste oślepienie egoizmu. Uwodził się mistrz, jak wszyscy zakochani, mówiąc sobie:

— Może jutro, może kiedyś.

I odchodził bez nadziei i powracał znowu; jutro jednak spodziewane daleko było, a Hanna coraz zimniejsza i bardziej przelękniona, bo się lękała, aby ją ojciec za suchego i nudnego mędrca nie wydał, okazywać mu zaczęła wstręt, oziębłość; i wprzódy poufała jak dziecię, rozmyśliwszy się głęboko, usteczka różowe skrzywiła, czoło białe zmarszczyła, milcząc niespokojna lub na wszystko trzęsąc tylko głową.

Twardowski siedział jednakże przy niej, codzień się zbierał mówić jej o miłości i codzień do jutra od-

kładał; tak mu się to zawsze równie śmiesznem, trudnem, niewczesnem zdawało.

Nareszcie, gdy rozogniony przy niej odezwał się z jakiemś strzelistem oświadczeniem, piękna Hanna rozśmiała mu się w oczy, prosiła go bardzo, żeby z niej nie żartował, a potem, zostawując mu pomieszanie i wstyd — uciekła. Twardowski odszedł pełen złości i gniewu, klnąc wszystkie kobiety w powszechności i każdą zosobna, odszedł do siebie, zamknął się i dumał, czyliby nie dać miłosnego napoju upartej niewieście, aby go gwałtem pokochała, albo nie użyć którego z tych tysiąca sposobów, które tak łatwo drugim podawał. Lecz jeszcze za mało i za chłodno kochał ją, żeby się miał rzucić do takiego sposobu; chodziło mu raczej o spróbowanie, czyli mógł wzbudzić miłość i dlatego także niczem sobie dopomagać nie chciał, wszystko chciał być winien sobie. Widząc, że z Hanną ciężka będzie sprawa, porzucił ją bez żalu wielkiego, albowiem miłość jego była w głowie, nie w sercu, a z głowy łatwo ją wypędzić.

Myślał potem, nadto była Hanna młodą. Szukał więc dojrzalszej niewiasty.

Łatwo ją znalazł. Była to córka burmistrza i rajcy krakowskiego Wejgla, mniej daleko piękna od Hanny, ale rozumniejsza od niej i dobrze od tamtej starsza, dwadzieścia kilka lat bowiem przyznawano jej urzędownie, a według wszelkiego podobieństwa czułość rodzicielska choć trochę odkraść musiała, dla dziecka wygody i własnej może; bo p. burmistrzowa rada też była za niezwiędłą jeszcze uchodzić. Sądził Twardowski, że ta lepiej go oceni i przyjmie; omylił się grubo. Starsza była doświadczona, śmielsza, a że się koło niej (to jest talarów ojcowskich) wiele młodzieży zwijało, powiedziała mistrzowi odrazu całą prawdę.

— Waszmość o tem już nie myślcie, jakby sobie

serce niewiasty pozyskać, minął ten wiek. Nie umiesz waszmość szablankować z kobietą, zestarzałeś się na księgach i myśleniu, ożeniłeś się z mądrością, nie idźże darmo do niewiast. A potem, sami powiedzcie, nie śmiesznieżby to było, żebyś waszmość kochał i chodził za podwiką jak młokos?

Gorzka to była prawda, której Twardowski i słuchać nawet nie chciał. Uciekł więc prędko od Wejgłówny, pomyślawszy:

— Rajca bogaty, źlem się udał — uboga będzie pokorniejsza, ta ma złotem swojem nabitą głowę.

Ale i ubogiej nie chciało się także mistrza, bo i ubodzy umieją cenić ten kwiat jedyny na pustyni życia, który się zowie miłością. Jeśli nawet która udawała miłość, w nadziei, że zyska co od niego, Twardowski widział, że pod tą błyszczącą zwierzchnią sukienką była inna podszewka.

Tak powoli, próbując, tracił coraz nadzieję i wreszcie powiedział sobie, że próżno było, gdy włos przyprósza siwizna, myśleć o gachostwie i niewiastach.

Zaczem rzekł w sobie:

— Czas pomyśleć o odmłodzeniu, abym dokonawszy je, zaczął świata używać.

Zawołał zaraz do izby Maćka, a zamknąwszy ją, tak do niego mówił:

— Przysiągłeś mi, kiedym cię od pewnej śmierci wybawił, że mnie we wszystkiem słuchać będziesz, co ci rozkażę — pamiętasz li to?

— O! pamiętam i dotrzymam! — rzekł Maciek.

— Ponów mi tę przysięgę.

— Nie potrzeba ci tego, mistrzu, dość jednej; ktoby jedną mógł złamać, złamałby dwie bez trudności.

— Zestarzałem się, — rzekł po chwili mistrz — czuję, że czas mi nabrać nowych sił i nowego życia w odmłodzeniu. Ufam ci i powierzę tobie moje ciało. Dam ci

przepisy jak sobie z niem masz postąpić, niech się to dokona w najgłębszej tajemnicy — niech nikt się nie dowie sposobu, jakiego użyjem. Sposób ten jest całkiem inny od tego, który ci pokazałem wprzódy, a którego ty tak nieszczęśliwie zachciałeś sam spróbować. Słuchaj i uważaj. Na tej karcie wypisane są szczegóły.

Dasz mi naprzód napój usypiający, na samym nowiu księżyca, poczem obmywszy ciało moje należycie, osmarujesz je maściami i zioły, które do tego są już zdawna przygotowane, a to w takim porządku, w jakim stoją słoiki na półce. Między każdem balsamowaniem ma upłynąć dzień, a po każdej maści obmyjesz ciało moje wodą z siedmiu krynic. Potem, gdy wszystkie siedem maści wysmarujesz, obmywszy raz jeszcze ciało, włożysz je w przygotowaną cisową trumnę i pochowasz w ziemi świętej na cmentarzu. Pilnuj zaś, żeby grobu człowiek chciwy albo zwierz nie odkopał, boby po mnie było i po tobie, Maćku, także. Licz potem dni troskliwie, a gdy ubiegną trzy lata, siedem miesięcy i dni siedem, wyjmiesz przygotowanych na to siedem świec z trupiej tłustości i zapaliwszy je, odkopiesz ciało moje, które już będzie odmłodzone.

Skończywszy, Twardowski powtórzył to jeszcze Maćkowi raz i drugi i trzeci, kazał sobie powtórzyć kilka razy, próbując czyli spamiętał, i spokojniejszy, jął jeszcze różne drobne przestrogi dawać względem obejścia się z ciałem. Zostawił prócz tego opis na piśmie dokładny, lecz aby Maciek przez nieostrożność nie wydał tajemnicy komu, napisał pewnym sympatycznym atramentem, który, za użyciem tylko wiadomych środków, czytać się dawał. Obiecawszy wreszcie Maćkowi wielkie nagrody za dokładne wypełnienie przepisów, odważył się nie bez niespokojności oddać w jego ręce.

Maciek spełnił, co przyrzekł, najdokładniej.

V.

Jako Twardowski odmłodniał i co potem uczynił.

A gdy spełniły się trzy lata i siedem miesięcy, przez który czas Maciek pilnie strzegł grobu mistrza, porastającego codzień wyżej murawą i zielskiem, siódmego dnia po siódmym nowiu zapalił siedem świeczek z tłustości trupiej i poszedł na cmentarz. Rozstawiwszy światło dokoła, sam kopać zaczął, a po niemałej pracy usłyszał nareszcie motykę stukającą o wieko trumny. Tę gdy wyjął na ziemię i zamkniętą na klucz otworzył, z wielkiem podziwieniem swojem ujrzał Maciek nie już odmłodzone ciało mistrza, jak się spodziewał, lecz drobne dzieciątko, żywe i zdrowe. Wziął je więc na ręce poczciwy sługa i zasypawszy dół ziemią, zaniósł do domu.

Myślał już starać się mamki temu nowemu obywatelowi świata, lecz że była noc, napoiwszy je mlekiem tylko i utuliwszy w łóżku, sam znużony pracą, spać się także położył.

Nowe i nie mniejsze podziwienie, gdy nazajutrz rano ujrzał, że dziecię samo już wstawało i chodziło, a choć jeszcze małe było jak półtoraroczne, widocznie jednak w oczach rosło. W ciągu siedmiu dni to dziecię stało się młodzieńcem i dziwnym cudem był to, choć młody, ten sam jednak Twardowski. Też same rysy twarzy, taż sama nauka, ten sam charakter, pa-

mięć zupełna przeszłości, ale młode i czerstwe ciało, ale żywe namiętności i wielka żądza użycia świata.

Maciek się dziwił i milczał.

Dawni Twardowskiego znajomi poznali go, choć pod tą nową postacią, i to podobno najdziwniejszem ze wszystkiego było, bo wszyscy widzieli w nim wielką zmianę, a tak oczy ich i serca otumanił, że młodszym go oczywiście postrzegając, wierzyli jednak, że był ten sam, co wprzódy.

Zabierało się na całkiem nowe życie.

Twardowski najął wielką kamienicę w rynku krakowskim, przyjął na jurgielt czeladź liczną, skupił bogate do domu obicia, naczynia srebrne i złote, napełnił drogiemi winami piwnicę, stajnię kosztownemi końmi, sprowadził z Niemiec złocone kolasy. Zapylone księgi w kąt poszły.

Z zimnem przewidywaniem starca, a gorącą żądzą młodzieńca, sposobił się on do użycia świata, otaczając się naumyślnie wszystkiem, co przez zmysły jakąkolwiek rozkosz dać mogło. Bogatemu nie zabrakło przyjaciół. Ze stołu nie schodziły nigdy prawie pełne i kurzące się misy srebrne, rostruchany wina pełne. Gdy nie stawało pieniędzy, djabeł bryłami przynosił srebro z Olkusza. Już Maciek nawet biedny, patrząc na to, zazdrościć poczynał, a nowo zjawione bogactwa mistrza kładnąc na karb odmłodzenia, począł myśleć, czyliby kogo tym samym sposobem nie potrafił odmłodzić, aby się z nim potem przyszłemi bogactwy podzielić.

Ale mistrz od czasu ostatniej nieszczęsnej Maćka próby ze starostą miał na niego oko pilne, w chwili, kiedy ta myśl już mu w głowie zakwitać poczynała, zawołał go jednego ranka do siebie i jednem czarnoksięskiem słowem zaklął go w pająka.

Biedny Maciek uplątał sobie zaraz siatkę w oknie i na muchy czatować zaczął.

Tymczasem mistrz odmłodzony sposobił się, jakeśmy powiedzieli, do nowego życia. Dom jego już był jednym z najwytworniejszych w mieście, dwór nie tłumny, ale czeladź doborna, dorodna, pod jednostajną bogatą barwą. Wielcy panowie zazdrościli nawet jego bachmatów i fryzów, które pod wyszywanemi dywdykami chodziły, a których mistrz dosiadał łatwo, albo je do bogatej kolasy zaprzęgał. Ściany jego mieszkania okrywały obrazy, bogate rzeźby z słoniowej kości, kosztowne makaty. Stół jego był najwytworniejszy i chyba może królewskiemu ustępował, zamorskie korzenie i przyprawy wozami szły na kuchnię. Wszystko to tak mu mało kosztowało, tak łatwo przychodziło, — *Chcę!* mówił tylko i miał — wszystko, co mieć można za pieniądze.

Nie dziw, że patrząc na te zbytki, ludzie szeptali, iż w tem była djabla sprawa. I nie mylili się, bo djabeł, widząc go na dobrej drodze, szczerze dopomagał do zbytkownego, sybaryckiego, cielesnego życia.

Wśród takiego zbytku oddania się życiu miękkiemu, rozkoszom, zabawom, roztargnieniom świata, wśród tego zapomnienia o dawnym celu swoim Twardowski jednak, ilekroć się spotkał z jakim znajomym akademikiem krakowskim, nie odbiegał dysputacji, i zawsze równy sobie, z jednaką mocą umiał w naukowych przedmiotach rozprawiać, niepokonany w dysputacie, niezwyciężony w argumentach. — Pierwsze wyrzeczone słowo wyciągało z jego duszy cały szereg myśli, rozumowań, domysłów, cytacyj, które sypał jak z worka.

Jednakże to wszystko zostawało za nim, tak jak przeszłość, której wprawdzie nie zapomniał ze wszystkiem, ale którą już skończył i zamknął wrota jej za

sobą. Czuć już w nim było więcej światowego niż uczonego człowieka. Z ludźmi próżnymi, którzy o kobiecie, koniu i kielichu mówić tylko umieją z uczuciem i wiadomością rzeczy zupełną, Twardowski nie dawał nawet czuć, że znał coś więcej i coś ważniejszego nad to, co ich wyłącznie zajmowało. Dziwili się poufali przyjaciele jego i współbiesiadnicy z tej kategorji nieuków światowych, że tak z mądrości sławiono tego, który nigdy, zwyczajem niedowarzonych mędrków, nie wnosił rozmowy uczonej przy nich. On bowiem jak głupi pedant nie mieszał w rozmowę lekką stołową gęstej czkawki uczonej, tak nudnej dla ludzi światowych. Umiał, choćby dochodziły rozmowy uczonej granicy, nie tknąć jej nigdy przy profanach, umiał napozór skorupę tylko przedmiotów widzieć i umysł swój doskonale naginał do potrzeb i pojęć tych, z którymi obcował. W tem była prawdziwa jego wyższość i najpotężniejszy skutek odmłodzenia — miał bowiem teraz dwie twarze i dwie postacie. Zachował starą swoją naukę dla mędrców, a młody, młodością swoją nadany pozyskał nowy charakter światowego człowieka. Sława jego teraz stała się też dwutwarzą, jak był charakter. Jedni sławili w nim bogatego człowieka, umiejącego żyć dobrze, drudzy niezwyciężonego i nieporównanego mędrca. Twardowski nie porzucił nawet i nie zaniechał praktyki doktorskiej, która do niego mnóstwo ludu ściągała i wielkie mu pieniężne przynosiła zyski.

Stał się więc u pospólstwa dziwowiskiem, o którem najsprzeczniejsze rozsiewano wieści, najdziwaczniejsze baje — każdy bowiem inaczej go i po swojemu cenił i chwalił.

Spotkał się młody chłopak hulaka, zwykły gość za stołem mistrza, z poważnym akademikiem, zwykłym jego rozpraw uczonych słuchaczem.

— Co to za wyborny, przyjacielski człowiek, — mówił młody — jaki wesoły, jak żyje wspaniale, jakie ma wina i kuchnię.

A drugi mu przerywał, mówiąc:

— Co to za mędrzec, co za niezrównany filozof!

Musieli się potem wzajemnie pytać siebie:

— O kimże to waszmość mówicie?

— O mistrzu Twardowskim, wielkiem świetle Akademji Krakowskiej, *almae matris,* która go na świat wydała.

— A ja o Twardowskim, bogatym lekarzu, który tak żyje wspaniale i zawsze ma stół otwarty. Jest li to ten sam?

— Niechybnie ten sam; bo niema dwóch Twardowskich na świecie.

Jego więc imię miało dwie sławy tak oddzielne, w dwóch odmiennych całkiem towarzystwa sferach, że one prawie dwie oddzielne osoby wystawiały, a pewnie dwom osobno byłyby dostatecznie wystarczyły.

Mimo żądzy, z jaką Twardowski chciał użyć świata, jeszcze go był ledwie z jednej strony dotknął. Towarzystwo młodych ludzi, ciągłe ucztowanie, wesołe zabawy, paradowanie po mieście nie stanowiły użycia świata zupełnego; bo któż, co nie znał miłości kobiety, a raczej kilku i więcej kobiet różnych miłości, może powiedzieć, że świata użył? W rozumieniu też Twardowskiego, najgłówniej mu niedostawało do tego życia miłości; nie mógł się teraz tylko na wybór i początek zdecydować. Trudny był wybór i kiedy teraz był młodym, kiedy za nim latały wejrzenia, wabiły słowa, nęciły uśmiechy — on był zimniejszy, chciał, żeby szał, w którego objęcia miał oddać siebie, swą duszę i rozum, godzien był tej ofiary przynajmniej.

Teraz już ani piękna Hanna, ani Wejglówna, ani żadna z dawniej znanych, które nim pogardziły, a te-

raz byłyby mile i chętnie przyjęły zaloty, nie zyskały ani nawet spojrzenia. Mijał je, wesoło się śmiejąc, udając, że nie poznaje, albo zuchwale im się przypatrując z szyderskiem natężeniem wzroku.

Twardowski marzył sobie na początek dziewicę czystą i niewinną jak słońce — takiej u nóg chciał złożyć pierwszą swego życia miłość. Chciał znaleźć w przyszłej kochance wszystkie doskonałości, aby je swej dumie poświęcić, chciał doskonałych wdzięków ciała, usposobień umysłu niepospolitych, nareszcie pewnego położenia w świecie, rodu. Ktoby się tego spodziewał! Tak jednak było! Wieśniaczka, mieszczka nie byłaby go zaspokoiła; chciał czegoś wyższego, przeczuwając dopiero teraz, że ród i wychowanie wielce od siebie kobiety różni; że wdzięki prostej wieśniaczki, bez tej szaty, jaką je okrywa dostatek i wykształcenie, są tylko kawałkiem pięknego mięsa.

Szukał Twardowski.

Tymczasem któż wie, co się działo w nocy? Nieraz widziano koło jego kamienicy przebiegające piękną Strelimussę, sławną miłośnicę Reginkę i wiele innych podobnych. Młodzież nieraz na wieczorne uczty do niego wiodła z sobą swoje jednodniowe kochanki. Twardowski nie opierał się temu wcale; nim miał poznać wielką miłość, do której się sposobił i gotował w duchu, próbował tej łatwej miłości zwierzęcej; bo i ta ma swoje rozkosze, gdy więcej ciało niż dusza miłości pragnie, w chwilach, gdy zwierzem bardziej niż człowiekiem jest człowiek.

Często sam jeden puszczał się Twardowski szukać przedmiotu swojej projektowanej miłości, o której dziwy w przyszłości marzył. Czuł on coraz bardziej, że go jednogodzinne miłostki nie zaspokoją, że potrzeba mu wielkiej pasji, którąby po nim przeszła jak hebel po szorstkiej i najeżonej tarcicy. Ale nic go tak w żad-

nej nie uderzało dziewicy, aby jej nad inne pożądał, ażeby czuł się dla niej gotowym do długich i wielkich ofiar, do nadzwyczajnych starań i poświęceń. Nie znalazł żadnej, za którąby poszedł wiedziony na nitce, posłuszny jak dziecko — i to go martwiło razem i zastanawiało.

— Jest li co we mnie, przez co w każdej z nich postrzegam wady i plamy, a dla żadnej nie mogę czuć tej wielkiej miłości, o której marzę, na którą się zbieram, której do życia potrzebuję? Jest li to zabytek mojej nauki i odczarowujący jej skutek? Albo czyli w istocie nic jeszcze godnego siebie nie spotkałem? Może — i może? bo któż tak zna siebie, żeby za wszystko, co się z nim dzieje, mógł przysiąc?

Wielki mędrzec przykrzył sobie jednakże, iż owa miłość spodziewana nie przychodziła. Ale gdzież jej w istocie szukał? po ulicach, po rynkach i po domach zepsutych ciągłem przebywaniem dworu krakowskich mieszczan, gdzie same zalotnice zabiegały mu drogę, wdzięcząc się i uśmiechając. Twardowski nie tego potrzebował i choć pięknej kobiety uśmiech przyjmował *tymczasem* i *tymczasem* udawał miłość, szukał jednakże, gdzieby się z niezaspokojonemi żądzami udać

Tak to było po odmłodzeniu.

Maciek tymczasem prządł siatkę swoją w oknie i czatował na muchy, biedny sługa

VI.

Jako Twardowski pana wojewodę wskrzesił i kogo tam widział.

Był to wieczór grudniowy, niebo wypogodzone, jasne, błyszczące, przymrozek biały leżał po dachach kamienic. Z kominów wywijały się prosto w niebo jak długie sznury czarne dymy. W oknach tam i sam świeciły i migały światełka. Cicho było w ulicach Krakowa, tylko piesi jacyś ludzie wracali śpiewając z gospód i karczem i domów. — Na ratuszu dzwoniono gaszenie ogniów (których jednak nikt gasić nie myślał i tylko okiennice przymykano) — straż nocna wychodziła z wachthauzu, a od zamku wrzawno pędziły kolasy i poczty panów do gospód w mieście.

Po winiarniach, karczmach i łaźniach opóźnieni opilcy szumieli jeszcze, a gdzie niegdzie rzęsistsze z okien bijące światła dowodziły, że tam biesiadowano. Słudzy w przysionkach i roztwartych sieniach, leżąc na ziemi, grali w kości, inni trzymali konie luźne, inni pochodnie. Tak właśnie było i przed mieszkaniem mistrza, a w mieszkaniu także szumiała biesiada wesoła.

W wielkiej izbie trzaskający ogień płonął na ogromnym, marmurem wykładanym kominie. Wzdłuż tej sali wpośrodku stał stół dębowy, dokoła jego ławy usłane kobiercami wschodniemi. Stół zasłany był spadającym do ziemi, szytym we wzory obrusem. Na nim kurzyły się misy srebrne, z potrawy korzennemi, polew-

kami. — Było to pierwsze dopiero danie; ledwie jeszcze poczynając, piwo roznosić i w kubki rozlewać słudzy mieli. Gospodarz siedział w końcu stoła podparty na ręku, z uśmiechem gościnnym i uprzejmym zapraszał gości swoich do jadła.

Twarze i postacie, które stół otaczały, nie były z dawnych poważnych znajomości mistrza, przeciwnie, były to tylko ożywione młodociane fizjonomje, stroje wykwintne, wąsy do góry, oczy błyszczące, usta rumiane. Żwawo wiązała się i krzyżowała pomieszana ze śmiechami rozmowa o kobietach, o koniach, o wojnie, o winie, o swawoli, Bóg wie o czem jeszcze — ani słówka o księgach. Mistrz mieszał się czasem do rozmawiających, z szyderskiemi po większej części żartami, które pasibrzuchy głośnym śmiechem potakującym przyjmowali.

Gdy tak wesoło gwarzą i jedzą, i piją, i biesiadują, po wschodach słychać chód prędki śpieszącego się człowieka. Wszyscy umilkli.

Twardowski, dosłyszawszy tego, podnosząc głowę, rzekł zcicha:

— Któż to jeszcze do nas przybywa tak późno, czy nie ten wieczny maruda, p. Jacek?

Ale nie był to ów stary Jacek, który pozjadał zęby, smaląc cholewki do młodych dziewcząt i zawsze się chwalić musiał przed wszystkimi niesłychanem swem szczęściem do kobiet; był to zdyszany pachołek czy dworzanin jakiegoś pana, który wpadł po chwili na salę i ogromnym a zdyszanym głosem zawołał:

— Mój pan umiera!

— Wieczne mu odpocznienie! — odpowiedziało kilku biesiadników ze śmiechem młodym i potężnym.

— Któż tam taki? — spytał po chwili zimno Twardowski — jak śmiesz, nie opowiedziawszy się, przerywać biesiadę?

— Mój pan! wojewoda! wojewoda umiera! — powtórzył sługus z rosnącą niecierpliwością, mocno przekonany, że na imię wojewody wszyscy twarzami upadną.

— Choćby stu wojewodów, — rzekł znowu któryś biesiadnik — wieczne im odpocznienie — a ty idź sobie precz ze swoją śmiercią, którą nam do kielicha rzucasz, niezgrabny.

Wszyscy się śmiali znowu.

— Jest tu doktor Twardowski? ja po niego jestem przysłany — rzekł sługa zmieszany.

— Wiedz waść, — odparł jakiś młokos, odwracając się na ławie — że Twardowski nie przerwie sobie biesiady, żeby ocalić życie takiemu wichrzycielowi jak twój wojewoda, którego ciało i dusza razem kielicha dobrego wina nie warte.

— Zapewne, zapewne! — zawołali wszyscy, nieradzi przerwaniu biesiady, któraby obumarła bez gospodarza.

— Ale pan wojewoda obiecuje tysiąc florenów złotych, jeśli go mistrz zastanie tylko, pośpieszywszy przy życiu, jeśli umarłego to pięćset, jeśli go ocalić potrafi, dwa tysiące.

Na to wszyscy, jakby uderzeni po głowach, umilkli a Twardowski odwrócił się nieco.

— Mamże jechać, moi mili goście? — spytał.

Trzeba wiedzieć, że tak znaczna na owe czasy obiecana suma wszystkich dziwiła, a Twardowskiemu chodziło bardzo o to, ażeby swojej zamożności inne źródło, nie kieszeń djabła, pokazał. Nie tak więc dla pieniędzy, jak raczej dla oka, myślał, że wypadnie pojechać i spytał o to swoich gości.

Goście milczeli i spoglądali jeden na drugiego. Żal im było uczty rozerwanej; niejeden zazdrościł mistrzo-

wi tak wielkiej sumy, którą tak łatwo mógł nabyć; nareszcie jeden pocichu szepnął:

— Gdybym to ja był na waszmości miejscu, pojechałbym niezawodnie.

— I ja! — rzekł drugi z innej strony.

Miał ochotę odpowiedzieć im mistrz jak Aleksander Wielki, ale po chwili namysłu zawołał, podnosząc się:

— Bawcież się tu u mnie, moi mili, a ja pojadę. Pan Mateusz zajmie miejsce gospodarza; otwarte piwnice — jedzcie i pijcie zdrowi; wychylcie tylko puhar odjezdnego i pomyślnych skutków podróży.

To mówiąc, podniósł kielich za zdrowie gości i pożegnawszy ich, odszedł. Rozkazał zaprząc parę koni do lekkiej niemieckiej kolasy, wziął z sobą czterech sług konnych w bogatej barwie, aby wojewodzińskim zamożność swoją pokazać, kazał zapalić dwie pochodnie i śpiesznie wyjechał.

Całą noc otulony płaszczem, dumając, prowadzony przez sługę, dążył do wioski pana wojewody, oddalonej o kilka mil złej drogi od Krakowa.

Kto nie wie jak się to duma, mając niebo pogodne i gwiazdy nad sobą, ten nie pojmie, co było rozkosznego w tej nocnej podróży. Nad rankiem już stanęli u celu, ale zapłakana służba w bramie podwórca znać dała, że wojewoda już żyć przestał. — Mistrz chciał zaraz wracać, zaproszono go jednak do zamku i krewni zmarłego przyjęli uczciwie; nawet mu obiecanych pięćset florenów wyliczyli, lecz Twardowski ich nie przyjął.

Zdziwiło to krewnych, którzy po sławnym lekarzu nie spodziewali się takiej bezinteresowności. Pamiętano jeszcze sławnej pamięci Laskarisa-Balińskiego, który na ubogich i bogatych nakładał takie podatki i tak sobie płacił suto, wprzód jeszcze niżeli za próg domu ruszył.

— Wojewoda umarł, — rzekł Twardowski — nic tu już po mnie, raczcie ugościć sług moich i dajcie mi spocząć — to całą nagrodą będzie za odbytą podróż i przerwaną biesiadę. Więcej przyjąć sumienie mi nie dozwala!

Chodziło mu o sławę! Dobrze sobie radził.

— Lecz prawda li, że wojewoda umarł? — rzekł po chwili namysłu.

— Ach! aż nadto prawda, na nasze nieszczęście — odpowiedział płaczący w kącie wojewody bratanek, któremu on za życia wiele świadczył, a nic nie zapisał.

— Gdzież ciało jego? — spytał mistrz obojętnie.

— Stoi już na katafalku! — odpowiedział znowu, ocierając oczy, bratanek.

Twardowski pokiwał głową, usiadł i zamyślił się głęboko.

— Nie możnaby zobaczyć zmarłego? — rzekł.

— Nacóż się to przyda waszmości, — odpowiedział jeszcze bratanek — cuchnie już nawet, tak go lekarstwy Żydzi i baby napchali.

I płakał gorzko.

— Już go nie wskrzesisz!

— Jeśli prawdziwie umarł — odpowiedział spokojnie Twardowski.

— Ale skądże waszmości przychodzi ta wątpliwość? — rzekł bratanek zdziwiony i poruszony. — Dlaczegoż waszmość o śmierci jego wątpisz? Ja sam byłem przytomny, gdy konał.

— Każno waszmość wynijść księżom i ludowi z sali, niech ja ciało obejrzę — rzekł uparcie mistrz.

— Ale nacóż się to przyda? — spytał bratanek, który nie pojmował, żeby być mogła jeszcze jaka nadzieja.

— Nie wiedzieć do czego, to niepodobna! — prze-

rwał dziedziczący po wojewodzie, a dopomógł mu spodziewający się po nim w senacie krzesła.

Jednakże, gdy mistrz stał przy swojem, przez wzgląd na języki i oczy ludzi, wprowadził, choć opierając się, Twardowskiego do izby obitej czarno, odkryli mu wieko trumny szkarłatnej, stojącej na bogato wysłanem łożu śmiertelnem. Mnóstwo żółtych świec jarzących płonęło dokoła. Wojewoda leżał w trumnie z wpadłemi oczyma i policzki, z siwą głową i wąsami. Usta miał otwarte i sine, skórę żółtą i pomarszczoną, kości zdawały się wyglądać z pod niej.

Twardowski wziął trupa za rękę powoli i długo pomyślawszy, odezwał się głośno:

— Wojewoda nie umarł.

Krzykiem podziwienia rozległa się komnata, ale niektórzy oburzać, inni śmiać się zaczęli.

— Żarty z nas stroi, — rzekł dziedzic — cóż to za gadanie! Myśli trupa wyjmować, nie damy.

Poskoczył bratanek, rozepchał wszystkich, zaczął gadać, przekonał tłum zdziwiony, jął się kłócić, i gdy tu wrzawa, mistrz tymczasem, korzystając z chwili, wyjąć kazał ciało z trumny, przenieść je do sypialnej komnaty, puścił krew, która z podziwieniem wszystkich wytrysnęła, otarł czemś czoło i nos, podniósł powieki umarłego i w usta wlał napój czarny.

Naówczas z podziwieniem przytomnych dały się czuć lekkie poruszenia piersi — oczy się obróciły, usta drgnęły, serce zapukało. Wszyscy odskoczyli, a wojewoda zakaszlnął i poruszać się zaczął na łóżku, stękając.

Bratanek padł na kolana, inni pouciekali, inni krzyczeli, zgiełk powstał straszny na zamku, hałas się rozlegał, rozjeżdżali się jedni, zbiegali drudzy, ci oddawali, co pobrali, tamci przygotowania pogrzebowe ściągali, księża ze spuszczoną głową odjeżdżali do pobli-

skich klasztorów. Wpadła wdowa do izby, weszły dzieci młodsze — Twardowski wszystkich odprawił, położył starca w ciepłem łóżku i zaczął go dopiero z choroby leczyć.

W ciągu trzech dni wojewoda był zupełnie zdrów, a na stole w izbie mistrza leżał trzos skórzany, mieszczący w sobie trzy tysiące florenów. Bratanek ze łzami ściskał go i całował.

Twardowski wśród tej powszechnej radości i dzięków ponury został i smutny, a gdy siadł do kolasy swojej, za którą wiedziono konie powodne, dar wojewody i bratanka, oglądał się często jakby mimowolnie na zamek, wzdychał i brwi marszczył.

Oczywiście coś go gryzło.

Była temu przyczyna. Drugiego dnia pobytu w zamku Twardowski wyszedł po bezsennej nocy przejść się po ogrodzie, ogołoconym z liści i pokrytym szronem, aby się świeżem orzeźwić powietrzem. Kiedy tu zadumany przechadza się, spotkał dziewicę w ubiorze dość wytwornym, idącą z drugą podeszłego już wieku kobietą.

Spojrzał na nią — cofnął się, osłupiał, patrzał i patrzał jeszcze, i patrzał i stał.

Zdało mu się, że ją gdzieś widział. Kiedy? gdzie? nie umiał sobie wytłumaczyć i przypomnieć. Rysy te jednak były mu znajome.

Znajome? Gdyby je znał, mógłżeby je zapomnieć? Nie były mu one znajome, ale wyraz twarzy tej dziewicy miał coś tajemniczego w sobie, coś jakby znajomego dla mistrza, jakby długo oczekiwanego, przeczuwanego. — Nie była to piękność mieszczańska, która żyć poczyna tak młodo i tak żwawo życie zjada, nie były to owe rysy piękne, a jednak zepsute serce zwiastujące i czemś nieszlachetnem nacechowane — owszem, twarz jej była życia dojrzałego, w samej sile,

pełna, a razem wyrazu jakiejś wyższości i dumy. Czoło miała wyniosłe, białe i gładkie, oczy czarne, ognia pełne, usta małe, ledwie znaczne, różowe, pogardliwie nieco wzniesione. Chód jej i postać godziły się z twarzą. Był to chód królowej, była to postać wielkiej pani.

Nie umiał sobie wytłumaczyć mistrz, dlaczego tyle kobiet przejrzawszy, ku żadnej nie uczuł tego, co dla tej, a żadna go jednak tyle, co ta, nie przestraszyła.

Kobieta przechodząc, ledwie na niego rzuciła okiem, ledwie spojrzała i to tak tylko jak patrzała na mur, na ziemię pod nogami, na drzewo. Powróciła do zamku.

Twardowski pośpieszył za nią, dowiadywać się od sług, kto ona była. Miarkując z postawy, wziął ją za córkę wojewody, ale prędko się dowiedział, że wojewoda tak dorodnej córki w domu nie miał. To go trochę pocieszyło, bo już czuł, że wielka owa spodziewana miłość przychodziła do niego.

— To — sierota, szlacheckiego rodu, którą pan wojewoda wziął na opiekę, do domu swego. Ma ona tam krewnych jakichś w Krakowie i wkrótce zapewne do nich powróci.

Twardowski pilnie się badał o krewnych, zapisał sobie ich nazwiska; a choć czatował i na pannę, żeby ją drugi raz zobaczyć, nie mógł się już z nią spotkać nigdzie. Przestraszyła go jej mina dumy pełna, ale zapalony wmawiał sobie, — jeśli nie przez miłość, to przez szatana, mieć ją będę! przez krew, przez śmierć, przez zbrodnię, przez truciznę, przez zdradę — ale musi być moją! Na wszystkie piekieł męczarnie klnę się, będzie moją ta królowa!

I w takich to myślach, oglądając się na czerwone mury zamku, odjeżdżał do Krakowa.

VII.

Krewni panny Agnieszki.

Nie w smak w Krakowie były mistrzowi witające go biesiady przyjacielskie i tłumne zgromadzenia — myślał tylko o pięknej swojej sierocie, i cały zajęty myślą zbliżenia się, poznania jej, wysyłał szpiegi, dowiadywał się ażali nie przyjechała, chodził, szukając wieści o jej krewnych, o niej samej. — Jej nie było jeszcze, lecz ukartowawszy plan swój, Twardowski miał czas poznać się z jej krewnymi, do których powrócić miała, aby potem miał wstęp do domu gotowy, jako dawniej już znajomy, i aby jego stosunki nie wydały tak oczywiście zamiarów. Z mocnem więc postanowieniem zabrania przyjaźni koniecznie udał się tam mistrz.

Ci krewni byli to wprawdzie mieszczanie, ale przyjęci do szlacheckiego herbu Poraj, bo się zwali Porajami. Familja ich tego czasu znacząca była w magistracie krakowskim, bogata, choć bogactwo zebrała handlem, dom miała zasobny i należący do pierwszych w mieście. Szlachta chociaż trochę Porajów z wysoka traktowała, gdyż dziad łokciem mierzył, czego dowodem żywym był jeszcze sklep w ich kamienicy na dole, w którym, prawda, nie handlując, tylko go już najmowali, — szlachta, mając wzgląd na to, że przestali się zajmować zupełnie, a mieli jedną i drugą wioskę wpobliżu Krakowa, z której służbę sprawowali, poczynała się codzień chętniej bratać z nimi. Głową domu był

Stanisław, stary, jak to zowią, wyga, świadom dobrze wszystkiego w powszechności, co za jego czasów zaszło, gawęda nienasycony, nieprzezwyciężony, niepokonany, umiejący napamięć wszystkie wesołe bajeczki i wierszyki latające po świecie, rozprawujący zawsze głośno, lubiący wesołość, śmiechy i towarzystwo podobnych sobie. Pan Stanisław w chwilach wolnych od gawędy, nie znosząc próżnowania, pisał kronikę anegdotyczną swojego czasu, dniami prawie (niestety! zaginęła!), lubił odczytywać z niej przy zdarzonej okoliczności kawałki, a mianowicie te, w których moralne rozumowania poparte były i przyprawne jakby zamorskiemi korzeniami, cytacjami Seneki Titusa-Liviusa, Tacyta, Owidjusza i Wirgiljusza, których pism ledwie że napamięć pan Stanisław nie umiał.

Biorąc ściśle, był to człek powierzchowny tylko, deklamator więcej niż filozof, wesoły, gaduła bardziej niż zastanawiający się nad rzeczami, historyk (a szło mu bardzo o tytuł historyka); próżny przytem był, bo lada pochlebcy wierzył, lada panegiryk go do szpiku kości poruszał. Tak zaś łatwo wierzył w zasługi drugich, jak w swoje; lada samochwał, który się przed nim pod niebiosa wynosił, u niego łatwe zyskiwał współczucie; potem zaś już, gdy o kim się uprzedził, trwał w swojem zapamiętale i bronił gorąco swoich ulubieńców.

Pani Barbara, zacna jego małżonka, szlacheckiego lecz ubogiego domu, wysoko bardzo swój niepokalany klejnot szlachecki i koligacje ceniąca, zakochana w starym już mężu, jak to za dawnych czasów praktykowało się czasem, kiedy nie nowina była ujrzeć parę siwych gołębi, kochających się po młodemu, pomimo lat późnych — pani Barbara, wskutek przejęcia się asymilacji jakiejś i przywiązania, wierzyła także w p. Stanisława, jako w najrozumniejszego, najuczeńszego swego czasu człowieka. Zdawało jej się, że nad niego

nikogo na świecie nie było, ani pod względem umysłowych zdolności, ani co się tycze przymiotów urody nawet cielesnej; choć p. Stanisław Bóg wie jak już wyglądał. Wielka gospodyni z pękiem kluczów u pasa spędziła cały swój żywot i położywszy się nawet w spokojnem małżeńskiem łożu, śniła jeszcze o małdrzykach, antypastach, o apteczce, przez sen kłóciła się ze sługami, wykrzykując tylko niekiedy do męża: mój kotku! P. Stanisław poważną staropolską miłością na afekt jejmości odpowiadał, szacował wysoce jej przymioty gospodyni i żony, czasem skłaniał się nawet w dowód uczucia pocałować ją w czoło; lecz w wielkie tylko święta!! Nad tem zaś najgorliwiej pracował i mózg suszył, aby swojej współtowarzyszce nabić głowę wielkim rozumem i ważnością swoją, aby jej wpoić pewien rodzaj adoracji dla siebie.

I nie była to zła zasada, na której oparł teorję małżeńskiego pożycia.

Pan Stanisław z panią Barbarą byli bezdzietni; uboga sierota, którą Twardowski ujrzał w zamku wojewody, była krewną pani Barbary. Opiekował się nią wojewoda, dopóki żyła jego córka, której współtowarzyszką i przyjaciółką była panna Agnieszka; po śmierci jej, czasem jeszcze przybywała do zamku wojewody, swego dobroczyńcę zobaczyć i miejsca, w których najsłodsze przeżyła młodości chwile; resztę czasu spędzała w Krakowie przy pani Barbarze.

Lecz mówmy już o pannie Agnieszce. Była to cudna w swoim rodzaju dziewka. Przyrodzenie dało jej bardzo wdzięczną postać, kibić wspaniałą, oczy czarne, a nadewszystko coś tak szlachetnego i wyniosłego wyrazu w twarzy, iż każdy zdawał się mały przy niej i z bojaźnią mimowolną na nią poglądał. Charakter też p. Agnieszki odpowiadał w pełni powierzchowności obietnicom. Na owych czasów kobietę była zupełnie

niepospolitem zjawiskiem. Choć sierota i uboga, ceniła się niesłychanie wysoko; zdawało się jej, że przynajmniej kasztelan jaki powinien był wejść z nią w śluby dozgonne. Lekceważyła mieszczan, śmiała się z pięknych chłopców, których zwała *łątkami* dla dzieci, gromiła gachów, odrażając ich od siebie żarty i grochowemi wieńcami.

Jednakże była uboga i sierota — ale piękna i szlachcianka.

Nad wszystko dziwiła w pannie Agnieszce jej niepraktykowana uczoność, która zapewne także nieco dumy jej dodawała. Ceniąc wysoko księgi i nauki, naówczas prawie zakazany dla kobiet owoc, oddzielną jakąś wydawała się istotą, pośrednią między kobietą a mężczyzną. Prawdziwą jej rozkoszą było chwytać za słowa, prześmiewać i pylić nieuków i półmędrków. Prędko, pomimo jej wdzięków, uciekła od niej młodzież, pierzchnęli gaszkowie do innych łatwiejszych dziewek, i w dwudziestu pięciu leciech, których dochodziła właśnie, już ją byli wszyscy niemal opuścili.

Wymawiał jej to surowo p. Stanisław, który znowu wzorem kobiet uważał panią Barbarę; a pannę Agnieszkę za jakieś *monstrum* tylko.

— Za co waszmość panna odrzuciłaś tylu zacnych mieszczan, tylu uczciwych kupców. Toć to już teraz nikt się o jej rękę nie zgłosi. Twarz gładką prędko lata poorzą, troski marszczkami zasieją, łzy doły pokopią, osiądziesz panna na wieki.

Ona mu odpowiadała:

— Wolę ja zostać jak jestem, niźli żyć z jakim głupcem.

— To za grubo! głupcem? Śmiesz ich tak nazywać? Zacni to przecie ludzie o nią się starali, a niektórzy z nich i nie bez nauki.

— Życzę im szczęścia gdzie indziej i wielbicieli łatwiejszych ode mnie — odpowiadała zimno Agnieszka.

— Cóż jednak poczniesz i myślisz z sobą dalej?

— Jeśli mnie waszmość dobrodzieje moi opuścicie, wejdę do klasztoru.

— Hm! hm! — odpowiadał p. Stanisław — pocóż o tem opuszczeniu mówić! Nie myślimy przecie o tem. widzisz sama, a jeśli podaję ci refleksje, to nie w innej myśli, tylko aby cię nakłonić do ustalenia losu swego: bo kobieta póty nie może być bezpieczną, póki losu swego nie odda w ręce mężczyzny.

Zwał ją p. Stanisław pospolicie — *hic mulier*, a chociaż za rodzaj *monstrum* w porównaniu z p. Barbarą uważał, miał jednak dla niej jakąś słabostkę, bo ona cierpliwie słuchała jego kroniki i cytacyj.

Jakeśmy widzieli z tego urywku rozmowy, p. Agnieszka, ze swej piękności jeszcze nie zwiędłej i rozumu tak niepospolitego naówczas w jej płci i stanie wysoce się niezmiernie ceniąc, zgóry bardzo na świat patrzała, mało się wreszcie troszcząc o to, że jej lat przybywało, że ją opuścili mężczyźni; pocieszając się księgami i szyderskiem przekonaniem o nikczemności tych, którzy ją ocenić nie potrafili. — Może jeszcze miała nadzieję — bo i najpoważniejsi i najrozumniejsi niemi się łudzą.

Taka to była ta piękność, którą na pierwszy rzut oka pokochał Twardowski tak gorąco, tak gwałtownie. jak dotąd jeszcze nikogo.

Wróciła nareszcie panna Agnieszka do Krakowa, a przez przekupionych wcześnie sług zaraz się o tem dowiedział Twardowski. Tegoż zatem wieczora, jakby nic nie wiedział, w licznym poczcie, w bogatym stroju, nie raz się przejrzawszy w zwierciadle, udając, że jedzie z odwiedzin na wsi, zajechał do p. Stanisława.

Zwyczajem swoim zasiedli do uczonej rozmowy, do

wesołych gadek, któremi gości swoich tak obficie raczył gospodarz. Weszła i p. Agnieszka do izby, bo tu krośna jej stały u okna przy krośnach pani Barbary.

Naówczas zapoznał ją gospodarz ze swoim gościem, szeroko rozwodząc się nad jej pochwałami. Panna Agnieszka przypomniała mistrzowi, że go widziała już w zamku wojewody. — To połechtało dumę mistrza i napełniło go otuchą. Nie postrzegł, że wspomnienie o zamku wojewody wywiodła panna dlatego tylko, aby się ze swemi związki pochwalić.

Uradowany dobrym początkiem, mistrz przysiadł się do niej.

Inna to była wcale dla niego, niż dla pospolitych gachów, niewiasta. Zdziwił się mistrz, który już wiele o niej słyszał, i bardzo się jej lękał, znajdując ją tak wesołą, tak miłą, gdy się spodziewał tylko dumnego szyderstwa. Lecz mądra, o mądra była panna Agnieszka, a Twardowski ślepy! On nie widział, że ona nie młodego, a przystojnego zalotnika i kochanka, ale sławnego w nim przyjmowała mędrca, czcząc w jego osobie bóstwo swoje — żądzę sławy i wzniesienia się. Łagodną mu była i powolną, bo w nim znała wielkiego człowieka — pochlebiało jej, że ten dziw wieku siedział przy niej i z nią na słowa walczył. Dumna dziewczyna ze swej strony już nawet snuła projekta wplątania go w miłostki tak, jak on chciał ją wplątać. Ale z tą różnicą, że ona czyniła to tylko przez dumę, a trochę może marząc i o bogactwach mistrza, o których dziwy pletli; on zaś był na ten raz szczerze i zapalczywie rozmiłowany w niej. Zdawało się pannie Agnieszce, że jeśli kto, to ona powinna go była usidlić — największa z kobiet (tak się ceniła) najsławniejszego z mężczyzn. — Wszystko, czem kobieta zręczna pociągnąć może, wejrzenia, słowa, pochlebne wyrazy, wszystko użyte zostało. — Mistrz, pełen radości, odjeż-

dżając z przed bramy kamienicy p. Stanisława, jeszcze mocniej palił się żądzą posiadania tego cudu wdzięków i mądrości, które pozyskanie nierównie mu się teraz łatwiejszem wydawało, niż wprzódy.

Oboje zarówno marzyli o sobie. Dobry był początek. Lecz gdy mistrz rozważał jej wdzięki, jej twarz, kibić, chód, szlachetną postawę — ona myślała tylko o jego wielkiej sławie, imieniu i bogactwach. Była to zimna kobieta, której tylko powierzchowność szczęścia i czcze uwielbienie tłumu wystarczały do życia. Bardzo się mylił Twardowski, czytając w jej oczach zaród miłosnych ogniów — była w nich duma, upodobanie blasku, pragnienie wywyższenia się, ale ani śladu namiętności cielesnej lub serdecznego przywiązania. Uczucia te przyschły w zarodku, a piękna Agnieszka tak była zajęta wielkościami, iż dla pozyskania ich wszystkoby była w życiu poświęciła, marząc nieraz we śnie, marząc nawet na jawie o koronach, o oklaskach, o podziwieniu tłumu, sławie i bogactwach.

Jak mógł tak wielki mędrzec tak bardzo w wyborze i poznaniu charakteru kobiety omylić się? — tego nie wiem. Szatan to chyba mógłby wytłumaczyć, który zapewne zaród namiętności w serce jego rzucił, mając w tem swój tajemniczy rachunek.

VIII.

Jako szatan radził Twardowskiemu w jego miłości.

Poczęły się od tego pierwszego poznania coraz widoczniejsze miłostki, z któremi się obie strony nie kryły. Mistrz nawet biegał do kościołów, aby ją częściej widywać, chociaż ile razy chciał, widywał ją w domu; uczęszczał także na przechadzki i całkiem prawie swój czas tej miłości poświęcił. Każdy dzień zbliżał ich i poufalił z sobą. Dziwił się tylko mistrz sobie, znając nieco lepiej kobiety, czem się to działo, iż panna Agnieszka, o której życzliwości dla siebie nie mógł wątpić, tak go onieśmielała, iż dotąd o miłości wyraźnie słowa jej wyrzec nie śmiał. Ale cóż tuby były znaczyły słowa przy tak jawnie już zaloty wykrywających czynnościach?

Panna Agnieszka zaś nie tylko, że nie była umyślnym powodem tej nieśmiałości mistrza, lecz sama niecierpliwie oczekiwała oświadczeń, a często nawet wyprowadzać go na nie próbowała. Mistrz zaś czy to z nieśmiałości jakiejś dziwnej, choć gorzał miłością, czy z jakiej rachuby — nie wiem — zwlekał stanowcze słowo.

Odbywała się w nim niepojęta walka.

Z jednej strony stawał do boju szatan ze swojem natchnieniem, z drugiej miłość — uczucie zawsze mniej więcej szlachetne i prawe. Walka toczyła się o to, czyli mistrz miał się żenić, czy tylko kochać? czy pan-

na Agnieszka miała być jego żoną, czy tylko kochanką?

Łatwo każdy pojmie, że gorącej miłości niedość było przemijającego tytułu kochanka. Zdawało się mistrzowi (jak się to wszystkim w takim przypadku zdaje), że z równą siłą kochać ją będzie wieki — chciał więc mieć ją żoną.

Szatan mocno się temu przeciwił, i on to zapewne oświadczenie stanowcze swojemi podmuchami wstrzymywał.

— Mistrzu, — mówił mu — miarkuj się, rozważ, to niesłychane dzieciństwo, stracisz na sławie, stracisz na szczęściu, związesz sobie ręce jedną kobietą, dasz jej prawo do twego życia, czasu, zatrudnień, majątku, wszystkiego; uczynisz się dobrowolnie lichym niewolnikiem jednej ładnej twarzyczki, z swobodnego króla! Nie dziwię się, że jej żądasz, że ją chcesz posiadać, ani się temu przeciwię — ale nacóż te śluby? nacóż dozgonny węzeł, który tylko bez niebezpieczeństwa może wiązać uczciwych mieszczan i godnych pasibrzuchów? ci bowiem potrzebują niewoli, nie potrafiliby żyć bez postronka na szyi. Miarkuj tylko, mistrzu, chciej rozważyć całą sprawę, nie będzie li to małżeństwo rodzajem przeniewierzenia się piekłu z twej strony?

— Masz moją duszę, ja mam tymczasem moją wolę, — odpowiedział Twardowski — daj mi pokój, uczynię, co zechcę.

— Tać! zapewne, — rzekł szatan — ale na bok interesa piekła, mówię tylko w twoim własnym. Chcesz li ty koniecznie biedy, kłopotu, niewoli, dzieci i życia w troskach i znoju, zaprzedanego za dwa kwadranse śmietanki a długie lata mętów paskudnych? Chcesz li, żeby ci nawet nie wolno było być szczęśliwym, jak ci się podoba, gdy wszystkiem będziesz się musiał dzielić na dwoje?

Znasz-że ty zresztą tę pannę Agnieszkę, wielkie twojej wyobraźni cudo?

— Doskonale! — odpowiedział mistrz. — Jest to jedyna na ziemi kobieta, której ciało równie jest piękne, jak dusza. — Naczynie i napój odpowiadają sobie.

— Doprawdy? — zawołał szatan ze śmiechem — cha! cha! sama zapewne uosobiona doskonałość, porachuj się z sobą, czy cię potrafi uszczęśliwić? Czy ona się zgodzi z tobą? Tyś zwykł do swobody, ona do regularnego życia, jak zegar ratuszowy, który swoje dwadzieścia cztery godzin wybiwszy, znowu od pierwszej niechybnie zaczyna. Ty dotąd nie znałeś nocy i dnia, nie znałeś koniecznego przeznaczenia godzin tej nieznośnej niewoli, nie znałeś żadnego musu, jadłeś, piłeś, spałeś, dumałeś, gdy ci się podobało. Na potem będziesz tylko o tyle swobodny, o ile ci pozwoli twoja pani. Wyliczą ci godziny snu, jadła, kochania, uścisków, myśli i pracy. Każą ci iść spać, gdy się jejmość położy, jeść, gdy będzie jadła, cieszyć się, gdy będzie wesoła, płakać, gdy będzie smutna, ściskać, gdy zapragnie uścisku. Nie będziesz już sobą, będziesz tylko jej cieniem, dopełnieniem jej, glossą przy tym żywym tekście. Gdy siędziesz dumać o wielkich przedmiotach, ona ci pod nos podetknie podarty twój kubrak, z wymówkami za zbyt prędkie jego znoszenie; gdy zaśniesz po trudach małżeńskiego życia, zbudzi cię, pytając, co jutro będziesz jadł, opęta cię, obejmie, usidli, zwiąże i umęczy.

— Dajże mi pokój z twemi przywidzeniami niewoli — rzekł Twardowski. — Nie chcę jej mieć inaczej, tylko ślubem.

— Przyznam ci się, — odpowiedział djabeł—że inaczej, jak wykradzioną mieć nie będziesz, bo choć ona cię żąda gorąco, choć p. Stanisław cię lubi — wiesz zapewne, że pod tym tylko warunkiem zapisuje jej

z żoną całe swoje mienie, aby szła koniecznie za ich krewniaczka, bogatego kupca. Jest on tak przynajmniej bogaty, jak ty, w oczach ludzi. Żadna zaś kobieta nie rzuci pieniędzy dla miłości, chyba piętnastoletnia przepiórka, twoja zaś ma coś więcej podobno nad piętnaście. Jeśli masz łaski u niej, to tylko dla sławy twojej; ona cię kocha, boś wielkim człowiekiem, a zapewne nie szkodzą i wieści chodzące o twej zamożności. Co się tycze jej, ona się ku tobie skłonić może, ale mówiłem ci przyczyny, dla których nie zgodzą się jej krewni.

— Więc ją wykradnę, — rzekł mistrz — ale muszę się ożenić — ona inaczej, ręczę, nie zechce być moją i nie będzie.

— Hm! — rzekł djabeł po namyśle. — Trudna z wami rada. Bierzcie przynajmniej gdzie ślub w lesie, w pustej chacie, albo w jakiej na rozdrożu opustoszałej kaplicy. Ja się już dla was za księdza przestroję; ty będziesz mógł powiedzieć, żeś mnie tam wezwał z klasztoru od św. Bernardyna.

Twardowski zamilkł, nic na to nie odpowiedział, spojrzał na djabła i spuścił oczy, djabeł mówił dalej niezmieszany:

— Nie wszystkoż ci to jedno?

— Oszukiwać!

— Miłość uczyniła cię, mistrzu, do zbytku trwożliwym. Dość na tem, że ślub będzie wedle formy, a gdy zechcesz ją potem porzucić...

— Porzucić! ja ją porzucić! — zakrzyknął Twardowski wielkim głosem.

— No, no! nie krzycz tak bardzo i nie dziwuj się mojemu śmiałemu przypuszczeniu — powiesz jej potem, że djabeł ślub dawał. No — i kiedyż ją wykradniesz?

— Powoli, powoli! — odpowiedział mistrz — je-

szcze z nią o tem ani słowa nie mówiłem, ani słowa nawet, że ją kocham.

— Zda mi się, że już chyba nie powiesz, jeśliś tego dotąd nie uczynił; — rzekł djabeł — ale możesz się obejść bez słów, jeśli cię one tyle kosztują. Można pismo posłać. Nadewszystko, — dodał życzliwy doradca — szafuj bez końca obietnicami zapisów, pieniędzy i t. d. — To nigdy nie szkodzi z temi ziemskiemi aniołami. Potrzebują one złocić sobie skrzydełka, żeby się wydawały piękniejsze, a niema pozłoty, gdzie niema złota.

IX.

O dziadach i babach i jak Twardowski użył starej Kachny.

Twardowski po odejściu djabła, a raczej tylko po zniknieniu jego (gdyż szatan podobno nigdy go nie odstępował), rozważył dobrze, jak mu postąpić wypadało, uczuł, że nie będzie mógł się nigdy zebrać na śmiałość oświadczenia pannie Agnieszce, i postanowił wyprawić do niej pismo.

Ułożył więc je i w niem odmalował swoją gorącą miłość, zresztą widoczną oddawna; przyrzekał jej złote góry dostatków, niebieskie swobodne życie bez końca, szczęście bez chmury. — Uznał słuszność djabelskiej rady i nie zaniedbał także wysoce podnieść stan swojego majątku, zapewniający im i wybór rodzaju życia, i zupełną swobodę, bez żadnych obowiązków pracy. Nareszcie proponował Agnieszce, aby w sobotę z nieszporu, który u panny Marji kończył się zwykle o zmroku, dała się uwieźć w przygotowanej kolasie ludziom, na to nastawionym. Zaręczał Twardowski, że natychmiast ślub wezmą i prosił wreszcie, aby czyniąc wybór między bogatym i młodym głupcem a bogatym i młodym filozofem, przeważyła też na szali przyszłość jednego i drugiego i nadzieje ich obydwóch. Chociaż wiem pewnie, że djabeł tego listu nie dyktował, ostatni jednak argument, gotówbym z trafności jemu przyznać.

Gdy pismo zostało skończone i czytelnie na liście papieru białego wykaligrafowane, tym charakterem XVI wieku, tak czystym, a jednak niewyraźnym, zakłopotał się znowu mistrz wyborem posłańca, któremuby je powierzył, aby pięknej oddał Agnieszce z przyzwoitą ostrożnością, tajemniczo, roztropnie, ani przybyciem swem w niezwykłą porę, ani postacią swą nie obudzając podejrzeń, które p. Stanisław przenikliwy i niedowierzający z natury łatwo mógł powziąć, gdyż się już poniekąd i zalotów domyślał, i wiedział, jak krewna jego nie życzyła sobie kupca za męża.

Po długim namyśle wpadł Twardowski na szczególny wniosek. Wybrał na to poselstwo starą żebraczkę, babę, znaną w całym Krakowie z gadatliwości i mniemanych, czarnoksięskich wiadomości, we wszystkich domach dobrze przyjmowaną, znającą wszystkie progi od chat przedmieścia do pałaców i zamku, pośredniczącą nie w jednych miłostkach. Nim poznamy naszych czytelników osobiście z tą postacią charakterystyczną owych czasów, której podobne i podobni składali w narodzie klasę oddzielną, pośredniczącą między ludem a klechą i księdzem, pozwólmy sobie odskoczyć wbok i pogadać o dziadach i babach.

Żebracy stanowili w Polsce, jak wszędzie, od najdawniejszych czasów (bo od pogańskich jeszcze) osobną klasę, obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizjonomją swoją od innych wielce różną. Poznanie tej klasy dziś nawet nie jest bez ważności dla historji obyczajów. Oni niejako pośredniczyli między ludem a duchowieństwem, jeszcze zaś bardziej między ludem a klechą. Od klechy do dzwonnika, od dzwonnika do dziada a kruchty, nieznaczne tylko było przejście. Z jednej strony dziad-żebrak opierał się o lud, z którego wyszedł, z drugiej o kościół i sług kościelnych, do których się liczył, żyjąc także z modlitwy i jałmużny. Że-

bracy stanowili niejako ostatni poziomy szczebel sług kościelnych, byli ludu lekarzami, doradcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły, dziad i baba co chwila potrzebni byli dla chłopka. Baba przyjmowała dziecię, gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało, gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilje, których nie było czem księdzu zapłacić, a żebrakowi dzban piwa i garnek kaszy nagradzał. Cokolwiek więcej w istocie mając oświaty, a udając tajemną wielką naukę, składającą niby tradycjonalny skarb kasty, wygrywali żebracy przed ludem, łaknącym cudownych pomocy, pokładającym w nich nieograniczoną wiarę, dlatego, że lud zawsze gotów jest chwycić wszystko, co mu podaje jakąkolwiek polepszenia nadzieję.

Różne były przemysły żebraków, różne przez nich używane sposoby wciskania się do domów, przypochlebiania wszelkim stanom i różnych lat ludziom, wzbudzania litości, wyżebrania jałmużny. Tym, którzy wierzyli w czary i sympatyczno-tajemnicze leki (a któż w nie jeszcze w XVI wieku nie wierzył, począwszy od biskupów, aż do króla?), przysługiwali się zioły, maściami, napojami, zamawianiem *i* t. p., pobożnym płacili za datek modlitwą, do bogatych wołali o litość, zmyślając sobie rany, choroby, boleści, kalectwa, częstokroć zręcznie naśladowane. Najpospolitsze żebraków choroby bywały: — *Boża kaźń, obłąkanie,* niemota, głuchota, ślepota, wrzody, rany przykładaniem jaskieru zrobione, choroba św Walentego, zwana pospolicie Walantym.

Strój dziada bywał rozmaity, najpospoliciej jak najnędzniejszy łachman go okrywał, płaszcz łatany, umyślnie obdarty. Dodatkiem do niego bywały szczudła, bielagi czyli sakwy, *kałwica,* pudło zgięte, noszone na plecach; odkryte i poranione nogi, obnażone

piersi, potargane włosy, twarz dziko wykrzywiona, oczy krwią zaszłe, broda rozsunięta na piersiach, głowa związana ladą szmatą dziurawą, kij, czyli kostur w ręku.

Inni, udawający pielgrzymów lub istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu, wcale się odmiennie odziewali, aby się od pospolitego żebractwa odróżnić. Oni stanowili arystokrację dziadowską. Nie wychodzili inaczej z kraju, jak z listem od rady miejskiej lub innego urzędu pod pieczęcią danym; miewali też przepisaną sobie drogę na papierku, o którą się wszędzie troskliwie wypytywali. Ci ubierali się jak inni prawie pielgrzymi obcych krajów, nosili ciemne, szerokie płaszcze, tłumoczki ze skóry na plecach, kapelusze ze sznurkami, u pasa wiszące paciorki, czaszę miedzianą do czerpania wody, w ręku wysokie maczugi. Chodzili najczęściej parami, długo wprzód wędrując po kraju, nim się puścili do Rzymu. Księża, gdziekolwiek przybyli, zalecali ich z ambon litości zgromadzonych jako podróżujących w celu pobożnym. W czasie nabożeństwa siadali w kruchtach kościelnych, modląc i śpiewając, przedając pisane suplikacje, które rozdawali wchodzącym i wychodzącym, wielkim głosem dla zwrócenia uwagi intonując pieśni pobożne. Niżej powiemy o miejscach, do których żebractwo najwięcej uczęszczało.

Inni byli dziadowie chodzący po kraju z puszką, skarboną, po kweście dla pogorzałych i podupadłych kościołów, na dachy, na organy, na szpitale i t. p. Nosili oni puszkę na szyi zwieszoną i stawali po plebanjach, wypraszając sobie także, aby ich plebani z ambon zalecali. Historje dziadowskie wzmiankują nieraz o wytrzęsanych puszkach kwestarskich i podstawionej ręce, zamiast skarbony.

Inni jeszcze byli kalecy z profesji, udawający lub

czasem istotnie chromi, głusi, ślepi i niemi. Ci, którzy mieli *Bożą kaźń* albo tak zwaną chorobę Walantego, starali się najpotężniej rzucać, krzyczeć, targać w czasie samego nabożeństwa — w kościele, leżąc na cmentarzu, aby okrwawiwszy się, prędzej litość pobudzić.

Drudzy odkrywali rany, żebrząc, albo udawali szalonych, wyjąc, krzycząc niezrozumiale, wywracając oczy, bełkocząc. Byli i tacy, co po wsiach i odosobnionych miejscach, upatrzywszy dogodną porę, gdy w chacie *samego* nie było, przywiązawszy sobie kawał wilczego ogona, wyjąc jak wilcy, przychodzili, udając wil kołaków. Postrzegłszy ich, gospodyni zapierała drzwi i okna z wielkim strachem, podawała co prędzej gomółkę. Wilkołak nie chciał chleba, wyjąc, groził, że pójdzie w pole do bydła, jeśli mu co lepszego nie dadzą na zaspokojenie głodu; aż wytargował lepszą strawę u niebogi. Czasem, gdy mu się udało napaść wieśniaczkę samą jedną, wpadł nim drzwi zaparła, zżymając się i oczyma łupiąc, mrucząc coś pod nosem, rzucając szczyptami proszek jaki w garnki; aż dobrze przestraszywszy i matkę, i siedzące za piecem dzieci, odszedł, z czem tylko chciał. Stąd to poszło pewnie, że dzieci dziadami nieraz straszą, i nie bez przyczyny.

Było czasem ich interesem dostać sobie dziecię, aby niem także do litości nad swoim stanem pobudzić — kradli je więc, gdy swojego nie mieli. Rzadko się to jednak zdarzało, bo młodsze żebraczki dość płodne, chętnie sprzedawały zbywające dzieci starszym.

Byli i spokojniejsi, co woleli siedzieć, nie włócząc się, nad drogami. Na to wybierali oni pospolicie miejsce u źródeł, za cudowne mianych, u figur i Bożej Męki, na ludnych gościńcach. Tu, modląc się, jęczeli, podawali wodę przychodzącym, pokazywali drogę nieświadomym. Wśród puszczy nieraz na rozdrożu, u starej

figury, widziano chatę, zawaloną w ziemię, mchem porosłą; na szelest przychodnia ukazywał się z niej siwy staruszek, podparty na kosturze, i wyciągał rękę.

Niektórzy stale się trzymali kościołów, zostawali dzwonnikami, posługaczami, a na przyległej wsi mieli przywilej leczenia ludzi i koni.

Baby strój z małą odmianą był taki, jak dziada — łachmany, *łoktusze* zwane ich językiem, u pasa zawsze nieodstępny garnek, służący równie do okadzania od czarów i złego ducha, jak też do składania danej sobie strawy.

Baby, siedząc pod kościołem, śpiewały *Różany wianek*. Ich głównem zatrudnieniem było babienie, czary, leki, pilnowanie chorych ubogich szlachcianek przy połogach. W tym ostatnim przedmiocie chlubiły się osobliwszemi tajemnicami; wyraz *babienie* nawet śladem jest tych ich zatrudnień w języku. Baby i dziady najlepiej znali wszystkie ludu przesądy, wszystkie złe i dobre wróżby, wszystkie ostrożności, jakie należało zachowywać, aby zło do domu nie weszło. Nosili z sobą świeczki woskowe, zioła różne (jak wyżlin i bylicę naprzykład), maście na rany, wódki — kropili obory i stajnie, pasieki i barcie, wróżyli z dłoni młodzieży, jak Cyganie, po lasach wiązali drobne gałązki zapustów, obiecując z nich ogromne drzewa za trzy lata i t. p. Oni to uczyli lud, że kto próżną konew spotka, ta mu wróży nieszczęście, że gdy co kracze w nocy na dachu, zapowiada także jakiś smutek, że we czwartek po południu nie godzi się prząść kądzieli, ani w piątek piec chleba, że rydel nie powinien nigdy stać w izbie, ani próżna pokrywa na stole; że źle jest izbę nawspak zamiatać, że niedobrze ciężarnym niewiastom za pogrzebem chodzić (w tem mogło być postrzeżenie nie próżne); radzili także czarownicom po śmierci łamać pal-

ce, żeby upiorem nie wstawały, żegnali chmury od gradobicia, żegnali dojnice i garnki dla obfitości w domu. Oni leczyli ludzi, oni leczyli bydło od najpospolitszych u nas jego chorób — *kurdziela, napaści i nogcia.* Sposób jeszcze, jakim rady podawali, mina tajemnicza, w obrzędach powaga, jak przy najważniejszym akcie, mimowolnie wzbudzały wiarę u ludu. Lud też przypisywał im niesłychaną władzę, nieograniczone wiadomości, wiedzę wszystkiego — nie zawsze nawet za przyczynę tego podstawiał szatana, owszem, u niektórych żebraków widział w tem pełną tajemnic nagrodę Boską za ich nędzne życie, cierpienia, upodlenie, ubóstwo. Nie umiem bowiem inaczej wytłumaczyć wiary w ich modlitwy, z wiarą w ich cudowne leki i zamawiania.

Baby pospoliciej, niż dziadowie, trudniły się wszelkiego rodzaju lekarstwy i czarami, nigdy one, nie okurzywszy przynajmniej izby od *złego,* nie wychodziły z chaty, w której im dano jałmużnę. — Lud, bojąc się jakiego nasłania, dawać musiał zawsze. Oprócz tego dawniej, kiedy jeszcze stany wszystkie mniej się od siebie oddzielały i więcej z sobą połączone były, dopomagały do strojenia się ubogim szlachciankom, piększyły ich twarz, uczyły brwi i włosy farbować, znały i udzielały miłosnych napojów, przynosiły zioła (często potrzebne) pomagające niepłodnością rozpustnemu życiu, także inne rzeczy tenże skutek wywierać mające, jako trzaski z trumny, mech z kościelnego dachu i t. d., które kładzono do łóżek — były powiernicami wszystkich dolegliwości, wiedziały wszystko, wpływały do wszystkiego, co się w obrębie ich wędrówek działo. Złamał kto nogę — one zażegnywały ranę od ognia i puchliny, i one leczyły wrzody i wyrzuty, one umiały niepotrzebny płód zniszczyć, zapobiec, aby go nie było więcej, znały znowu sposób zaradzenia niepo-

żądanej niepłodności kobiet a niemocy mężów, godziły, kłóciły małżeństwa, dawały rady względem wychowania dzieci. Nieraz namawiały na złe dziewczęta i ułatwiały chłopcom umizgi, przenosząc z obu stron poselstwa, namawiając, sprowadzając i t. p. Dziady czasem znowu, zmieniając się w wendetarzy, trudnili się przekupstwem, tu żebrząc o łachman, lub chwytając ukradkiem, tam go znowu sprzedając. — Handel ich zależał na starem odzieniu, obuwiu, świnkach, kurach; lecz najgłówniejszemi jego artykułami były różne leki, wódki, maście, wody z cudownych źródeł, świeczki, które przedawali na odpustach, wyrabiane z wosku nogi, ręce, serca — na wota do kościołów, krzyżyki drewniane. Wieśniacy wszystko brali i za wszystko płacili, czasem uboższa szlachta.

Każdą prawie babę miało pospólstwo za czarownicę — wierzył lud, że one wszystkie, wywróciwszy koszulę na nice, w czwartek na młodziku wylatywały z izby średniem oknem lub kominem, na ożogu, na podgórską granicę, że się udawały dla jakichś obrzędów na rozstajne drogi, że się stawały, gdy chciały, niewidzialnemi lub przybierały różne dziwaczne postacie zwierząt, kotów, kóz i t. p.; że mocą ziół jakichś otwierały zamki, po powrozach mogły wdrapywać się na wysokości, chodzić suchą nogą po wodzie; że miewały zachwycenia, w których widywały cudowne rzeczy; że najpospoliciej zmieniały się dwa razy w miesiąc, raz na młodziku, drugi raz gdy księżyc schodził; że w nocy przybierały czasem postać śmierci, w południe przypołudnicy, wieczorem wiedźmy lub latawicy. Latawiec, duch zły, był z niemi w szczególnej zażyłości i zgodzie, on także mienił się w różne postacie, sławny był z tego, że za prośbą lub umową nosił z cudzej śpiżarni wszystko, czego mógł dostać dla swoich przyjaciół.

Lecz już dość wreszcie tego wyliczania — jeszcze

jedno i najgłówniejsze pono po babieniu zatrudnienie bab było — obmywać umarłych, kłaść ich do trumny i śpiewać nad nimi wigilje. Ledwie kto w chacie powieki zawarł, jedni ze strachu, drudzy z przywiązania nie mogli ostatniej oddać mu posługi, biegł parobek po babę, która zawsze do tego była gotowa, gdyż to było może najzyskowniejsze z jej zatrudnień.

Powiedziałem już, że lud lękał się bab, którym przyznawał władzę narzucania paraliżu, głupoty, febry i t. p. wywarami z różnych ziół, zbieranych w pewną determinowaną porę.

Baby i dziady po dwoje lub troje włóczyli się nieustannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark: rzadko razem szli w większej liczbie, boby sobie sami przez to szkodzili. Ślepy ze swoim przewodnikiem, chromy i towarzysz, głuchy z chorym, chromy ze ślepym, dziad z babą przyjaciółką chodzili, dzieląc się jałmużną zebraną, niekiedy drąc i kłócąc się o nią. Na odpustach niezliczone ich ćmy zasiadały cmentarze kościelne, śpiewając, wykrzykując, ukazując rany, ofiarując świeczki na sprzedaż, maści i leki, zioła, udając *kaźń Bożą*, obłąkanie, paraliż. Dzień zaduszny jest i po dziś dzień, jak był zdawna, wielkim dniem w roku dla żebraka, dniem najsutszej jałmużny za dusze zmarłe, którą każdy daje, bo każdy ma kogoś na tamtym świecie, po kim płacze, za którego pragnie modły zakupić.

W Polsce najsławniejsze stekiem żebraków miejsca były — Częstochowa, Nowa Kalwarja, Św. Krzyż na Łysej górze, Leżejsk, Staszówka, Szczepanów, Gniezno na św. Wojciech, Pilzno na św. Jan, Rzeszów na sławny jarmark, Jarosław na N. Pannę Zielną, Przeczyce na św. Michał, Leki na św. Bartłomiej, Chełm w Lesie, Zawady za Dębicą, kościół św. Piotra koło Dobrzechowa i t. d. W Zawadach była niejaki czas figura

ukrzyżowanego Zbawiciela cudowna, z której boku woda ciekła, a tę dziadowie roznosili i przedawali, gdyż lud wielce jej był chciwy. Prócz tego pielgrzymowało dziadostwo daleko w cudze kraje za chlebem, a najpospoliciej do sąsiadów, wyrobiwszy sobie list pod pieczęcią. Tłoczyli się oni do Węgier, pod wielkim strachem (jak powiadali) przebywając napełnione hultajami Bieszczady; do siedmiogrodzkiej ziemi, do Wołoch; szli zdrowsi nieraz do Kozaków i tam przystawali, inni do Śląska, do Moraw. Niektórzy przy żebraninie trudnili się też przeprowadzaniem koni kradzionych, należąc do cygańskiej ligi, częstokroć nawet mniej świadome ich kupy wiodąc po kraju ubocznemi, gdy tego było potrzeba, manowcami.

Stykali się oni nieraz z możniejszą klasą, której byli potrzebni do przenoszenia tajemnych korespondencyj, do szpiegowania wojsk, osób i t. p. Tak jeden z nich w XV wieku, przenosząc listy od Zygmunta cesarza do krzyżaków, zmarł w drodze i tajemnica się wydała, inni (bo było ich więcej) umknęli. Tak książę Siemion Słucki przekradał się przez dobrze strzeżone bramy Lwowa do przyrzeczonej sobie księżniczki Halszki Ostrogskiej. Tu napomkniem o zwyczaju trzymania do chrztu dzieci możnych przez dziadów, aby się hodowały *).

Najpoetyczniejszą postacią u nas byli żebracy ślepi, dudarze i gęślarze, chodzący po wsiach i dworach z pieśniami narodowemi ludu i nabożnemi. Powiadają, że zyskowna ta żebranina tak dalece była dobrym chlebem, iż zwykle syn po ojcu gęślę dziedziczył, a z nią ślepotę, umyślnie w dzieciństwie zrobioną.

Najrozwiąźlejsza klasa włóczących się dziadów miała służący jej, mianowicie do porozumień we wzglę-

*) J. Żochowski.

dzie kradzieży, oddzielny i właściwy swój język, o którym wspominają dawni pisarze nasi, że nim rozmawiali, niezrozumiani od nikogo. Był to język ich rzemiosła, który, jak język flisów, jak język myśliwych, miał i swoje własne wyrazy (poczęści) i więcej jeszcze składał się z pospolitych, którym nadawano dziwne znaczenie.

Z tego, cośmy tu już napisali, łatwo poznać, jak żebracy wielkie miejsce zajmowali w życiu prostego ludu, jak wielki nań wpływ wywierali. Baba przyjmowała rodzące się dziecię, baba matkę dozierała przy połogu, często bywała kumą, niejeden raz potem swachą, niejeden raz lekarką, a gdy umarł starzec, baba znowu omywała go, kładła do trumny i śpiewała wigilje. Proste przysłowie — gdzie djabeł nie może, tam babę pośle — maluje, jak wiele mogły baby. Gadki też gminne rzadko się bez pośrednictwa dziada lub baby obchodzą, tych tajemniczych postaci, niewiadomo gdzie urodzonych i nieśmiertelnych, bo zawsze po sobie następujących bez przerwy i końca.

Obyczaje tej klasy były jak najdziwaczniejszą mieszaniną nabożeństwa i przesądów, modlitw i występków. Usłużne żebractwo miało jakąś popularną gadkę na wymówienie każdego występku, tak właśnie, jak miało lekarstwo (mniemane) na każdą chorobę za kawałek chleba i kilka groszy; uspokajało niejedno sumienie i niejedną bojaźń chorobliwą rozpędzało. Tajemnicze życie, wiek, obyczaje, tradycjonalne o nich powieści, wszystko w oczach ludu okrywało żebraków jakimś urokiem dziwnym, natchnąć umiało wiarą w gusła ich, bojaźń i uszanowanie pewne dla nich.

W istocie często straszna była zemsta tych ludzi, których z trudnością dotknąć mogły prawa, a żadna nie wstrzymywała pospolicie wiara i sumienie. Nieraz rzucili ogień pod stodołę, ziele szkodliwe do jadła. —

Słowem, żebracy wówczas, tacy, jakicheśmy odmalowali, byli dla ludu ciągle potrzebnymi, czasem niebezpiecznymi, ustawicznie nasuwającymi się.

Inny nieco był żebrak właściwie miejski, lecz tylko o tyle, o ile wpływał na niego odmienny nieco rodzaj życia i otaczający go ludzie. Żebrak miejski, trochę oświeceńszy, równie zepsuty, przebieglejszym był jeszcze od innych.

Żebracy w miastach prędko zbierać się zaczęli w kształt bractw, czyli cechów uprzywilejowanych. Mieli oni swoje wpisy, księgi, pisarza, urzędników, skarbonę, biczowników, pilnujących, aby obcy przybysze miejskim chleba nie odbierali, zasiadając pod kościołami za jałmużną, lub włócząc się po mieście. Już w XVI wieku pokształciły się takie bractwa u nas, mające swoją gospodę do schadzek w mieście, obowiązane starać się dla członków swych o księdza przy skonaniu i pogrzeb choć w polu. Przybywający do miasta litownicy, którzy o okup, jako więźnie, albo o pomoc, jak pielgrzymi, dopraszali się, prosząc o zalecenie ich z ambon, stawić się byli obowiązani wprzód do gospody brackiej i papiery swoje okazać, w mieście nie wolno było ran odkrywać i dzieci nosić. Co cztery pospolicie niedziele odbywały się schadzki, których protokół pisano. W czasie głodów tylko i morów, gdy niezwykły był napływ ludu do miasta, porządek ten ustawał.

Ubodzy szpitalni mieli sobie wyznaczony czas siedzenia na ulicach, pospolicie około Wszystkich Świętych i Wielkiej Nocy. Starszyznę obierano z dzwonników, cerkiewnych, zborowych kościelnych.

Należący do bractwa siadywali niekiedy w budkach, umyślnie skleconych, przy kruchcie kościelnej.

W ogólności żebrak w mieście mniej miał swobody, baczniejsze magistraty nie dawały bróździć, pod karą pręgierza, chłosty i wygnania z miasta; w razie dowie-

dzionych czarów, lub tylko intencji — palono bez przebaczenia. Swobodniejsze było życie żebraka na wsi, w ciągłej, wesołej od proga do proga pielgrzymce, po znajomej okolicy, gdzie często w starym dziadku starą witano znajomość. Że wpływ żebraków był demoralizującym dla ludu, niewątpliwa — niejeden dał się im nawieść do zbrodni, niejeden, patrząc na nich, zasmakował w próżniactwie, tułactwie i żebraninie; niejednemu pomogli oni do ukrycia bezkarnego pierwszej zbrodni, co było zachętą do dalszych.

Oprócz tych, o jakicheśmy wspominali, stosunków z możniejszą klasą, przypomnijmy te, jakie się zawiązywały przy często w XV i XVI wieku zdarzających się ucztach dla żebraków, przez panów, duchownych, mianowicie biskupów, dawanych. Do tych policzmy i obrzęd wielkoczwartkowy.

Oświecenie tej klasy na czem właściwie zależało? Na umiejętności pieśni pobożnych, modlitw, litanij i t. d., znajomości tradycyj miejscowych, gadek, przysłów, piosnek ludu; tradycjonalnych także formułach czarnoksięskich i guślarskich; na poznawaniu ziół i niejakiem ich własności różnych pojęciu. — Oto podobno wszystko. Dodamy tylko, że baby uczyły się praktycznie usługiwać położnicom.

Taka to była ta klasa ludu, z której mistrz wybrał posłankę do panny Agnieszki.

Znał cały Kraków starą Kachnę, brudną, garbatą, lecz wyszczekaną, wszystko wiedzącą i chytrą babę. I lud na przedmieściach, i panowie po swoich kamienicach witali ją jak znajomą. Jednym rozdawała leki, obiecywała modlitwy, drugich bawiła wesołemi plotkami i dowcipną gawędą, której nikomu, w często nawet przytomnym nie przepuszczała. Nie prosiła ona jałmużny, ale przychodziła po nią jak po swoją należność, targowała się jak o zapłatę. Słowem, długie lata prakty-

ki żebrackiej, pewna znajomość ludzi z powierzchowności ich (którą zawsze dziadowie i handlarze mniej więcej posiadają), przytem pobożność i niesplamiona dotąd żadnym wielkim występkiem opinja nadawały jej śmiałość i jakiś całe odrębny postępowania sposób, który wskutek wymienionych przyczyn nikogo już nie dziwił.

Zwołał ją mistrz, gdy szła przez ulicę.

— N. Panno Częstochowska! — zawołała, drąc się po wschodach — czarnoksiężnik chce czegoś ode mnie! No! no! to coś osobliwego, nigdym się nie spodziewała, że mu się mogę zdać na co!

— Niech będzie pochwalony! — rzekła, wchodząc do izby z niskim ukłonem.

Mistrz zaczął od wrzucenia jej w rękę obfitej jałmużny. Stara potrząsnęła nią na dłoni i spoglądając w oczy Twardowskiemu, spytała:

— Wszystko dla mnie?

— Wszystko dla ciebie! — odpowiedział mistrz — ale niedarmo.

— Wątpię, żebyś chciał modlitwy albo lekarstwa. W pierwsze nie wierzysz, a drugiego i sam masz poddostatkiem.

— Zgadnijże, czego chcę od ciebie.

— A pokażno mi dłoń — rzekła stara, wyciągając rękę.

Twardowski podał ją z uśmiechem.

— No! no! — odezwała się po chwili Kachna, potrząsając głową — chodzi tu o jakąś dziewczynę, szyjębym dała.

— Zgadłaś, stara! Chodzi o to, żebyś to pismo odniosła pannie, która mieszka w kamienicy p. Stanisława Poraja, jego krewnie Agnieszce.

— Wolałabym pójść z tem pismem do panien fraucymeru królowej starej, jak do tej panny! Aj! dumna!

bo dumna! rzekłbyś, że się urodziła na królowę. Bardzo się boję, mój dobrodzieju, żebym tem pismem w łeb nie dostała i ze wschodów nie spadła.

— Bądź spokojna! szepniesz jej tylko od kogo! Chodzi tylko o to, aby cię nikt oddającą pisma nie zobaczył, albo nawet nie uważano, że masz do niej interes.

— O! mój dobrodzieju! — odpowiedziała Kachna— czy mnie pierwszy raz! Jakem była młodszą, tom się ja umizgała, bo to mi teraz tego garba narosło; prosta byłam, jak trzcina. Teraz na starość ludziom pomagać, i to jakoś łechce po sercu — kiedy człek pić nie może, patrzy przynajmniej, jak drudzy piją. Już to nie chwaląc się, w całem Krakowie i na Podgórzu, bo i w całej Polsce, niema do tego zręczniejszej ode mnie. Znają mnie tu dobrze wszyscy, a niejeden, choć starą i śmierdzącą, ucałował za dobrą nowinę. Bądźcie dobrej myśli, sprawię się należycie. Byłaby głupia, żeby z waszmością jeszcze stroiła ceregiele.

— Tylko pokornie z nią, zdaleka, bo wiesz, że dumna, jak królowa! — rzekł mistrz — a nadewszystko ostrożnie.

— Bądźcie tylko spokojni! poznam ja ptaszka po piórkach, a człeka po wejrzeniu — wiem, z której strony począć! A wszystkie one, dobrodzieju, jednakowe, tylko każda z nich, jak wielkanocne jaje, inaczej po wierzchu malowana — w środku dalibóg to samo!

I, śmiejąc się, wyszła.

X.

Jaka była odpowiedź panny Agnieszki.

Niecierpliwie mistrz powrotu Kachny wyglądał, ale tego dnia nie przyszła. Nazajutrz dopiero pocichu, niby pacierze klepiąc, wcisnęła się na wschody, a tak tam krzycząc pasowała się z broniącą jej przystępu czeladzią, że głos usłyszawszy, mistrz wybiegł sam z komnaty. Ona jęła dopiero sługi łajać, a mrugać na mistrza, aby ich porozpędzał.

Skinął Twardowski — ustąpili. Dopiero, kiwając głową i wlepiwszy w niego szare oczy zaczerwienione, rozwinęła płachtę brudną, z której wydobyła zwinięte pismo.

Porwał je skwapliwie mistrz i z bijącem sercem czytał.

Zgadnijcie, co w niem było.

Agnieszka przyjmowała podany projekt, ale pod przysięgą ze strony mistrza, że zaraz ślub wezmą. Ktoby był sądził z pisma, mógłby sądzić, że miłość tego cudu u dumnej dziewki dokazała. Nie tak jednak cale było! Sercu jej dogadzały bogactwa narzeczonego i jego wielka sława.

Nie posiadając się z radości, Twardowski, jakby oszalały, rzucił starej Kachnie kiesę z pieniędzmi. Porwała ją chciwie baba z iskrzącemi oczyma, ale chowając pod suknią i fartuchem do skórzanych kieszeni, te jeszcze słowa powiedziała:

— Szczęśćże wam, Panie Boże! boście warci szczęścia i umiecie biednemu ciężką pracę nagrodzić, nie tak, jak drugi, co jeszcze nałaje i nawymyśla, żeby mu mniej dać uszło. Ale bez uroku (i tu splunęła), choć *wasza* bardzo piękna, teraz ja się jej przypatrzyłam, ale do paralusza dumna. Na kiegoście bo kaduka pokochali się w tej królowej. Niewygodne to szczęście, co mu się kłaniać raz wraz potrzeba i klęczeć przed niem.

Twardowski dał jej znak ręką, aby zamilkła, i nic nie odpowiedziawszy, wpadł nazad do komnaty. Z wielkiem podziwieniem swojem zastał w niej bernardyna, który z pokorną miną stał za stołem.

— A waszmość co tu robicie i którędyście tu weszli? — spytał zdziwiony, stając na progu.

— Gotów jestem choć zaraz ślub dawać — odpowiedział zakapturzony mnich. Potem, zsunąwszy kaptura i ukazując szyderskie rysy szatańskiej twarzy, dodał:

— Wszakże masz już słowo panny Agnieszki.

— Skądże o tem wiesz?

— Wie już o tem cały prawie Kraków, bo stara Kachna idąc, komu mogła, śpiewała tę nowinę w uszy po drodze.

— A niechże ją ubiją, tę starą żmiję! — krzyknął mistrz, porywając się i wybiegając na wschody. — Ona mnie zgubi swoim językiem. Do soboty jeszcze dwa dni.

Wnet wysłał sługi, ale ci nie dognali Kachny, która, wpadłszy do najbliższej gospody, pić ze swymi poczęła i już zabierała się z pozyskanym posagiem, a garbem w dodatku wyswatać za młodego ślepca, który jej się bardzo podobał.

Powrócili z niczem, gdyż szukali na ulicach, gdy ona

piła w karczmie pod bokiem Mistrz srodze się frasował.

— Nie bój się niczego, — odpowiedział mu djabeł — od tych, którym ona to rozplecie, nie dojdzie wiadomość do p. Stanisława, a panna Agnieszka pewnie ci słowo strzyma. Daj tylko Boże, abyś z nią był tak szczęśliwy, jak dziś masz nadzieję. Co ja, to płaczę nad tobą, żal mi, żeś się tak dał związać i opętać! Ale kiedy już masz ginąć, dla jednej nocy wesołej, niechże ja ci dam ślub przynajmniej. Widzisz, że jestem choć w tej chwili gotów!

— No — no — *Vade retro* i zostaw mnie samym, — odpowiedział mistrz — mam wiele do czynienia, mnóstwo przygotowań.

— Powierz mnie co do roboty! potrafię ci być użytecznym.

— Ty tylko dopomożesz mi ją uwieźć — postawisz konie i będziesz przewodnikiem do kapliczki w lesie. A teraz powtarzam ci: *Vade retro.*

To mówiąc, Twardowski klasnął na sługi, począł wydawać rozkazy, tych konno, tych wozami w różne strony porozsyłał, innych pieszo w miasto. Dwóch djabłów także za jakiemiś ingredjencjami poleciało. — Ruch nieustanny i przybory trwały w domu mistrza aż do soboty i owych nieszporów.

XI.

Jako się Twardowski ożenił i co było na weselu.

Przed kościołem Panny Marji w Krakowie stała poczwórna kolasa. Konie w niej były kare, bez żadnej odmiany, rosłe fryzy, bogaty na nich szór, woźnica zakapturzony w ciemnej barwie, dwóch obok pachołków konnych. U stopni stał wysoki mężczyzna, uwinięty szerokim, czarnym płaszczem, w kapeluszu z piórami czarnemi. — Niekiedy zachodził on przed konie, jakby się im przypatrywał, niekiedy znowu stawał na stopniu, a w chwilę pędził pod krużganek kościelny, wyglądając końca nieszporów.

Był to Twardowski, kolasa czarna miała uwieźć pannę Agnieszkę z kościoła. Zmierzchało właśnie, ostatki czerwoności słonecznej dogorywały na zachodzie, w kościele dzwoniono we wszystkie dzwony na *Magnificat*. Liczny tłum bab i dziadów, nie mogących znaleźć miejsca w kruchcie kościelnej, lub nie mających prawa żebrać jałmużny u drzwi, snuł się na placu przed kościołem, napełniając powietrze śpiewem wrzaskliwym i jękliwemi prośby wykrzyknikami, a nawet przekleństwy.

Dalej nieco stali słudzy, konie jezdne i kolasy. Między niemi wszystkiemi celował zaprzęg i powóz mistrza, już to pięknością fryzów i kolasy, już dziwacznym wyborem czarnej barwy, która raczej kondukt pogrzebowy, niż wesele przypominała.

Skończył się wreszcie nieszpór, lud tłumnie z kościoła wysypywać się zaczął. Twardowski, odepchnięty ode drzwi, niespokojny, z okiem wlepionem w wychodzących, szukał panny Agnieszki w tej ciżbie, z którą mnóstwo ubiorów i twarzy przesuwało się z szybkością przed nim. Kilka razy omylony chwytał obce osoby i odskakiwał od nich, szukając swojej w innej stronie. Nareszcie, gdy wszystek lud wypłynął i pojedyńczo tylko przypóźnieni nabożni wysuwać się zaczęli, postrzegł mistrz między nimi jaśniejące oblicze panny Agnieszki, ożywione, pogodne, jakgdyby w najspokojniejszej chwili życia, jakby nie o krok od wykradzenia, ucieczki i potajemnych ślubów. Wnet poskoczył mistrz za nią i za długi, wiszący rękaw jej sukni, kłaniając się nisko, zlekka zatrzymał, szepcząc:

— Wszystko gotowe!

— Spodziewałam się tego, — odpowiedziała spokojnie — jedźmy!

I wiedziona przez mistrza, zbliżyła się do kolasy. Słudzy podnieśli ją na ręku i posadzili, Twardowski skoczył na podanego konia, zawrócili w ulicę i polecieli cwałem.

Chmurno było i coraz chmurzyło się bardziej na niebie. Była to pora wiosenna, ale nie tej zielonej i wesołej wiosny, która duszę napełnia życiem i nadzieją, odmładza starych, dodaje sił młodym; — ale tej smutnej jeszcze i nagiej, która nie ma żadnego wdzięku, nic zielonego, świeżego i środkuje jeszcze między zimą a wiosną prawdziwą, podobniejszą do jesieni, niż do wiosny. Gdzie niegdzie jeszcze płaty szerokie śniegu bielały na czarnej ziemi, powietrze ciepłe było i wilgotne, niebo chmurne i czarne, wiatr przenikający, choć nie chłodny. Droga była szkaradna, ale woźnica, uprzedzony o potrzebie pośpiechu, nie zważał na to i wiadomemi sobie manowcami, po pagórkach pędził.

nie dbając o błoto, bryzgające dokoła, ani na częste przechylania się kolasy.

Tak w milczeniu lecieli długo, długo — mistrz wślad za nimi konno gonił i kolasę dościgał. Zaszła czerwona łuna zachodnia, wszedł księżyc, uspokoił się wicher, konie jeszcze leciały; nareszcie wpadli w zarośla, potem w las, koniom zwolnił biegu woźnica; stanęli u wrót opuszczonej w lesie kapliczki. Tu już błyskało światełko i u ołtarza mnich zakapturzony, w stule, czekał państwa młodych. Twardowski zeskoczył z konia i wprowadził do kaplicy pannę Agnieszkę.

To miejsce nie szczególniej było na obrzęd ślubowin wybrane. Opuszczona dawno, smutna, czarna, zrujnowana kaplica. Mury jej przesiąkłe były wilgocią, okna potrzaskane od wiatrów i burzy, pełno gratów walało się na podłodze, ławki były połamane, obrazy podarte szmatami wisiały na ścianach, gdzie niegdzie gwoździem przytrzymane.

Ołtarz brudny ledwie obrus okrywał, a w dwóch drewnianych okapanych lichtarzach paliły się dwie świece, których długie knoty oznajmywały, jak długo czekano na nowożeńców. Nie można było, wchodząc w to miejsce, oprzeć się mimowolnemu smutkowi, jakim przejmowało to opustoszenie, ta śmierć wszystkiego. Na dobitkę jeszcze, zdarty i okapany woskiem całun z białym krzyżem rozesłany był na stopniach ołtarza, zamiast kobierca. Uderzyło to mistrza, uderzyło pannę Agnieszkę, ale on nie wierzył w żadne wróżby, ona nadto się śpieszyła do ślubu upragnionego, żeby się taką fraszką wstrzymać dała.

Zaledwie stanęli u ołtarza, rozpoczął się ślub z taką szybkością, że odpowiedzi ledwie za zapytaniami zdążyć mogły. Zamiana pierścieni, związanie rąk stułą, wszystko to splątało się jak we śnie. — Chwila — i już znowu Twardowski, unosząc na ręku żonę, siadał do

kolasy, a konia swego oddawszy słudze, pędził z nią nazad do Krakowa. Piękna Agnieszka, uwinięta szerokiem futrem, śmiała się i wesoło wyglądając, rychło li przybędą do miasta, odpowiadała śmiało i swobodnie, bez żadnej oznaki wewnętrznego poruszenia na pełne gorących żądz zaczepki męża. Już miało świtać, gdy w mgle dymów porannych ukazały się wieże Krakowa. Wkrótce woźnica jechał już uliczkami przedmieść, i właśnie wśród powszechnej ciszy dzwoniono na Jutrznię, gdy powóz zatrzymał się u wrót kamienicy mistrza.

Te były otwarte; ciżba sług stała, czekając, rozsy ana wzdłuż sieni, wschodów, na ulicy. Dopalały się wiatła, oczekiwaniem całonocnem strawione. — Pilniejsi pachołcy krzątali się, inni pokotem leżąc, drzemali snem porannym. Na górze słychać było wrzawę wielką. P. Agnieszka spojrzała na męża.

— Cóż to za krzyk? u ciebie są goście?

— Sprosiłem ich na wesele — odpowiedział mistrz z uśmiechem.

Pani Twardowska zarumieniła się z radości i poprawiła zmiętej podróżą i uściskami męża sukni. Wtem otwarły się podwoje szeroko, ukazała się wielka sala, wybita czerwonym adamaszkiem ze złotym galonem, wspaniale oświecona. W pośrodku niej był stół połyskujący od sreber, nad nim sterczały liczne głowy biesiadników, których hałas przybywającej kolasy z opicia przebudził i na drżące nogi postawił.

Powitani okrzykiem wesołym, weszli państwo młodzi. Ale zaledwie pani Twardowska odkryła twarz swą ich chciwym oczom, kilka krzyków dało się słyszeć z tłumu, krzyków gniewu, oburzenia, złości, przekleństw i groźby.

— Agnieszka!

— Ona!

— Moja wychowanica!

— Moja narzeczona! — wołali.

Mistrz bowiem wszystkich prosił, a nikomu imienia swej przyszłej żony powiedzieć nie chciał.

Stary p. Stanisław z rozognioną twarzą, przeciskając się, z tłumu gości wyskoczył.

— Mości panie! — krzyknął — to zgroza, to *scandalum!* Waszmość śmiałeś podmówić moją krewną, porwać z mego domu narzeczoną innemu, wpół już jego małżonkę? Waszmość śmiałeś jeszcze jakby na urągowisko mnie tu zaprosić, abym był świadkiem jego rozpusty i na swoje własne upokorzenie patrzał? Dobądź szabli i bij się — jesteś szlachcic.

— Hola! hola! — wołali drudzy, hamując.

— Stójcie! stójcie! — krzyczały kobiety.

Pani Twardowska, zdumiona i przerażona, cofała się za męża. Przystąpił kupiec *pseudo*-narzeczony.

— Waszmość odważyłeś się, następując na *securitatem* uczciwego domu, porwać z niego osobę już mnie za *konsensem* jej krewnych przyrzeczoną? — Waszmość mnie porwałeś moją własność jak zbójca — ja się naprzód bić będę — ja, ja — hola, dajcie mi szabli!

— Cicho, mieszczaku! — ozwał się ktoś z przyjaciół mistrza — nie masz prawa do szabli, boś nie szlachcic, na kije chyba z tobą wystąpi z nas który.

Tymczasem spokojniejsi wszczynającą się wrzawę starali się zahamować, nie dając się do siebie zbliżać rozgniewanym, rozprowadzając ich. Hałas jednak rósł co chwila. Wtem śmiała pani Twardowska wystąpiła z za męża i zawołała do p. Poraja i jego krewniaczka:

— Czego to waszmość chcecie i o co wszczynacie wrzawę? Komuż to z was przysięgłam na niewolę, że mnie swoją, jak bydlę kupione, zowiecie? Jestem li waszmości córką, p. Stanisławie, żeś mną bez mej woli

chciał rozporządzać? Jestem li twoją żoną, panie Dominaszku, że się o mnie, jak o swoją, dopominasz? Co za prawo macie do mnie? jestem sierota, zrobiłam, co chciałam — wy wydziedziczycie i rzecz skończona.

— Nie do ciebie mowa, szalona pałko, — odpowiedział zajątrzony p. Stanisław — ale do tego, co cię porwał. Precz, białogłowo, do kądzieli i garnków, a ty wystąp z szablą! Przypłacisz mi srodze to urągowisko, na jakieś mnie wystawił.

Mistrz, który, jakby go wcale obelgi i groźby nie dotykały, milczał dotąd, uśmiechając się tylko, ozwał się nareszcie:

— Powoli, powoli! Trzebaż wprzódy, żebyście potańcowali na mojem weselu. — Hej, grajkowie, a nu w skrzypce!

Tylko co te słowa wyrzekł, wstąpili na ławy grajki z niemiecka ubrani, i jeszcze się p. Stanisław szamotał, jeszcze klął Dominaszek okropnie, gdy na głos czarodziejski smyczka, klnąc, wrzeszcząc, wywijając kijami i szablami, wszyscy przytomni, przytrzymując się, próżno usiłując ustać, poszli mimowoli w taniec szalony dokoła stołu.

Mistrz ich tak oczarował, że wszyscy, wielu ich tam podówczas było, opętanemi puścili się w skoki, a choć pełni złości, klęli, bić chcieli, popychali się, tańcowali jednak. Zagniewani, zmordowani, bezprzytomni, kręcili się z odgłosem czarodziejskiej muzyki, która nie ustawała. Już dzień był biały, a oni jeszcze zwijali się po sali, podkasawszy pół. Nareszcie p. Stanisław wypraszać się zaczął.

— Mistrzu, — wołał — każ ustać kapeli, ty nas w śmierć pozamęczasz! do licha! uwolń od tej męczarni. Daruję ci wszystko, noga moja u ciebie nie postanie. — W Imię Boga, każ tej przeklętej kapeli ustać! Dominaszku, przytrzymaj mnie z całych sił.

Dominaszek, tańcując, chwytał p. Stanisława, ale ledwie się go dotknął, rozlatywali się, każdy w inną stronę, jak dwie rozpędzone i uderzone o siebie piłki.

Mistrz z żoną śmiał się do rozpuku; aż wreszcie gdy ujrzał, że się dobrze uznoili wszyscy, dał znak. — Ustała muzyka, wszyscy na ziemię popadali, a wielu i powstać nie mogło.

Wnet stół pokrył się misami srebrzystemi, potrawy, dzbanami—rozpoczęła się uczta. Obrażeni jednak, lękając się znowu jakiej zemsty, cichaczem pouciekali do domów.

Mistrz z żoną zasiedli pierwsze miejsce za stołem na paradnych, aksamitem wybitych, krzesłach; otoczyli ich goście, a wśród wesołych wiwatów trwała biesiada do nocy. Nad zmierzchem zniknęli państwo młodzi, pijacy pozostali u kuflów, obżartuchy poszli się z niestrawności kurować.

Całe miasto uważało, że ta noc była niesłychanie długą; a byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że czterdzieści godzin trwała. Inni jednak piszą, że nie dłużej nad dobrych trzydzieści. W tym względzie nic stanowczego wyrzec nie ośmielamy się; wiemy tylko, że Twardowskiemu tak się zdała krótką, iż z tej okoliczności cytował ruskie przysłowie.

XII.

Jak Twardowski żył z żoną, jak z rady djabła ją podsłuchał i co potem uczynił.

Któż nie zna złotych pierwszych chwil małżeńskiego pożycia, kiedy jeszcze z czary miłości spijają się pierwsze słodycze, kiedy pewien urok tajemniczy, pewne nieobznajomienie się połączonych nowym są przysmakiem? Któż nie zna tych dni promiennych szczęściem, nadzieją, kiedy się zdaje, że życie całe upłynie rozkoszą, weselem, zgodą i miłością? Takie dni są nawet najnieszczęśliwiej dobranego stadła udziałem, bo na brzegu czary, która często ukrywa w sobie tyle goryczy, jest zawsze kropla słodkiego szału, odurzenia i rozkoszy. Naówczas małżonkowie wzajemnie jeszcze dla siebie zachowują względy, szanują się, pieszczą, o tyle tylko spoufaleni, o ile poufałość miłości ich jest potrzebna, nie wyzuwają się zupełnie z pewnych form grzeczności, które coś idealnego, nieludzkiego, na pierwsze dni małżeńskich rozkoszy rzucają. Mąż i żona przyglądają się sobie, usiłują się wzajemnie zbadać (bajka to, żeby się wprzódy znać można) i w tem pół zaufaniu, pół niedowierzaniu, nie puszczając sobie cuglów zupełnie, o jakże są jeszcze szczęśliwi!! Nie dajeż to do myślenia, że człowiek, chcący dłuższego szczęścia w małżeństwie, powinien go szukać w uprzedzającem obejściu się i oznakach uczucia, jeśli uczucia prawdziwego nie ma?

Takie, jak wszystkich prawie, były pierwsze dni pożycia Twardowskiego z żoną, oboje byli sobą szczęśliwi. Ona na chwilę zapomniała o swej dumie, o wielkości, sławie i bogactwach, bo pierwiastki gorącej miłości do życia jej wystarczały; on szalenie zakochany u nóg jej, całując jej ręce, patrząc jej w oczy, czuł w tych chwilach, że mu nic nie zostawało do życzenia. Wówczas tylko, kiedy myśl śmierci w oczy mu zajrzała, kiedy piekło, któremu duszę zaprzedał, przypomniał, chmurzyła mu się twarz i zasępiało czoło. Jednakże gdy jaka namiętność całą swą siłą człowiekiem owładnie, łatwo naówczas obce jej myśli topią się i nikną w tym ogniu. — Twardowski też rzadko, coraz rzadziej myślał o piekle. Szatan w kącie na wszystko poglądał, wszystko widział i uśmiechał się pocichu. Wiedział on, że tak zawsze być nie może. Wiedział on, co się działo w głębokich tajnikach duszy pani Twardowskiej i co za przyszłość gotowała się dla nich obojga.

Uchodziły godziny, dnie, tygodnie, miesiące — cały rok tak upłynął, dopiero ku końcowi jego zmieniać się zaczęła pani Twardowska. Jej charakter stracił pierwiastkowych dni słodycz, duma i chęć rozkazywania wychodziły powoli nawierzch. Z początku jednak było to niewyraźnie i delikatnie stopniowane. Mistrz ulegał, śmiejąc się i żartując, zawsze jeszcze zakochany, a zatem powolny. Czasem tylko, kiedy sam na sam z myślami swemi pozostał, chmurzyło mu się czoło, wracały dawne zadumania chwile. Pani tymczasem rządziła się w domu, traciła pieniądze na zbytki, sadziła się na przepychy, coraz nowe sobie wymyślała zabawy. Wkrótce dom dla niej stał się nudny, nowych zapragnęła wielbicieli, nowych gości. Starała się zwabić najzacniejszych, aby się jej bogactwom dziwili, starała się o najrozumniejszych, aby ich mądrością swoją zaćmić, a powoli zapominając o miłości, której tylko

jakby dla formy pierwsze dni pożycia poświęciła, oddała się swej namiętności panującej — namiętności blasku i wielkości.

Niepodobna jest opowiedzieć, jak do tego stopniami przyszło, jak się ten przykryty jej charakter rozwinął i wyjawił, jak zwolna kochanka i żona zmieniła się w panią nieznośną. Twardowski potrzebował spokojności dla myślenia, ona mu rozkazywała bawić pasibrzuchów, którzy śpiewali jej pochwały; chciał w ciszy nad badaniami natury pracować, ona go z sobą ciągnęła w świat nudny, na którym sobie tylko szukała pochwał i oklasków. W domu biedny mędrzec nie miał także pokoju. Nie było swobodnej godziny i kąta. Po jego księgach biegały jejmościne psy i papugi, które dlatego mieć chciała, że je miała królowa i wojewodzina. Mistrz musiał ciągle tylko jej służyć.

— Pójdź tam, zrób to i t. p. — były wkrótce jedynemi jej do niego wyrazami. Z początku słodziły to niby serdeczne wyrazy — drogi — serce — duszo; potem i od tego się uwolniła, a poczuwszy swą siłę, jak koń, który zaczyna od kłusa a kończy na cwale, leciała, wziąwszy na kieł.

Jest jednak chwila, w której i najpowolniejszy człowiek obejrzy się, i najcierpliwszy zniecierpliwi, i najłagodniejszy oburzy. Ta chwila zbliżała się i dla mistrza, którego tylko dotąd nienasycona miłość trzymała w niewoli. Coraz mniej jednak czuły, coraz smutniejszy, wkońcu pozwalał sobie niekiedy się zlekka sprzeciwiać, okazywać nieukontentowanie, lub nie posłuchać małżonki. Potem przyszło do tych nieporozumień kilkogodzinnych, kończących się zawsze wieczorem, gdy piękna żona związywała włosy i kłaść się miała w łóżko. Z tych kłótni krótszych przyszło do kilkodniowych i całoniedzielnych; a choć świat jeszcze nie widział, co się tam działo w tem stadle, choć powierz-

chownie była zgoda, wewnątrz kipiała wojna i gotowały się burze.

Bo wszystko przychodzi nieznacznie. Tak czas nieznacznie nas starzy, tak boleści nieznacznie nas podjadają, tak miłość nieznacznie nas wikła, tak niezgoda poczyna się z małego, a pożar od iskry. Tak też początkiem wojny domowej były tylko milczenia i dąsy, potem krótkie swary, kończące się uściskiem wieczornym, potem nareszcie nieznacznie przyszło do głównych kłótni. Gdy raz przenocowała pod poduszką niezgoda, już zamieszkała w domu. Pomiarkowali oboje, że walką żyć będą, uzbroili się i nuż do boju!

Ale ciężka była walka z mistrzem! Miał on za sobą naukę, rozum, język i słowa na rozkazy, czary na pomoc, tysiące tajemnych sposobów — ona tylko upór niewieści i potrzaskaną broń swoją, resztki niedogasłej dawnej miłości. Ale prędko w tej wojnie domowej ostatki jej spłonęły — wspomnienie tylko, jak czarny węgiel zostało — więcej szkodliwe niż pomocne. Wkońcu już tylko widywali się, żeby się kłócić, a djabeł, o! jakże się śmiał wówczas i poklaskiwał!

Raz wszedł on właśnie do komnaty mistrza, gdy ten spocony, rozgniewany, po długiej jakiejś sprzeczce z żoną, zadumawszy się ponuro, siedział.

— Dobrywieczór ci, mistrzu! — rzekł. — Dawnośmy się nie widzieli — ale, nowe sitko na kołku. Mógłbym myśleć, mimo twego ożenienia, że cię coś dręczy tak jesteś smutny i taką widzę w tobie boleść. Miałyżby tak prędko przyjść już złe czasy?

— Jedno nic! jedno nic! — odpowiedział Twardowski, pocierając czoła — drobnostka, pewne domowe kłopoty, nieoddzielne od małżeńskiego życia, *malum necessarium*.

— Widzę ja wszystko, co się dzieje, nie zmyślajcie przede mną — rzekł djabeł, śmiejąc się. — Czytam

v twojej duszy, jak w liście do mnie pisanym. Pozwoiszże, mistrzu, przypomnieć, jakie naówczas obiecywaeś sobie szczęście, gdym ja stale odradzał ci teraźniejszych związków?

— Nie myliłem się, obiecując sobie szczęście; to są małe przechodzące chmurki.

— Chmurki te, mistrzu, codzień się stają czarniejze, twoja żona straszniejsza co chwila — wiesz to sam lobrze, nacóż chcesz to ukrywać przede mną?

— Któż ci powiedział, że temu przyczyną moja żona?

— Jeszcze pytania? a! na siódmą otchłań siarczyą, alboż zapomniałeś, że wiem zawsze o wszystkiem nie opuszczam cię nigdy?

— Ha! kiedy wiesz wszystko, — rzekł mistrz — no dajże mi radę.

— Radę? teraz! zapewne! kiedyś się zabrał z nią a wiekuiste gołąbkowanie! Ale czemuż nie słuchałeś, dym ci radził wprzódy uwieść ją, wyssać co miała słoyczy i rzucić jak brzydką łupinę owocu, który na wilę chłodził?

— Dlaczego? Tak chciałem! i dosyć; miałem tem moje myśli — mój sposób widzenia rzeczy.

— Zrobiłeś jak chciałeś, a skończyło się, jakem ja rzepowiedział — rzekł djabeł z wiecznym śmiehem. — Teraz czas, żeby się to twoje głupstwo prze- e skończyło.

— Jakże się ono ma skończyć?

— Dość będzie, gdy ją poprostu wypędzisz.

— Żebym ja! ja! wypędził żonę z domu! Oszalaś — cóżby na to ludzie rzekli?

— Ludzie! W czas opatrzyłeś się, że ludzkie gadanie potrzebne ci jest do szczęścia.

— Ależ, djable, toby było szkaradnie, wypędzić żonę.

— Jaką żonę?

— Przecież jest moją żoną.

— A tak! bo ja wam ślub dawałem!

Mistrz trochę był o tem zapomniał i uwikłany w życie pospolitych ludzi, przywykł się był uważać jak najprawdziwszym mężem.

Nastąpiła chwila milczenia, po której ozwał się Twardowski:

— W istocie jednak nie jest ona tak złą, jak się zdawać może tobie.

— Jest gorszą, niż ty myślisz, — odpowiedział szatan — widać tylko, że ją jeszcze kochasz. Ha! żyj z nią, jeśli chcesz jeszcze, kiedy ci się tak to życie podobało, lecz chcesz li się o jej cnocie przekonać?

— Ona mnie zdradza! zdradza! onaby mnie śmiała zdradzić! innegoby kochała! — wrzasnął zapalczywie, porywając się z miejsca i lecąc do szatana, Twardowski. — To być nie może! to niepodobna!

A djabeł zimno, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział:

— Tak jednakże jest. Ona cię zdradza!

— Ty mi to musisz dowieść! to być nie może!

— Tak jest!

— I dla kogóż? mów! mówże!

— Zwyczajnie, dla świeżego młokosa, — odpowiedział djabeł powolnie — trwa to już dobrze od dwóch miesięcy. Dla owego p. Krzysztofora, owego wymuskanego komornika królewskiego, w którego głowie tyle jest rozumu, ile w czaszce zdechłego konia.

— To być nie może! to niepodobna! — wołał mistrz — pójdę, pójdę! przekonam się i zabiję ją!

— Idźże, idź! ale pozwól sobie na pożegnanie powiedzieć, że nie widziałem głupszego nad ciebie mędrca. Zamiast czekać przekonania, zamiast powolnie się i rozważnie zemścić, dozwolić sobie rozkoszy, prawdzi-

wej rozkoszy zemsty, ty chcesz, żeby ona ciebie zgromiła, płaczem pokonała, ogłupiła i nadal rozumniejsza, związała ci na nowo głowę i ręce do wiecznej niewoli!!

— Cóż mam poradzić? co mam robić? — rzekł mistrz — mów, dyktuj — mnie pali.

— Czekaj, wysłuchaj mnie cierpliwie. Udaj (to ci łatwo przyjdzie), że cię dziś wezwano do chorego, wyjedź niby w kilkunastumilową podróż. Ona niechybnie, jak tylko ty stąd wyruszysz, wezwie do siebie kochanka. W nocy drugiemi drzwiami od ogrodu wkradniesz się do swej komnaty, będziesz mógł podsłuchać ich rozmowy i przekonaną naówczas wypędzisz z domu haniebnie.

— Dobrze tak! dobrze! lecz nie chcę jej wprzód widzieć, — rzekł Twardowski — bobym w sobie tajemnicy nie potrafił utrzymać.

To mówiąc, klasnął na sługę i posłał go z oznajmieniem do pani, że pilno wyjeżdżać musi w drogę na dni kilka.

Chwilka ledwie minęła, gdy szatan ukazał mu przez okno tylnemi drzwiami wychodzącą z kamienicy służącą i powiernicę pani.

— Oto już idzie po gaszka, — rzekł — złapiem ich w pułapkę niezawodnie.

Nadeszła przygotowana kolasa, Twardowski ruszył z domu, a szatan niewidzialny pozostał na czatach.

O! jakże niecierpliwie, odprawiwszy konie za miasto, sam w gospodzie pod Florjańską bramą ukryty, oczekiwał oznajmienia! o jak mu z gniewu, z oburzenia, z niecierpliwości serce biło i krew po wszystkich żyłach wrzała! Nareszcie nadleciał szatan, z uśmiechem prawdziwie piekielnej radości na ustach, i rzekł tylko:

— Chodźmy!

Noc była pogodna i jasna, sunąc się pod ścianami kamienic, dostali się pocichu do ogródka na tyle mistrzowskiego dworu. Tu otworzyli furtkę, cicho przeszli ulicę i wkradli się niepostrzeżeni do izby, dotykającej wprost sypialni. Stanęli.

— Gdzież są? — spytał, drżąc, mąż.

— Tu obok, — odpowiedział djabeł — słuchaj tylko cierpliwie, przez drzwiczki dojdzie cię ich rozmowa. Dla ucha męża niema podobno ciekawszej w świecie nad jego żony z kochankiem!

Twardowski, unosząc ogromną szablę drżącą w jego ręce spotniałej, przysunął się do drzwi blady, zdyszany, nieprzytomny, i słuchał.

W sypialni była taka rozmowa:

. . . . . .

— Nieprawda, nieprawda, panie Krzysztoforze! nigdym mego męża nie kochała!

Był to głos pani Twardowskiej, pierwsze te *słowa* mąż usłyszał.

— Ależ, moja Agnieszko (był to głos gacha), dla niego przecie odmówiłaś tak bogatemu Dominaszkowi, zrzekłaś się po Porajach dziedzictwa! Ja to wiem wszystko! Dałaś się nareszcie wykraść, i to wielka ofiara.

— Żem odmówiła temu głupcowi Dominaszkowi.

— To nie dziw zapewne, — przerwał głos gacha — ale zapisy Porajów! wioski, kamienice, kapitały! sto razy rozumniejsze od Dominaszka! tak rozumne!

— Twardowski był i jest bogatszy, niż Dominaszek i wszyscy Poraje — wyrachowałam się dobrze.

— Przecież wyznaj, Agnieszko, — nalegał znowu głos gacha — w pierwszych chwilach, ja patrzałem na was, tyś go widocznie kochała.

— Musiałam dobrze udawać, — odpowiedział głos Agnieszki — kiedym was wszystkich, nie tylko jego

jednego, zwiodła! Trzeba łepu na ptaki i miłości na podciągnienie mężów pod swoje panowanie. — Raz w siodłach, nie tak się łatwo rozwikłają.

— Zaiste! zręczna z ciebie niewiasta, na Boga! — rzekł p. Krzysztofor ze śmiechem — a twój Twardowski, którego tak wielkim mędrcem i czarnoksiężnikiem głoszą, bardzo głupi, że się na sztukach nie poznał. — Ale któżby się niewieściej udawanej miłości nie dał podejść, gdy ona dumę łechce, a takie jeszcze oczy o niej mówią.

Tu usłyszał mistrz pocałunek i chciał już drzwi otworzyć, ale go szatan wstrzymał jeszcze.

— Posłuchajno jeszcze trochę, — rzekł — może się znowu czego ciekawego dowiesz.

W sypialni ciągnęła się dalej przerywana tylko pocałunkami rozmowa.

— Powiedzże mi, — był to głos Krzysztofora — czy prócz bogactw Twardowskiego, nic więcej nie skłoniło cię pójść za niego? Starali się o ciebie przecie ludzie bardzo bogaci.

— Słuchaj, trzeba, żebym ci się przecie wytłumaczyła — odpowiedziała kobieta. — Z tobą muszę być szczerą. Wolałam go od innych *za męża,* bo był razem bogaty, sławny, znaczący. Całe życie śniło mi się bogactwo, sława i wielkość; wszystko byłabym za nie oddała. A że był razem mój mąż bogatym, sławnym i znaczącym, nie wahałam się i chwili, czułam, że mi tylko tego do mojego szczęścia potrzeba.

Po chwilce:

— Nie wiedziałam, że i miłość do życia potrzebna, bom ją przy tobie dopiero poznała.

Tu nowe były pocałunki i uściski.

— Nie rozumiem jednak, za co — rzekł mężczyzna—głoszą Twardowskiego wszystkowiedzącym czarnoksiężnikiem, gdy on daje ci się zwodzić tak spokoj-

nie i niczego się ani domyśla; nie domyśla się, że ty nie jego, ale bogactw jego i sławy żądałaś, gdyś mu rękę oddawała.

Przypomina mi to przypowieść wielkiego naszego poety, który

ziemię przemierzył i głębokie morze,

ale ci jej nie powiem całej!

Uśmiechnął się p. Krzysztofor.

Po chwili znowu głos Agnieszki:

— Tak to zawsze wychodzą wielcy mędrcy owi, którzy zapatrzywszy się w niebo, nie mają czasu ziemi widzieć. — Zresztą, cóż dziwnego, że w nim znalazłam jedno, czego mi było potrzeba, w drugim resztę. Jego jestem żoną, twoją kochanką, jego mam sławę i bogactwa, twoją miłość, nim żyję dla świata, tobą dla siebie. Oba te życia składają jedno dopiero całe.

— A ja zawsze powtarzam swoje, bo się temu wydziwić nie mogę, — rzekł gaszek — cóż to za głupi mędrzec!

Tu już dłużej Twardowski powstrzymać się nie mógł, otworzył drzwi z trzaskiem, wpadł do sypialni z szablą podniesioną i dwa ogromne krzyki spłoszonej pary dały się słyszeć.

P. Krzysztofor chwycił za leżącą blisko szablę swoją, ale w ręku swem zdziwiony ujrzał tylko wiszący od rękojeści kawał płótna. Twardowski w gniewnem milczeniu oczyma ich mierzył.

Pani Twardowska kryła się w łóżko, nurzając głowę pod wezgłowia.

— Ha! nieprawdaż, — krzyknął do gacha — głupi Twardowski — tyś tylko mądry i ona mądra! on głupi, głupi, bo na was czatował; głupi, bo was złapał; głupi, bo was przykładnie ukarze — głupi, Agnieszko, twój mąż! głupim ja, panie niewieściuchu, podwikarzu! Tyś mądry, żeś dał się złapać w pułapkę! o! tyś dopiero

mądry! No! pokażże teraz wysoką mądrość swoją i wywiń się z tego — i ty także, śliczna pani, tak biegła w oszukiwaniu. — Od ciebie naprzód zacznę.

Nie jesteś i nie byłaś moją żoną, bo nie ksiądz, ale nie wiedzieć kto ślub nam fałszywy dawał. Precz z mego domu, nierządnico — precz! Idź żebraj, nędzna, po ulicach, lub siądź gdzie pod straganem garnki sprzedawać, ty, coś całe życie o wielkości i bogactwach marzyła. — Idź i spróbuj nędzy! precz z mego domu, nierządnico paskudna!

Klasnął na sługi, którzy przybiegli.

— Wyrzućcie ją — zawołał — za próg domu, a jeśli się tu więcej pokaże, osmagajcie ją rózgami. Nie chcę ci życia odejmować, lepiej cię ukarzę pogardą i nędzą!

Precz, nierządnico! wyrzućcie ją stąd!

A słudzy porwali ją i wyciągnęli płaczącą za wrota domu. Dawno oni ją nienawidzili, to też ściśle i bez litości dopełnili rozkazu.

— Ty zaś, mój miły gaszku, coś się tak żwawo do szabli porywał, zważając, żeś nie tyle winien, masz tylko dwadzieścia lat pokuty, które przeżyjesz w psiej skórze, błądząc po ulicach. Tak, w psiej skórze, w skórze parszywego kundla, którego gnać będą kamieńmi i odpędzać ukropem od wrót; idź za twoją kochanką, miły gaszku!!

Ledwie to wyrzekł, p. Krzysztofor, zmieniwszy się w obrzydliwego psa, zaszczekał, zawył i uciekł, popędzany razami nielitościwych sług. To był początek zemsty Twardowskiego.

XIII.

Jako się mścił jeszcze Twardowski.

Po tej próbie małżeństwa Twardowski zmienił się bardzo. Zrazu szukał on kobiet, potrzebując ich jeszcze i mniemając, że znaleźć potrafi taką, która go szczerze pokocha. Ale próżne to były nadzieje. Gdy głupcy łatwo bardzo dostać mogli kochanek, które za nimi szalały i mężów nawet dla nich zwodziły, on nie potrafił znaleźć żadnej, coby go inaczej, jak dla jego złota lub sławy, kochała. Czemuż to? Bo podobno kobiety lubią głupszych od siebie kochanków, nie czując się z nimi upokorzone. One to bardzo lubią wyższość swoją utrzymać i rozkazywać wszystkim, co ich otaczają. — Musiał się więc sam oszukując, ogranicza Twardowski tą głupią miłością, zapłaconą, udawaną która nie nasyca; a jednak chwyta się jej niejeden, gdy łaknąc namiętności, szlachetniejszego przedmiotu nie znajdzie; tak jak myśliwiec pije wodę z brudnej kałuży, gdy go pali pragnienie, a czystego nie widzi źródła. Tak i mistrz, porzuciwszy żonę, znał tylko potem towarzystwo owych zepsutych kobiet, które złotem kupował. Djabeł, śmiejąc się, podstawiał mu przed oczy coraz wdzięczniejsze postacie, a kiedy Twardowski, smutny nieraz, myślą wszystkie zawody swego życia przypominał, on mu szeptał:

— Wierz mi, mistrzu, innej miłości niema, chyba dla głupców, co w inną wierzą! Może być przywiąza-

nie nałogowe, namiętność zwierzęca, dziecięcy szał platoniczny; ale tego, co ty zwiesz miłością *per excelentiam,* tego niema na świecie, jak Feniksa i Syreny, chociaż Feniksa także i Syreny opisują bardzo uczeni i poważni ludzie. Są to wszystko poetyczne bajki.

Mistrz więc musiał się, rad nierad, kontentować tem, co mógł posiadać, to jest najgorszą częścią miłości, miłością bydlęcą. Szatan umyślnie wmawiał mu, że innej nie było, bo się lękał, aby prawdziwa miłość nie uczyniła mistrza cnotliwym, tak jak czyni wszystkich istotnie zakochanych.

Długie tak znowu upłynęły lata . . . .

. . . . . .

Kilka już przeszło od czasu rozwodu mistrza z żoną, gdy on raz wracał do miasta od chorego, otoczony służbą i dworem swoim, jak zawsze, skrzywiony i znudzony, niewyspany, udręczony myślami ciężkiemi, które zwykle opanowują głowy ludzi zużytych i znużonych życiem.

Wjeżdżał właśnie z pocztem swym na rynek, gdy obróciwszy się bez myśli, ujrzał coś, zastanowił się i gorzko uśmiechnął.

Ujrzał był właśnie Agnieszkę, niegdyś swoją żonę, która w lichej budce, przylepionej do ściany jakiegoś domu, siedziała smutna, blada, nad stosami garnków.

Okrywała ją podarta i brudna suknia, oczy miała wpadłe, włos poprzylegał do skroni, usta zsiniały, a z wdzięków dawnych został tylko straszny wyraz oczów, który jak dawniej kochanków, teraz kupców odstręczał. U nóg jej leżał szkaradny pies bury, niegdyś jej kochanek, którego ona teraz przez litość karmiła...

Na ten widok serce mistrza zawrzało nowym gniewem, nową żądzą zemsty, odwrócił się do sług i rzekł:

— Widzicie tę niewiastę nad garnkami siedzącą?

Jest to niecna złodziejka; idźcie i wytłuczcie jej garnki i psa jej obijcie.

Na rozkaz mistrza pobiegli słudzy z kijmi, a wkrótce ulica rozległa się wrzawą przekupki i wyciem burego kundla.

Gdy się to działo, mistrz powolnie przejeżdżał mimo kolasą złoconą, nasycając się płaczem Agnieszki, która, poznawszy go, zasłoniła twarz rękoma i padła na ziemię.

Szatan unosił się w powietrzu nad głową mistrza i poklaskiwał z całych sił.

Odkrywszy ostatnie schronienie biednej Agnieszki w lepiance lichej, ile razy przejeżdżał mistrz tamtędy, tyle razy ludziom swoim garnki jej wytłukać i psa bić kazał; aż póki, przywiedziona do rozpaczy, gdzie indziej się nie przeniosła.

W sercu Twardowskiego niczem nienasycona gorzała zemsta. Nie tyle mu chodziło o zdradę samą, jak o to, że się dał oszukać. Dla niego było to boleśniejszem nad wszystko. On także był dumny. Nie żałował już potem jej miłości, ale bolał krwawo, że się poniżył i zhańbił w oczach ludzi. Mógłże jej kiedy obrazę swej miłości własnej darować? Jest to jedno, czego dumni przebaczyć nie umieją, nigdy i nikomu.

XIV.

Jako Twardowski przeszłości swej żałował i z djabłem się kłócił.

Ale wszystko się kończy żalem, mało jest rozkoszy tej ziemi płaczu, którymby prędzej, później nie towarzyszyły zgryzoty, za któremiby nie szedł wślad smutek. Albo się żałuje upłynionych chwil jako postradanego dobra, albo się płacze steranego w boleściach żywota, albo to, co było szczęściem, w nudę się zmieni przesyceniem. Zawsze żal wkońcu.

Tak było i z Twardowskim, który niczem nie zaspokojony, ani nauką, ani światem, którego używał, tęsknił i żałował, że wieczność całą przed sobą zamknął. Począł przeglądać się, że zły handel zrobił z szatanem, że nic nie może opłacić duszy i nieśmiertelności. Bo wszystko, co otrzymał w zapłacie, było tylko przemijające, z nim ginęło; nie mogło nawet pocieszać przeszłości wspomnienie, gdy się żadną nie podpierało przyszłością; a nadchodząca wydawała się czarną i groźną. Póki dalsza była od niego ta przyszłość, nie tak mu dopiekała, nie tak była straszną, lecz co godzina, co dzień zbliżała się; Twardowski drugi już raz widząc siwiejącą głowę, stękał i ubolewał nad krótkością życia ludzkiego. A jednak żył tak długo! Z dzisiejszego stanowiska wszystko wydawało mu się tak próżnem; nauka tak czczą i małą wobec świata i światów, rozkosze tak drobnemi punktami wobec wieczności.

— I toż to życie! — mówił. — Gdzież nasycenie mądrością, któregom się spodziewał! Marzenia o szczęściu w nauce do czegoż mnie stanowczego przywiodły? Do żalu za straconą przeszłością. — Do czego mnie przywiodła żądza użycia świata? Do przesytu i zniechęcenia wszystkiem!

W głębi serca, choć się tego sam przed sobą wstydził, żal mu było najbardziej. — Czego? zgadnijcie.

Oto chwil tych pierwszej młodości, chwil prostej wiary, cnoty i pobożności, owych chwil złotych, w których nie myślał nawet, aby mu życie kiedy tak szumnem a tak gorzkiem być miało.

Naówczas zdawało mu się, że na zagonie ojców w zagrodzie cichej, spłynie to życie w pobożnem rozmyślaniu, przechadzkach, cnotliwej miłości, pożyciu z żoną i dziećmi.

Później, prawda, śmiał się nieraz Twardowski z tego obrazu spokojnego szczęścia i zwał je *szczęściem głupców;* lecz skosztowawszy wszystkiego, gdy po wszystkiem gorzki tylko smak został mu w ustach, wzdychał przecie za tem życiem; bo to jedno widział równie czystem u źródła jak u ujścia, to jedno nie miało mętów na dnie.

— Nacóżem tak bardzo oddalił się od przeznaczonego mi żywota? — mówił do siebie. — Cóżem zyskał na zamianie? zgryzoty. Na grzędzie ojcowskiej byłoby mi tak spokojnie, tak swobodnie, tak cicho! Byłbym się nauczył cenić to, co dziś żadnego na mnie przez przesyt wrażenia nie czyni, ciszę, piękny widok świata; byłbym kochał wieś, wiosnę, naturę, byłbym szczęśliwy w ciszy, na poziomie, ale jednostajnie i bez zgryzot ciężkich sumienia. Żona moja byłaby zapewne, jak moja matka — aniołem!!

Mimowolnie Twardowski teraz coraz częściej wspo-

minał matkę; ile razy to czynił, było mu na sercu, jakby je kto pokropił balsamem.

Ale gdy spojrzał potem z tej przeszłości, którą od siebie odrzucił, pod nogi — widział piekło otwarte. Drżał, myśląc, że tam nie pójdzie z nim nawet wspomnienie matki, ani chwil dziecinnych, bo z potępionym do piekieł idzie tylko zgryzota i pamięć zbrodni.

I znowu, i znowu mierzył myślą życie ubiegłe, i znowu wracał do tych chwil młodości, chwil religijnego zapału, chwil głębokiej wiary, gdy uczniem jeszcze będąc, składał pobożne pieśni do Matki Bożej i Świętych Pańskich, które dotąd lud pobożny śpiewał po kościołach jeszcze. — Kiedy wspomniał na uczucie, z jakiem to czynił i czyste szczęście, jakiego w zapale religijnym doznawał, podwójnie, dziesięćkroć żałował, że te chwile nie miały żadnego związku z dalszem jego życiem, a nić ich się zerwała.

Często i coraz częściej w podobnem dumaniu upływały mu całe noce, jeśli szatan, nie opatrzywszy się wcześnie, nie poddał mu na miejsce tych myśli innego jakiego zatrudnienia, lub chwilowo odurzającą nie opętał go rozkoszą.

Przy schyłku coraz smutniejsze stawało się życie mistrza; czuł zbliżającą się chwilę, w której go szatan miał porwać do piekła. Nieraz mu na myśl przychodziło ratować się czem od tej ostateczności, ale ile razy wspomniał na swoje grzechy, tracił zupełnie odwagę. Kamieniem przywalone miał sumienie.

Raz tak noc całą przedumał Twardowski, porównywając swoje życie, jakiego pożądał, z tem, które mu los wyznaczył, przekonywając się co chwila, że wola i rozum człowieka nie są mu dostateczne do pozyskania szczęścia, że wybór, jaki namiętność czyni, prawie zawsze jest fałszywy i żal wiedzie za sobą.

Już piały koguty i ranek nadchodził, gdy jeszcze

mistrz, sparty na dłoniach, gorące swoje i poorane troskami czoło na poranny chłód wiosenny wystawiał i pełną piersią wciągał powietrze, aby się niem orzeźwić. — Naprożno!

W głowie były płomienie, żar w piersiach, które z trudnością poruszały się, jak stare zardzewiałe zawiasy zużytych wrót.

Pusto było dokoła, tylko Maciek pająk snuł sieć swoją w oknie. Mistrz spojrzał na niego i rzekł w duszy:

— I on szczęśliwszy ode mnie!

Gdzież moja sława i co mi z niej? — gdzie życie moje i co mi z niego? gdzie moja mądrość, której poświęciłem tyle? Oto w tym czerepie oblazłym, który zowią głową i koroną człowieka, mózg mieszkanie duszy, mądrości, pamięci, uczuć. — Mózg ten, jak stara chata, wiatrami i burzą połamana, osuwa się i chyli. Ciasno już w nim duszy i mądrości i nauce, a ta, którą zakupił kosztem wieczności mądrość, wkrótce mi uciecze, bo mieszkanie jej będzie niewygodne i ciasne!

Gdybyż choć wspomnienie szczęścia? Ale byłoż to szczęściem, co się niem zwało u mnie? Dziś, prócz kilku chwil młodości, wszystkie wspomnienia moje czarne jak węgiel.

Wtem, gdy tak duma, gdy powietrze chwyta, ranek się wyjaśnił, dzień powstał, mieszczanie pootwierali okna i pobożne pieśni śpiewać zaczęli.

Wśród ciszy porannej usłyszał mistrz jedną z tych pieśni, pieśń, którą był ułożył, będąc jeszcze młodym, na cześć Boga-Rodzicy. — Usłyszawszy ją, tak gorąco przypomniał sobie tę ubiegłą młodość wiary i nadziei w niebo, tak gorzko jej pożałował, że załamawszy ręce i spuściwszy oczy, słuchając pobożnej pieśni, która przez otwarte okno, z porannem powietrzem wciskała się — zapłakał!

O! były to łzy gorzkie, nigdy nie widziane na jego wyschłej twarzy, pierwsze łzy od kilkudziesięciu lat — ale łzy rozpaczy!

A pieśń pobożna rozlegała się daleko, płynęła w powietrzu, czysty, spokojny głos jakiegoś rannego pracowitego człowieka nucił ją swobodnie, zaczynając dzień modlitwą.

Jemu musiało być tak lekko — mistrzowi tak ciężko na sercu, tak gorzko, tak okropnie! Łzy wielkie płynęły mu z oczów na suknię, a w niemej rozpaczy, z załamanemi rękoma, stał tak długo — długo, stał i płakał, i milczał, i myślał o swojej młodości.

Potem nagle, gdy całą tę przeszłość ujrzał przed sobą, ów domek ojca spokojny, owe szczęście wiejskie, życie pobożne i cnotliwe, do których wrócić już nie było można — porwał za okno drżącemi rękami, zatrzasnął je i odskoczył. Obrócił się.

Za nim stał szatan.

— Niema co mówić, — rzekł szatan szydersko, patrząc na zaczerwienione oczy mistrza — to była wcale piękna piosenka!

Twardowski obwinął się w milczeniu opończą, usiadł w krzesło i nic nie odpowiedział. Po chwili djabeł rzekł znowu:

— Ale żart na stronę. Ty się, mistrzu, bardzo starzejesz i zaczynasz, jak zazwyczaj starzy, żałować lat młodych. Widać, że ci już życie obmierzło. Ot wiesz co, weź już laskę pielgrzymią i idź do Rzymu.

— Ha! tego ci się chce? — rzekł mistrz z gniewem — poczekasz jeszcze.

— A wszakże muszę czekać, kiedy tak stoi napisano, że cię w Rzymie dopiero porwać mamy — rzekł djabeł. — Ale i waszmości samemu czy nie zdałoby się, że już czas to nędzne życie ukończyć? W istocie w piekle nie jest to już tak bardzo a bardzo źle jak

powiadają. No jużciż nie ze wszystkiem dobrze, to prawda, naco kłamać, ale jednakże przesadzają znowu i bardzo przesadzają w opisach.

Mistrz milczał upornie, a świeżo jeszcze wylane łzy i świeże jeszcze myśli o młodości złością go przeciw szatanowi niecnemu burzyły, któremu przypisywał wszystkie życia swego nieszczęścia.

— Widzę, że waszmość nie w humorze — rzekł szatan. — Wielka szkoda! trudno będzie z waszmością dysputować. Ale prawdziwie tak piękna wiosna, tak to piękny i ciekawy ten włoski kraj i stolica dawna świata Rzym, że w własnym waszmości interesie muszę mu, nawet dla jego zdrowia, radzić tę podróż. Waszmość nie uwierzysz, ile to jest rozkoszy w podróżach. Ja, co się ciągle tłukę po świecie, mogę mu zaręczyć, że nic jej nie zrówna. A Włochy, miłościwy panie! Włochy! kraj cudów! a Włoszki! kobiety z lawy Wezuwjusza! A Rzym mianowicie, Rzym! Rzym! co to za miasto! Wierz mi, mistrzu, tak jesteś smutny, tak przybity, że dla ciebie jedynem widzę lekarstwem podróż do Rzymu.

W ciągu tej szyderskiej perory Twardowski siedział zmarszczony i milczący; porwał się wreszcie i krzyknął, księgę w rękę chwytając:

— Na piekło, djable, nie nudź mnie więcej i idź precz! Przysięgam, że noga moja nie postanie we Włoszech i w Rzymie!

— A! to coś osobliwszego! — rzekł szatan — cóż z naszą umową się stanie, w której artykuł XIV, paragraf trzeci stanowi, że cię mamy porwać w Rzymie?

— Radź sobie jak chcesz — odpowiedział mistrz.

— To ostatnie słowo waszmości? — spytał djabeł.

— Ostatnie moje słowo — idź precz!

Djabeł grzecznie się skłonił i milczący wyszedł z izby.

XV.

Jako djabeł zbudował szlachcicowi karczmę.

Pomimo grzecznego ukłonu, djabeł bardzo zmartwiony wyszedł z izby i skrobał się w głowę mocno, tupał nogami, chrapał, nie wiedząc, co począć z sobą. Nie w smak mu bardzo były te żale młodości, coraz częściej opanowywujące Twardowskiego. Bał się jakiego nawrócenia i rad był przyśpieszyć porwanie go, ale nie mógł wymyśleć sposobu, jakimby go do Rzymu wyprawił. Co gorzej, świeżo się tak mistrz zaklął, iż do Włoch nie pojedzie! Trzeba było fortelem go jakimś zażyć.

— *Ergo!*—rozumował sobie djabeł (djabli sobie nadewszystko potężnie argumentują) — nie będzie w Rzymie, jeśli nie będzie we Włoszech, i *ergo* my go porwać nie będziemy mogli. Co tu począć? W cyrografie nie stoi — *Roma Italiae! Vivat!* Można poszukać drugiego jakiego Rzymu, albo jaką *Roma Polonorum* skomponować. Proszę, co to jest brak ostrożności! Gdyby tylko był dodał: — *Italiae!* nie mógłbym mu dać rady!...

Tak pomyślawszy i plan swój osnuwszy, rozpuścił szatan skrzydła i poleciał.

Leciał on dość długo, aż go uderzyła nowa karczma, na drodze pod Sandomierzem stojąca, jeszcze nie ze wszystkiem skończona. Nie miała jeszcze murów,

okien, dachu poszytego, goły tylko stał zrąb, a nad nim krokiewki chude.

Koło niej latał na koniu szlachcic, lamentując i krzycząc.

Djabeł, zawsze ciekawy, spuścił się wnet ku niemu pod postacią chłopka, wyszedł z za węgła z czapką w ręku i słuchał, skrobiąc się w głowę.

Szlachcic wołał głośno:

— O! przeklęci majstrowie! przeklęta hałastro! Daj Boże spotkać się z wami gdzie na drodze, albo gdy tylko przez moją wieś przechodzić będziecie! Pokażę ja wam, co to znaczy ze mnie sobie żartować! Dam się ja wam we znaki i porobię pamiątki na plecach!

Dlatego, żem ja raz w terminie nie zapłacił ich głupiego jurgieltu, porzucili mi ciesielkę i mularkę i porozchodzili się do stu czartów! Jestże to sprawiedliwość? A tu mój mieszczanin sandomierski, któremum karczmę najął, żąda zwrotu swoich pieniędzy i załogu, jeśli mu karczma w termin nie stanie! Do stu kaduków! Termin tak bliski! Majstrów ani dostać! Te łotry jeszcze rozgłosili, że ja nie płacę!

— Za pozwoleniem jegomości dobrodzieja, — rzekł djabeł, wysuwając się z miną pokorną. — Słyszę narzekanie, że karczma w terminie skończona być nie może. A nie mógłbym ja wiedzieć, kiedy to ten termin?

Szlachcic obejrzał się pogardliwie na chłopa i odpowiedział:

— A tobie, chamie, co do tego! Może te łotry wysłali cię tu na szpiegi? Dam ja ci, zuchwalcze! Jeszcze śmiesz mi się urągać.

— Niechno się wasza miłość nie gniewa — odpowiedział szatan. — Ja jestem wędrujący rzemieślnik, potrzebuję roboty, mam swoją czeladź, mógłbym się o tę robotę ugodzić.

— Ty, obdartusie?

—A kiedy termin wasz?

— Kiedy! kiedy! za dwa dni! — odparł szlachcic ze złością.

— No, to karczma stanie gotowa — rzekł djabeł śmiało.

— To być nie może!

— Będzie — rzekł djabeł znowu.

— Jakto, chamie! tu jest na miesiąc roboty!

— Na godzinę ledwie, ściśle biorąc — odpowiedział, oglądając się, szatan.

— Chyba ci djabli pomagać będą?

— Choćby i tak, to waszej miłości nic nie szkodzi.

Szlachcic spojrzał w oczy mniemanemu chłopu, a ten się uśmiechnął.

— No! a co mi pan za to da? — rzekł szatan.

— Co ci dam! hę! — Ależ to być nie może, żebyś tego dokazał. Wieleż ty masz czeladzi?

— Jedną głowę i dwie ręce — odpowiedział szatan.

Szlachcic, coraz bardziej odpowiedziami chłopa zdziwiony, ramionami poruszył, odwrócił się i zawołał:

— To być nie może, żebyś ty to zrobił! Drwisz ze mnie, chamie. Gadaj, wiele masz czeladzi?

— Co waszej miłości do mojej czeladzi, byle jutro karczma była gotowa — rzekł chłop. — Jak nie będzie, a zawiodę, dasz mi sto nahajów! zgoda?

— Zgoda! — rzekł szlachcic, mimowolnie śmiejąc się i potrochu zaczynając się lękać. — Ale ty masz coś minę, jakbyś sobie drwił ze mnie? Może ten łotr, mieszczuk cię namówił, na którego mam podejrzenie, że i tamtych majstrów pobuntował, knując tylko, żeby, gdy karczma wczas nie będzie, załóg wziąć ode mnie! Ej! tylko ostrożnie wszakże ze mną! ostrożnie!

— Ale o cóż waszmości chodzi, — odpowiedział djabeł — przyślij tu swoich przystawów, każ mnie pilnować, a jeśli karczmy nie skończę, dasz mi sto na-

hajów. I to nie do dwóch dni karczmę ci postawię, ale do jutra rana, niechybnie.

— Toś ty chyba djabeł! — zawołał szlachcic.

— Może i djabeł, — odpowiedział mniemany chłop — a co waszej miłości w to wchodzić?

Szlachcic się przeżegnał nieznacznie, a szatan zakrztusił.

— No! no! więc zgoda — rzekł szatan. — Już ja karczmę dokończę. — Zapłaty nawet za to nie chcę żadnej, tylko jednej rzeczy się od waszmości domagać będę.

— No — radbym wiedział, czego za to zechcesz? — wybąknął szlachcic, oglądając się bojaźliwie.

— Śmiesznej rzeczy, — odpowiedział szatan — małej rzeczy! będziesz się waszmość śmiał, gdy mu to powiem, ale mnie chodzi o osobliwszy zakład.

— Cóż to takiego! tobie o zakład chodzi?!

— Dozwolisz mi karczmę nazwać, jak zechcę.

— Ho! a nacóż to tobie? Ja jej imię już dałem, zowie się *Nowinka*.

— Mnie chodzi, jak rzekłem, o zakład, nazwę ją po swojemu, a zato skończenie nic waszej miłości kosztować nie będzie.

— Jakże ją nazwiesz?

— Jak mi się podoba.

— Przecież trzeba, żebym o tem wiedział, abyś mi w tem jakiego urągowiska nie uczynił, albo na ludzki ze mnie śmiech jej nie przezwał.

— O to się waszmość nie bój, nazwę ją bardzo pięknie, tak, jak się zowie najsławniejsze w świecie miasto.

— Jakże przecie? powiedz mi.

— Nazwę ją — *Rzym*.

— Rzym! Osobliwa! skądże ta myśl tobie? co to za zakład?

— To moja tajemnica! ale czy zgoda na umowę?

— No — zgoda! Jednakże pamiętaj, aby jutro była gotowa, bo ja z siebie nie dam żartować!

— Jutro rano przybywaj tu waszmość do mnie.

— Przybędę!

— Możesz śmiało oznajmić mieszczaninowi, który wynajął karczmę, żeby przybywał! Nie będzie w niej i jednego ćwieczka brakować.

Szlachcic odjechał.

*

* *

Nazajutrz rano karczma stała gotowa, pokryta; mury były skończone, okna i drzwi powprawiane, ubite toki w izbach; nawet ogromny ogień palił się na kominie, a przy nim siedział nasz djabeł i grzał się.

Nad drzwiami na tablicy wielkiemi literami napisane było: *Karczma Rzym.*

XVI.

Jako Twardowski smutne pędził życie.

Reszty życia mistrza były coraz pełniejsze goryczy coraz smutniejsze. Nie zajmował go i nie wabił świat, którego odmłodzony tak pragnął; nauki, które wyczerpnął do dna. Ponury, z głową zwieszoną, pooraną twarzą, zasępionem czołem, skurczony we dwoje, w czarnej sukni, milczący, był tylko dziwowiskiem dla tłumu, a udręczeniem dla siebie. Z całej przeszłości została mu tylko dwuznaczna sława jego życia i cudownych leków, i czarnoksięskich wiadomości.

Czy to, że leczenie zajmowało mu już trudny do przeżycia czas, odrywając go od przykrych dumań, czy dla innych przyczyn, Twardowski nie porzucał do ostatka swoich zatrudnień lekarskich. Mniej już jednakże szafował cudami, więcej leczył zwykłemi sposoby, niż szatańską pomocą. Przytem wdzięczność, zapłata, pomnożenie sławy tak go już mało obchodziły, tak mu były obojętne, jakby w duszy jego żadnego nie obudzały uczucia.

Smutno było patrzeć na niego, bo twarz nawet i postawa stan duszy malowały. Z każdego zmarszczka pooranej twarzy mówiły zgryzoty i żal przeszłości; a przez wyniosłe, wyschłą i żółtą skórą okryte czoło widać było co za walki pod niem przewrzały. Od czasu, jak odczarowany konał tak powolnie, opuścili go ludzie, stracił tych przyjaciół, którzy tylko jego stołu

i dzbana przyjaciółmi byli. Nikt mu wiernym do ostatka nie pozostał, dawniejsi biesiadnicy, którzy za jego stołem pod niebiosa go wynosili, teraz wstydzili się podać mu rękę, dlatego, że, wnosząc z powierzchowności, myśleli, iż zubożał. Jeden tylko Maciek-pająk, zawsze u jego okna siatkę przędząc, nie odstępował go, choć mógł gdzie indziej się przenieść.

Jakby się umyślnie przeszłością swoją chciał karać, Twardowski wychodził znowu często na Krzemionki i ze skały, która nazwisko szkoły jego miała, spoglądając po okolicy, długie godziny, wsparty na dłoniach, przepędzał. — Wśród tego życia zgryzot nigdy już nie wróciły znowu te łzy, które raz tylko zrosiły twarz jego, owego pamiętnego ranka, gdy dźwięk pieśni, złożonej jeszcze w młodości, doszedł jego serca. Nigdy więcej nie przemówili już do niego. Jednakże kantyczki, w których te pieśni jego zawarte były, nosił Twardowski od niejakiego czasu przy sobie, choć ich nigdy nie otwierał. Czasem tylko ściskał je konwulsyjnie w rękach, jakby się pasował między żądzą szukania w nich pociechy a jakimś nieopisanym strachem.

Smutne to było życie jego, samotne, całe oddane na łup zgryzotom i rozpaczy, przeplatane straszliwemi myślami o piekle i potępieniu.

Było to konanie, za którem żadnej nie zostawało nadziei — czarne tylko piekło. Znękany starzec, przysiągłszy djabłu, że nigdy w Rzymie nie będzie, uspokajał się tem nieco; ale ilekroć wspomniał na minę djabła i milczącą jego, zimną rezygnację przy pożegnaniu ostatniem, lękał się jakiego podejścia!

XVII.

Jaki był koniec mistrza.

Jednego wieczora zastukano silnie do wrót domostwa Twardowskiego i zaczęto wołać:

— Otwórzcie, otwórzcie, na miłość Bożą!

Twardowski nie miał nawet sługi jednego, tak się był opuścił, poszedł więc sam do wrót.

Zaledwie furtkę odsunął, wpadł człowiek młody i strojny, pięknej twarzy, dobrej miny, ale pomieszany i blady.

— Tu mieszka mistrz Twardowski? — spytał.

— Tu, i ja nim jestem — odpowiedział starzec. — Czego waszmość chcecie ode mnie?

— Na miłość Bożą, mistrzu! Ratujcie mojego ojca! Jedna nadzieja w tobie. — Jeśli ty go nie wyratujesz, to nikt pewnie!

— Cóż to się stało ojcu waszmości?

— Straszny przypadek go dotknął. Konie go potłukły okropnie. Sprowadzałem doktorów, wszyscy powiedzieli: chyba tu mistrz Twardowski z Krakowa da temu radę, a my nic nie możemy zrobić. Leży już ledwie żywy! Ratuj go, na miły Bóg, zaklinam! Co tylko żywie chcesz, wszystko ci dam!

Mistrz się uśmiechnął i głową pokiwał.

— Daleko to stąd?

— Dosyć daleko! Pod Sandomierzem. Na odgłos twej sławy pośpieszyłem aż tu do ciebie. Porozstawia-

ie konie po drodze. Na Boga, siadaj ze mną i jedź, nistrzu!

Twardowski nic nie rzekł na to, wskazał młodemu człowiekowi, aby na niego poczekał i poszedł zabrać, co było potrzebne, jak sądził, dla chorego. W chwilę powrócił z paczką pod pachą i siadł do kolasy, która, jak wicher, poleciała. — Konie zdały się ziemi w biegu nie tykać; co kilka mil odmieniali je i po dość długiej podróży ukazał młody człowiek mistrzowi nową karczmę, na rozdrożu stojącą.

— Oto tu jest mój ojciec! — rzekł do Twardowskiego.

Stanęli, wyskoczył młodzieniec.

— Pójdę przodem, proszę waszmości za mną, proszę za mną.

Wszedł do izby, mistrz za nim.

Zaledwie Twardowski próg przestąpił, drzwi się za nim zatrzasły, szum powstał wielki. Zdziwił się mistrz i szukał oczyma chorego napróżno. Wtem z alkierza wysunął się znajomy szatan z cyrografem w ręku, uśmiechający się i wesoły.

— Co ty tu robisz? — zawołał mistrz.

Szatan w milczeniu podsunął cyrograf i rzekł poważnie, powolnie, patetycznie:

— Ta karczma — *Rzym* się nazywa!

Twardowskiemu na te słowa w głowie się zakręciło, zaszumiało, splątało. Rzucił się naprzód do drzwi, drzwi były zaparte, okien strzegli djabli rojami, komin starym djabłem zatknięto umyślnie. Wszelkie ostrożności przedsięwzięto, niepodobna się było wymknąć. Nie stracił jednak Twardowski przytomności, i w tej chwili, ujrzawszy w kołysce ledwie półroczne dziecię szynkarki, pochwycił je w mgnieniu oka na ręce i dopiero odetchnął.

— Ha! — zawołał, — sądziłeś, psi synu, żeś już

mnie złapał! Poczekasz ruski miesiąc. Nie możesz mnie porwać z tem dzieckiem, ono jest chrzczone i bez grzechu.

— Co? co? — syknął szatan.

— Tak! porwać mnie z tem dzieckiem nie możesz — ani się nawet mnie dotknąć.

— Tożem głupi, jak bydlę, — rzekł szatan — żem je tu zostawił! — I uderzył się pięścią w czoło.

— No! o włos byłem zgubiony! — szepnął Twardowski do siebie.

— Dziwny rozum i przytomność, — rzekł szatan, zmieniając ton i starając się przypochlebiać. — Połóż że je, już połóż w kołyskę. — Nic ci się, mistrzu, nie stanie — wygrałeś!

— Nie tak jestem głupi, jak ci się zda — odpowiedział Twardowski, przyciskając dziecię do siebie.

Djabeł spojrzał i szusnął do alkierza nazad. W chwilkę okropny, piskliwy głos dał się słyszeć, wybiegła pani szynkarka rozczochrana,. z zapalonemi oczyma, z twarzą zapłomienioną, rękami zakasanemi; a ujrzawszy dziecię swoje u mistrza, porwała się prosto do niego.

— Co to ty, łotrze, robisz z mojem dziecięciem! Co to jest! — krzyknęła — oddaj mi je, złodzieju, albo cię tym ożogiem w śmierć ubiję!

Mistrz usunął się i rzekł spokojnie:

— Wszakże ci go nie biorę, ani mu w twoich oczach mogę co zrobić — słuchaj!

— Ja nic nie chcę słuchać! Czego ja będę słuchała! Oddaj mi zaraz moje dziecko, słyszysz! albo tak cię kropnę...

— Milcz i słuchaj, babo, bo je zduszę, jeśli mnie dotkniesz.

— Nie bój się, nie bój, on tylko tak gada, ale on tego nie zrobi, — szepnął djabeł szynkarce, chcąc ją

podjudzić do odebrania dziecięcia. Nie udało mu się jednak, bo uspokojona baba zapewnieniem, że się dziecku nic nie stanie, odsunęła się i zdawała chcieć słuchać.

— Sto kop tobie, kobieto, za pożyczenie mi dziecka, tylko póki wyjdę stąd i wyjadę na granicę.

— Ot-to! — odpowiedziała szynkarka, — albo ja ci uwierzę?

— Masz pieniądze — rzekł Twardowski, rzucając jej kiesę.

Ona schyliła się, porwała, spojrzała w środek, schowała i już zamilkła.

Djabeł znowu do alkierza pobiegł i przyprowadził ojca. Ale ten ledwie o swoje dziecko gębę otworzył, żona mu ją zamknęła, pokazując worek i mówić nie dała. Skończyło się na ukłonach i skrobaniu w głowę. Djabłu znów się nie udało. Nie było już sposobu.

— Trzymajże sobie dziecko, póki czas, — rzekł — ale to pewna, że ja cię stąd przez próg nie puszczę i choćby głodem zamorzę.

— Tego nie możesz zrobić — odpowiedział mistrz spokojnie, siadając z dziecięciem na ławie. — Wiesz dobrze, że ja i warunki naszego kontraktu, i twoją władzę, jak daleko się ona rozciąga, znam bardzo dobrze. Nic mi nie wmówisz.

Szatan skrobał się w głowę, aż z niej iskry się sypały.

— Bodajem przepadł, — rzekł — jeśli kiedy pokuszę się na mędrka. Już mnie twoja dusza cztery razy tyle kosztuje, co warta. Jeszcześ mi ją popsuł w ostatku niebezpiecznemi żalami i lamenty a wspomnieniami młodości.

Com ja stracił czasu! com się napracował! a teraz mi się tak wymykasz! Uczciwież to, mój mistrzu? i co ci z tego życia? czyżeś nie miał wszystkiego, czego tyl-

ko pożądałeś? Czyliżeś go sobie wedle upodobania nie przedłużył? Czyś nie użył życia, jak ci się tylko podobało? Czyżem ci jako ostatni sługa nie dopomagał? Cóż ci teraz zostało? strach, żal, zgryzoty. Wszakże to straszniejsze męczarnie od piekielnych, wszak ty tracisz żyjąc, nie zyskujesz — nie lepiejże, nie uczciwiej raz już skończyć i mnie zaspokoić, a dług oddać?

— Dlaczegoż ci tak śpieszno kończyć ze mną? — rzekł mistrz.

— Bo mi już dojadło kilkadziesiąt lat jednej duszy pilnować! — Rozmyśl się tylko, mistrzu! Wiesz dobrze, że cię z tem dzieckiem nie porwę; ale czy to uczciwie, czy to po szlachecku, tak się wykręcać, dawszy słowo? Zrobiłeś ze mną umowę o duszę — to coś ważniejszego, niż kontrakt o majątek. Jakżeby cię nazwano, gdybyś złamał umowę, raz uczynioną i podpisaną dobrowolnie? — Łotrem bez czci, wiary! Fe! Fe! Godziż się to czynić szlachcicowi, bodajby nawet z djabłem?

Twardowski widocznie się mieszał — lice mu się zaczerwieniło, usta podniosły, powoli wstał z ławy i patrzał djabłu w oczy. Nie uszło to uwagi szatana, iż jego argumenta skutkowały, dodał więc jeszcze:

— Wiesz, że była umowa dobrowolna między nami, wiesz, jaka świętość umowy dla uczciwych ludzi. Zdaje się, że *verbum nobile debet esse stabile.*

Na te słowa pokonany Twardowski położył zwolna dziecię w kołyskę i rzekł:

— Masz mnie, djable — przekonałeś!

Ledwie sam sobie djabeł mógł uwierzyć, gdy ujrzał skutek swej wymowy.

Tylko co Twardowski dziecię w kołysce złożył, już szatani zatopili w nim szpony i, świszcząc, przez komin, wysoko unieśli.

Gdy ponad ziemią lecieli, Twardowski, patrząc na nią raz jeszcze, całą swą przeszłość przypominał. Zwykle, gdy się kończy życie, przychodzi ono pożegnać człowieka. Znowu w jego duszy ozwała się młodość szczęśliwa i wspomnienie chwil pobożności i wiary, znowu zadźwięczała mu w sercu owa pieśń do Boga-Rodzicy, którą był ułożył. Na to wspomnienie sięgnął mistrz po kantyczki, które przy sobie miał zawsze i dobywszy z piersi głosu, gdy już ziemia z oczu jego znikać zaczynała, nucić pieśń pobożną zaczął.

W tej chwili, jak oparzony, djabeł puścił go nagle i zniknął, a mistrz został zawieszony w powietrzu sam jeden z pieśnią w ustach, i zdało mu się, że słyszy głos nad sobą potężny:

— Zostań tak do dnia sądu!

Otworzył oczy i dziękował Bogu, że go ze szpon szatana wyrwał. Lecz gdy znowu zalane oko ku ziemi spuścił, już jej nie ujrzał przed sobą. Wisiał w białej, jednostajnej, niezmierzonej pustyni; chmury tylko suwały się pod jego nogami, a słońce piekło nad głową! Nie dochodził go głos ziemi, nie widział nic, otaczała go pustynia, w której sam był jeden, z myślami swemi, ciężkiemi towarzyszami po takiem życiu.

Lecz gdy się modli i zawieszony w powietrzu drży nad długiemi laty, które za karę wisieć tak skazany — uczuł mistrz, że go coś po ręku łechtało.

Był to pająk-Maciek.

Wierny sługa uczepił się sukni mistrza i los jego podzielił.

Twardowski zawołał go, poznawszy:

— Maćku! ty tu ze mną?

— Zawsze z tobą, twój sługa — odpowiedział pająk.

Odtąd pająk-Maciek, uczepiony do nogi mistrza, pozostał z nim na zawsze. Co ranek tylko po długiej

nici spuszcza się on na ziemię, czołga po znajomych miejscach, zbiera pokarm wieści, a wróciwszy, zasila nim pana, któren wysechł zgryzotami i myślami ciężkiemi, pożerającemi go, jak sęp Prometeusza.

Taki był koniec życia wielkiego mistrza Twardowskiego, którego imię i dzieje dochowały nam podania ludu, skarbnica wszystkich pamiątek, nie mieszczących się w historji pisanej. Z tych podań spisał życie mistrza autor tej książki, na pożytek wasz duchowny, którego z serca wam życzy.

KONIEC

TREŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I. Jako ojciec Twardowskiego napadnięty był w drodze, gdy do domu wracał, i co stąd wyniknęło . . 5
II. Co zastał w domu ojciec Twardowskiego . . . 11
III. Jako Twardowski wyrósł i jako szedł do piekła cyrograf odbierać 14
IV. Jako Twardowski zaszedł do piekła i co tam widział 21
V. Jako stał się uczonym i sławnym Twardowski . . 26
VI. Jako Twardowski dysputuje z szatanem . . . 31
VII. Jako Twardowski rozmyślał i o prawdziwym przyjacielu jego Maćku 35
VIII. Jako Twardowski postanowił zaprzedać się djabłu i co się działo w jego duszy, i jaką z djabłem ugodę uczynił 40
IX. Jako pisali cyrograf 51
X. Jako Twardowski powrócił do Krakowa i co dzwony mówiły 57
XI. Jako król przysyłał do mistrza 64
XII. Jako Twardowski wywoływał ducha królowej Barbary 74
XIII. Jako djabeł tłumaczył Twardowskiemu, co uczynił. 82
XIV. Jako Twardowski wyjechał z Krakowa 83
XV. Jako Twardowski dawał różne dobre rady ludziom. 86
XVI. Jako szatan ukazuje Twardowskiemu, na co wyszły jego rady 97
XVII. Co mistrz we czwartek widział na Łysej górze . . 105

CZĘŚĆ DRUGA.

I. Jako Twardowski odmłodził burmistrza Słomkę . . 3
II. Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją chciwość . 11
III. Jako Twardowski chciał użyć świata 21
IV. Jako Twardowski kochał i pożądał swojej młodości 28

V. Jako Twardowski odmłodniał i co potem uczynił . 33
VI. Jako Twardowski pana wojewodę wskrzesił i kogo tam widział 40
VII. Krewni panny Agnieszki 48
VIII. Jako szatan radził Twardowskiemu w jego miłości . 55
IX. O dziadach i babach, i jak Twardowski użył starej Kachny 60
X. Jaka była odpowiedź panny Agnieszki 75
XI. Jako się Twardowski ożenił i co było na weselu . 78
XII. Jak Twardowski żył z żoną, jak z rady djabła ją podsłuchał i co potem uczynił 85
XIII. Jako się mścił jeszcze Twardowski 96
XIV. Jako Twardowski przeszłości swej żałował i z djabłem się kłócił 99
XV. Jako djabeł zbudował szlachcicowi karczmę . . 105
XVI. Jako Twardowski smutne pędził życie 110
XVII. Jaki był koniec mistrza 112